

John Brunner

Telepata

The Whole Man

przełożył Jacek Manicki



John Brunner (ur. 1934) jest jednym z najpopularniejszych i najbardziej cenionych przedstawicieli brytyjskiej SF. Nawet w dziedzinie literatury tak znanej z wczesnych debiutów Brunner wyróżnia się pod tym względem. Wiadomo, że pierwszą powieść opublikował pod pseudonimem w roku 1952, ale nigdy później nie chciał się do niej przyznać. Oficjalny debiut stanowi opowiadanie wydrukowane w rok później w amerykańskim piśmie „Astounding Science Fiction” (późniejszy „Analog”). W następnych latach borykając się z trudnościami materialnymi John Brunner publikuje wiele powieści w stylu „oper kosmicznej”. Żeby uświadomić polskim początkującym autorom, pod jakim ciśnieniem pracowali w latach sześćdziesiątych autorzy SF chcący utrzymać się wyłącznie z pisania, wystarczy powiedzieć, że w ciągu pierwszych sześciu lat „bez etatu” John Brunner opublikował 27 powieści.

Ukazanie się w roku 1964 „Telepaty” (amerykański tytuł „The Whole Man” – (Cały człowiek) oznaczało początek nowego okresu w twórczości pisarza. Nie wystarczało mu już zdobycie mistrzostwa w podgatunku „oper kosmicznej”, sięgnął do najambitniejszej prozy intelektualnej. W rok później ukazuje się „The Squares of the City „ (Kwadraty miasta) – powieść, w której postaci odtwarzają losy figur szachowych z autentycznie rozegranej partii, a w roku 1968 zostaje opublikowane najważniejsze dzieło Johna Brunnera, wówczas najambitniejsza i niewątpliwie najdłuższa powieść w historii gatunku – „Stand on Zanzibar”. Rzecz przedstawia groźbę przeludnienia (tytuł pochodzi stąd, że cała ludzkość stojąc ramię przy ramieniu zmieściłaby się na wyspie Zanzibar); autor stosuje technikę podobną do tej, jakiej użył Dos Passos w trylogii „USA” (1930-1936) i wyraża charakterystyczny dla siebie antyamerykanizm, chociaż Stany Zjednoczone nie są najbardziej przeludnionym krajem świata. Mimo to (a może właśnie dzięki temu, uwzględniając panujące wówczas w amerykańskim środowisku intelektualnym nastroje) „Stand on Zanzibar” został pierwszą nieamerykańską powieścią, która zdobyła nagrodę Hugo (1968) – potem w roku 1970 Brytyjską Nagrodę SF i w roku 1973 francuską Prix Apollo. W następnych latach Brunner pisze „The Jagged Orbit” (Zygzakowata orbita, 1969) biorącą na cel kompleks wojskowo-przemysłowo-medyczny oraz „The Sheep Look Up” (1972), antyutopię ekologiczną i satyrę na ludzką bierność. Książki te przyniosły wprawdzie autorowi uznanie krytyki, ale nie przyniosły mu majątku. Brunner nie ukrywał rozczarowania i w następnych latach wrócił do wypróbowanych form powieści rozrywkowej. W brytyjskiej encyklopedii SF pod redakcją Petera Nichollasa napisano, że „*poglądy, jakie można wyciągnąć z Jego powieści są bardziej lewicowe niż u ogółu pisarzy SF*”. John Brunner wyraża je nie tylko w literaturze – jest aktywnym uczestnikiem ruchu na rzecz rozbrojenia nuklearnego, twórcą hymnu tej

organizacji i wystawy dowodzącej, że wojna nuklearna może być szkodliwa dla zdrowia (objechał z tą wystawą w roku 1959 całą prawie Europę Zachodnią), członkiem władz organizacji „Countdown” propagującej planowanie rodziny. John Brunner jest również aktywnym członkiem The World Science Fiction, często uczestniczy w międzynarodowych konwentach i spotkaniach, nierzadko zapraszany w charakterze gościa honorowego, był m.in. dwukrotnie w Polsce.

Lech Jęczmyk.

P.S. Tytuły trzech części „Telepaty” – wzięte z Wergiliusza, którego jeszcze pół wieku temu w polskich szkołach czytano w oryginale, znaczą tyle, co „myśl rządzi materią”. W odwróconej kolejności: ciało, proces przewyciężania go i triumf myśli.

*Spiritus intus alit, totamque infusa per artus
Mens agitat molem et magno se corpore miscet.*

Wergiliusz:
„Eneida”, VI, 726-7

*Żywotny duch swym tchnieniem przenikał do wnętrz.
Moc swoją i ruch dając wszelkiemu ciału.*

przeł. Tadeusz Karyłowski

Część pierwsza

MOLEM

1

Zaraz po porodzie przeniesiono ją na łóżko. Była roslą kobietą, tak wyniszczoną głodem i przeżyciami osobistymi, że skóra zwisała na niej, nie tylko nad opróżnionym przed chwilą brzuchem, jak za duże ubranie. Pomimo szerokich kości miednicy ciężko się napracowała. Lekarz o zmęczonej twarzy uznał, że jej stan jest nieco gorszy niż innych rodzących, ubiegających się o miejsce na oddziale położniczym i tylko z tego względu przydzielono jej miejsce. Nie okazała cienia wdzięczności. Nie okazałaby też cienia oburzenia, gdyby potraktowano ją w taki sam sposób, jak większość przewijających się tego dnia przez izbę porodową kobiet, które bezpośrednio po rozwiązaniu sadzano na dwie godziny na fotelu, żeby przyszły trochę do siebie.

Kryzys dojrzał niemal równolegle z płodem w jej łonie. Osiągnął kulminacją mniej więcej na tydzień czy dwa przed porodem. Z ulicy dobiegały obce, niepokojące odgłosy. Jeszcze miesiąc temu byłby to szum przejeżdżających pojazdów, gwar ludzi spacerujących w promieniach słońca, znajome, uspokajające dźwięki, kojarzące się z codziennym życiem miasta. Teraz dolatywały stamtąd sporadyczne, ochryple okrzyki, tak zniekształcone, że można się było tylko domyślać, że są to jakieś rozkazy.

Mniej więcej w godzinę po porodzie, w drzwiach sali stanęła kobieta w oliwkowozielonym, polowym mundurze wojsk międzynarodowych. Miała krótko, po męsku przycięte włosy, a jej talię otaczał pas z przytroczoną doń błyszczącą kaburą. Kobieta rozejrzała się ciekawie po sali i odeszła.

Po upływie kolejnej godziny, na sale wszedł starszy mężczyzna pchając przed sobą wózek z dwoma kotłami. Na blacie wózka leżał też chleb. Zaraz potem do sali wbiegła pielęgniarka i rozdała miski oraz kubki pacjentkom, które mogły jeść.

Trochę później w drzwiach pojawiła się w towarzystwie lekarza-położnika inna pielęgniarka o wymizerowanej twarzy i opadających kącikach ust.

Sala zastawiona była ciasno łózkami. Pielęgniarka z lekarzem z wielkim trudem

dotarli wreszcie do leżącej matki.

– Pani... hmmm... – Lekarz w ostatniej chwili zdecydował się inaczej sformułować pytanie. Odchrząknął i zaczął ponownie. – Pani nie widziała jeszcze swego dziecka, pani...?

– Panno – odezwała się kobieta w łóżku. Jej powieki wolno, jak żaluzje opadły na przygasłe oczy. Włosy, rozrzucone w nieładzie po poduszce, były ciemne i tłuste. – Panno. Nazywam się Sara Howson.

– Rozumiem. – Lekarz nie był wcale pewien czy rozumie, czy nie, ale to zapewnienie wypełniło panującą ciszę, chociaż właściwie trudno było mówić o ciszy, bo w rzeczywistości rozpraszał ją brzęk pustych cynowych misek, zbieranych po posiłku od pacjentek.

Pielęgniarka szepnęła coś lekarzowi na ucho, pokazując mu odbity na powielaczu formularz – równe, szare linie na szarym papierze. Lekarz pokiwał głową.

– Przepraszam za zwłokę, panno Howson – powiedział – ale sprawy nie wyglądają w tej chwili najlepiej... Czy wybrała już pani imię dla niego? – i uświadamiając sobie nagle, że w obecnych okolicznościach nie jest pewien, w jakim stopniu odstępiono od rutynowej procedury, dodał. – Powiedziano już pani, że to chłopiec, prawda?

– Chyba tak. Tak, ktoś mi mówił – kobieta kręciła ciężką głową, jakby szukając niemożliwej do znalezienia wygodnej pozycji.

– Jeśli wybrała już pani imię, możemy je wpisać do świadectwa urodzenia – powiedział lekarz.

– Chyba... – potarła czoło – chyba... to zdaje się pan był przy tym? – otworzyła znowu oczy i poszukała wzrokiem jego twarzy. – Tak, to pan. Doktorze, nie poszło dobrze, prawda?

– Tak, niezbyt dobrze – przyznał lekarz.

– Czy ono...? Chciałam powiedzieć, czy to na zawsze...?

– Och nie, nie ma żadnych trwałych uszkodzeń – przerwał jej lekarz mając nadzieję, że to co mówi, jest pocieszające. Odnosił wrażenie, że niczego już nie jest pewien, ale pocieszenie pacjentów weszło mu w krew.

Do czego doszło? Jak to się stało? Bezpieczny, spokojny świat sprzed paru tygodni rozpadł się w gruzy, a czynniki oficjalne określiły to mianem kryzysu.

– A niech to cholera – powiedziała kobieta, znowu tocząc głowę po poduszce. – Miałam nadzieję, że nigdy nie będę musiała przez to przechodzić. Nadzieja matką głupich, co?

Pielęgniarka spojrzała z ukosa na lekarza, który zmusił się do powrotu w terażniejszość. Przyjęta przezeń taktyka miała na celu utrwalenie w świadomości tej kobiety imienia, które zastąpiłoby abstrakcyjne pojęcie „dziecka”, posłużyło jej jako rodzaj

słonecznych okularów, kiedy będzie zmuszona spojrzeć w oczy faktom.

– Czy wybrała już pani imię dla swego syna? – zapytał z naciskiem.

– Imię? No cóż... chyba Gerald. Po ojcu. – Z nagłym zainteresowaniem spojrzała lekarzowi w oczy i zmarszczyła czoło. – A właściwie, to o co tu chodzi? Dlaczego jeszcze mi go nie przynieśliście? Czy coś się stało?

Do diabła z tą zabawą w podchody. Do diabła z owijaniem w bawełnę.

– Tak. Przykro mi to mówić, ale tak jest w istocie – powiedział sucho lekarz.

– Co mianowicie? Nie ma rąk? Nie ma nóg?

– Nie, na szczęście nie jest aż tak źle. To ogólna deformacja. Może ona oczywiście ustąpić z czasem; chyba za wcześnie by o tym mówić.

Kobieta wpatrywała się w lekarza przez dłuższą chwilę. Potem roześmiała się chrapliwie.

– No tak, cholera! Czy to nie podobne do tego sukinsyna? Nie chciał się ze mną ożenić, mówił, że żyjemy w tak niepewnym świecie, że nie można snuć planów na przyszłość... No więc kiedy zaszłam w ciążę, pocieszałam się, że przynajmniej będę miała pociechę z syna na stare lata – ha, ha – a tu mam kalekę, którego muszę doglądać, zamiast... – urywany chichot powrócił i zlał się w stłumiony, wstrząsający jęk.

– A co z ojcem? – spytał lekarz łykając podchodzące mu do gardła treści żołądkowe.

– On? Zabili go. Chyba tak skończył, kiedy doszło do walk. O Boże mój, Boże.

– Zaraz przyniesiemy pani syna, panno Howson – powiedziała pielęgniarka.



Po powrocie do pokoju lekarskiego, lekarz zastał tam czekającą na niego krótkowłosą kobietę. Zdjęła kurtkę munduru, powiesiła ją na wieszaku i przeglądała książkę przyjąć.

– Kobieta nazwiskiem Howson – odezwała się podnosząc wzrok znad papierów. – Mamy akta mężczyzny nazwiskiem Gerald Pond. Jego ciało znaleziono w pobliżu zbiornika

wysadzonego w powietrze na samym początku rozruchów. Zdaje się, że miał przyjaciółkę nazwiskiem Howson.

– To by się zgadzało – powiedział lekarz. Opadł bezwładnie na fotel. – Właśnie odebrałem jej syna. Dziecko jest ułomne.

– Pod jakim względem?

– Jedno ramię wyższe, jedna noga krótsza, deformacja kręgosłupa – sporo jak na jednego noworodka. – Lekarz zawahał się – Na miłość boską, nie zamierza jej pani chyba zabierać na przesłuchanie? Przeżyła piekielne męki na stole porodowym, a teraz czeka ją szok na widok dziecka – ono jest potworkiem!

– Niech pan nie wyciąga pospiesznych wniosków – powiedziała kobieta. – Gdzie ona leży?

– Na oddziale położniczym. Czwarte łóżko od końca.

– Chciałabym rzucić na nią okiem.

Wstała. Lekarz nie wykonał żadnego gestu, który świadczyłby, że zamierza jej towarzyszyć. Odczekał aż wyjdzie z pokoju, po czym podniósł się z fotela, podszedł do biurka, przy którym przed chwilą siedziała i wyjął z szuflady ostatnią paczkę, a z niej ostatniego papierosa. Zapalił i gdy wróciła, siedział już z powrotem w fotelu.

– Aresztujecie ją? – spytał kwaśno.

– Nie – kobieta usiadła energicznie i odnotowała coś na sporządzonej przez kalkę kopii listy, którą się posługiwała. – Nie, ona nie ma nic wspólnego z terrorystami. Jest tak apolityczna, jak tylko można sobie wyobrazić i to co mówi, trzyma się kupy. Bała się, że zostanie sama swoją drogą, ciekawe, ile też może mieć lat? Czterdzieści? – a nie wierzyła, że ten Pond naprawdę zamierza wprowadzić w czyn swoje szaleńcze plany. Traktował seks jako relaks, a ją jako zwykłe narzędzie. Wmawiała sobie, że potrafi się przebić przez jego obsesje sabotażu i zredukować jego zainteresowania do... weselnego marsza, mebli na kredyt, co tu dużo mówić... – uśmiechnęła się z przymusem. – Smutne, prawda?

– Przypuszczam, że macie jej dossier – powiedział sarkastycznym tonem lekarz. – Nie uzyskaliby pani tylu szczegółów w tak krótkim czasie.

– Hmm. Nie, nie mamy jej dossier i moim zdaniem nie warto go zakładać.

– Och, to wspaniale! – zakpił lekarz. – Miło mi się dowiedzieć, że czasami od tego odstępujecie.

– Nie my wznieciliśmy te rozruchy i pan o tym wie, doktorze – powiedziała. – Wezwano nas do zaprowadzenia porządku.

– Tak, do diabła, wiem! Ale jeżeli wystarczyło pani wejść tylko na oddział, spojrzeć

na kogoś aby stwierdzić, że coś jest nie w porządku, to wielka szkoda, iż nie zjawiała się tu pani zanim się wszystko zaczęło, a nie dopiero po fakcie! – Lekarz był zmęczony, a co więcej, bardzo niechętny tym obcym przybyszom, mającym za sobą autorytet światowej opinii publicznej; nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego, co mówi.

– Nie bardzo też wiedział, co miała na myśli odpowiadając:

– Jeszcze na to za wcześnie, doktorze. Jest nas jeszcze za mało.

2

Trzy dni później Sarę Howson wypisano wraz z dzieckiem do domu. Opuszczając szpital otrzymała specjalną kartkę żywnościową karmiącej matki, zaświadczenie lekarskie, bloczek kuponów na pokarm dla niemowląt oraz przydział na pieluszki. Wróciła na wąską, długą ulicę przebiegającą między dwuszerowym identycznych, trzypiętrowych budynków o fasadach pokrytych popękany, żółtym tynkiem. Kryzys nie ominął również służb oczyszczania miasta, więc na chodnikach piętrzyły się stosy śmieci. Nazajutrz po jej powrocie, w uliczkę wyjechały z hukiem silników dwie ogromne ciężarówki tego samego oliwkowozielonego koloru, co mundury żołnierzy wojsk międzynarodowych. Jedna przepastną paszczą, nad którą obracał się włochaty cylinder przypominający brudny wąż, pożerała śmieci, druga polewała chodnik cuchnącym środkiem bakteriobójczym. Wodę wciąż jeszcze racjonowano. Naprawa zbiornika, tak skutecznie wysadzonego w powietrze przez Geralda Ponda i jego kolegów mogła potrwać kilka miesięcy, a opady o tej porze roku nie były obfite.

Sara pierwszy wieczór po powrocie do domu spędziła na usuwaniu z dwóch małych pokoików wszystkiego, co mogło jej przypominać Geralda Ponda – starych ubrań, butów, listów, książek o treści politycznej. Powieści zatrzymała. Nie po to, żeby je przeczytać, ale dlatego, że można je było spieniężyć. Gdyby dziecko nie zachowywało się spokojnie, bez zastanowienia wyrzuciłaby je z całą resztą i Gerald Howson, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, opuściłby ten świat.

Ale mały Gerald już wtedy był dzieckiem pasywnym. Do płaczu mógł go sprowokować tylko głód; krzyk nie trwał długo i malec akceptował niewygodę jako nieodłączny atrybut egzystencji, bo już sama egzystencja w jego zdeformowanym ciele była niewygodna.



Tego wieczoru, kiedy mały Gerald ukończył pierwszy tydzień życia, przed budynek, w którym mieszkali, zajechała otwarta ciężarówka z żołnierzami – wraz z oficerem i kierowcą było ich sześciu. Kierowca zatrzymał wóz przed wejściem, wciskając się między dwa zaparkowane samochody, ale nie zadając sobie nawet trudu, żeby podjechać do krawężnika. Kryzys zakłócił również dystrybucję benzyny; większość stojących na ulicy samochodów nie była używana co najmniej od dwóch tygodni i dzieciarnia zaczynała je powoli traktować jak porzucone wraki – przecinała opony, odkręcała korki wlewu paliwa i nożami albo gwoździami wydrapywała na karoseriach imiona bądź brzydkie wyrazy.

Mieszkańcy uliczki, wyglądając zza kotar szczelnie zasłaniających okna, zauważyli przybycie żołnierzy i niejeden z nich poczuł dreszcz niepokoju. Kilkoro miało na sumieniu rozmaite nielegalne czyny; kryzys w oszalamiającym tempie zrodził czarny rynek. Większość zastanawiała się gorączkowo, czy przypadkiem nie naruszyła jakiegoś przepisu wydanego przez władze, albo nieświadomie nie pomogła terrorystom.

Dwóch żołnierzy sił międzynarodowych pozostało przed drzwiami wejściowymi. Byli wysocy, przystojni, smagli i uśmiechali się promiennie wymieniając między sobą zdawkowe uwagi. Ale i oni mieli karabiny przewieszane przez ramię.

Oficer z dwoma żołnierzami walili w drzwi wejściowe, dopóki ich nie wpuszczono. Prowadzeni przez wystraszonego dozorcę weszli schodami na ostatnie piętro i zapukali do mieszkania zajmowanego przez Sarę Howson.

Otworzyła im wychudła kobieta owinięta w za duży, ściśnięty w talii paskiem, szlafrok. Oficer był uprzejmy. Zasalutował służbiście i spytał.

– Czy panna Sara Howson?

– Tak. O co chodzi? – ciemne, przygasłe oczy lustrowały jego mundur jakby rozpaczliwie szukając kryjących się pod nim ludzkich cech.

– Zdaje się, że była pani dawniej, hmmm... bliską przyjaciółką Geralda Ponda. Czy tak?

– Tak – sprawiała wrażenie jeszcze bardziej przybitej, ale w jej głosie nie było śladu protestu. – Ale on już nie żyje. Zresztą nigdy nie mieszałam się do polityki.

Oficer nie skomentował tej uwagi. Powiedział tylko.

– W takim razie zmuszony jestem poprosić panią, żeby udała się z nami. Mamy do

pani parę pytań.

– Dobrze – cofnęła się z rezygnacją w głąb mieszkania. – Wejdźcie panowie i poczekajcie. Muszę się przebrać. Czy to długo potrwa?

– Przykro mi, ale to zależy tylko od pani – oficer wzruszył ramionami.

– Widzi pan, chodzi o dziecko – szurała po podłodze bosymi stopami. – Nie wiem, czy mam je zabrać ze sobą, czy poprosić kogoś z sąsiadów, żeby się nim przez jakiś czas zaopiekował.

Oficer zmarszczył brwi i zerknął na kartkę wyjętą z kieszeni.

– Ach prawda – powiedział po chwili. – No cóż, wydaje mi się, że będzie lepiej, jeżeli zabierze je pani ze sobą.



Zawieziono ich do budynku, w którym kiedyś mieścił się komisariat policji. Piękne schody z białego kamienia jeszcze nie tak dawno poplamione były krwią, ale teraz już ją zmyto; wciąż jednak widniały na nich szramy po odłamkach granatów i dziury po pociskach, a w niektórych oknach nadal nie było szyb. Policja już tu nie urzędowała. Wchodzący do budynku, bez względu na to czy byli umundurowani czy nie, musieli okazywać przepustki uzbrojonym ludziom pilnującym drzwi wejściowych. Sara Howson przyglądała się im i nie po raz pierwszy po śmierci Ponda zastanawiała się, jak on i jego towarzysze mogli być tak pewni zwycięstwa, skoro cały świat zjednoczył się, aby im w tym przeszkodzić.

W holu budynku oficer dostrzegł umundurowaną kobietę noszącą na rękawie odznakę czerwonego krzyża i przywołał ją. Miała miły głos oraz uśmiech i Sara Howson oddała jej owinięty w szal tobolek ze swoim synem.

Uśmiech zamarł na twarzy kobiety, gdy jej ręce wyczuły poprzez cienki materiał wygięte w kabłąk plecy i krzywe ramionka.

– Dopóki pani nie wyjdzie, pani dziecko znajdzie tutaj dobrą opiekę – powiedział

oficer. – Proszę tedy – wskazał korytarz z drzwiami po obu stronach – Obawiam się, że trzeba będzie trochę poczekać.

Weszli do pokoju, którego okna wychodziły na plac przed budynkiem. Wpadające przez nie promienie zachodzącego słońca nadawały jasnoszarym ścianom oraz brązowym i ciemnozielonym meblom barwy pomarańczową i żółtą.

– Proszę usiąść – powiedział oficer podchodząc do biurka i podnosząc słuchawkę interkomu. Wykręcił trzycyfrowy numer i czekał.

– Z panną Kronstadt proszę – odezwał się po chwili, a po upływie kilku sekund ciągnął dalej. – Panna Kronstadt? Mamy tu dość interesującego gościa. Jeden z naszych bystrych, młodych ekspertów sanitarnych pracował wczoraj w krematorium miejskim przywracając je do stanu używalności i przypadek sprawił, że na kopercie, którą wiatr zdmuchnął z rozładowywanej ciężarówki, dostrzegł pewne nazwisko. Brzmi ono Gerald Pond. Mamy go oczywiście na liście ofiar śmiertelnych, tak więc nie poszliśmy tym tropem aż do dzisiejszego popołudnia, kiedy to ustaliliśmy, że miał on kochankę mieszkającą wciąż pod tym samym adresem...

Przerwał i spojrzał w słuchawkę tak, jakby ugryzła go w ucho. Wolniej już dodał.

– Sugeruje pani, żebym tak po prostu odesłał ją do domu? Czy jest pani pewna, że ona nie była....? Cholera! Przepraszam, powinienem był wcześniej to z panią uzgodnić, ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że tak szybko ją pani wyłowi. W porządku, odwiozę ją do domu... Tak?

Słuchał. Sara Howson poczuła, że spowijającą ją chmurę apatii rozprasza promyk zainteresowania i stwierdziła, że wyteżając uwagę potrafi wychwycić słowa rozbrzmiewające w słuchawce.

– Nie, zatrzymaj ją parę minut. Wpadnę tam, jak tylko będę mogła. Chciałabym jeszcze raz rzucić na nią okiem, chociaż wątpię, czy potrzeba nam więcej informacji o Pondzie ponad te, które już zebraliśmy akta obejmują w tej chwili dwieście stron.

Oficer wzruszając ramionami odłożył słuchawkę na widelki i odpiął kieszeń kurtki, żeby wydobyć z niej paczkę dziwnych papierosów w bibułkach w jasnoszare i białe paski. Poczęstował jednym Sarę Howson i przypalił go zapalniczką wykonaną z łuski pocisku.



Drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju weszła energicznym krokiem kobieta – z krótko, po męsku przyciętymi włosami. Sara Howson zduśiła papierosa i spojrzała na nią.

– Już gdzieś panią widziałam – powiedziała.

– Owszem – po twarzy kobiety przemknął uśmiech. – Nazywam się Ilsa Kronstadt. Odwiedziłam szpital miejski w dniu, kiedy pani rodziła. – Przysiadła na krawędzi biurka i zaczęła machać w powietrzu jedną nogą - Jak się czuje dziecko?

Sara Howson wzdrygnęła się.

– Czy otoczono panią odpowiednią opieką? Chodzi mi o to, czy zapewniono pani odpowiednie przydziały, opiekę lekarską nad dzieckiem?

– Chyba tak. Tylko, że ... – Sara urwała.

– Tylko, że przydział pieluch i recepty nie rozwiązują sprawy – mruknęła Ilsa Kronstadt. – Czy tak chciała pani powiedzieć?

Sara Howson skinęła w milczeniu głową. Machinalnie obracała w palcach zgaszony niedopałek papierosa. Czoło obserwującej ją Ilsy Kronstadt zaczęło z wolna pokrywać się zmarszczkami.

– Czy to prawda? Mam na myśli pani dziadka? – spytała zniecka.

– Słucham? – zaskoczona Sara Howson gwałtownie uniosła głowę – Mojego dziadka? Co to znaczy?

Ilsa Kronstadt nagle przestała być sympatyczna, jakby ktoś zgasił światło, które dotąd podświetlało od wewnątrz jej oczy. Zsunęła się z biurka i stanęła przed Sarą.

– Postąpiłaś nieszczemnie – powiedziała. – Nie byłaś żadną płochliwą dziewczynką, prawda? Wiedziałaś, że ze względu na obciążenia dziedziczne nie wolno ci mieć dzieci! Żeby wykorzystać ciężę do szantażowania – i to człowieka takiego, jak Pond, którego nie obchodziło nic poza brudnym, płytkim pędem do władzy! Och! – jej oskarżycielskie spojrzenie przeszywało Sarę jak seria z broni maszynowej.

Tupnęła nogą. Oficer spoglądał oniemiały to na nią, to na Sarę.

– To nieprawda! – wykrztusiła Sara Howson – ja nie... Ja!

– No cóż, stało się – Ilsa Kronstadt westchnęła i odwróciła się do niej plecami. – Sądzę, że może pani tylko próbować wynagrodzić to dziecku. Pal licha wygląd fizyczny, ale cechy intelektualne, jakie odziedziczyło po rodzicach muszą być normalne – ze strony Ponda materiał jest pierwszorzędny, a i pani nie jest głupia. Leniwa umysłowo i egoistka, ale nie głupia.

Ciemny rumieniec oburzenia wystąpił na policzki Sary Howson. Po chwili milczenia

wykrztusiła.

– No dobrze, niech mi więc pani powie, co mam robić, żeby... żeby wynagrodzić to dziecku? Już nie jestem młoda, prawda? Nie mam pieniędzy, nie mam zawodu, nie mam męża! Co mi pozostało? Zamiatać ulice? Zmywać talerze?

– Jedyne sposoby, w jaki może pani wynagrodzić dziecku wyrządzoną mu krzywdę – powiedziała spokojnie Ilsa Kronstadt – to otoczyć je miłością.

– O, na pewno – odparła zgryźliwie Sara Howson. – Jak to było? „Ciało z mego ciała, kość z mojej kości”? Niech mi pani nie prawi kazań. Kazań to ja się nasłuchałam od Geralda i on zarobił kulkę w łeb, a ja muszę niańczyć kalekiego chłopca. Czy mogę już iść? Mam dość.

Przenikliwe, niebieskie oczy zamknęły się na chwilę, powieki i usta zacisnęły, a czoło u nasady ostrego nosa pokryło zmarszczkami.

– Tak, może pani iść. Zbyt dużo ludzi podobnych do pani żyje na świecie, żebyśmy przez jedną noc mogli wyleczyć chorobę jaka go toczy. Ale jeżeli nawet nie potrafi pani kochać tego dziecka całym sercem, panno Howson, to niech pani przynajmniej pamięta, że był czas, kiedy go pani pragnęła i to z przyczyny, o której trudno będzie zapomnieć.

– Będzie mi to przypominał, ilekroć na niego spojrzę – powiedziała Sara Howson i wstała z krzesła.

Oficer znowu sięgnął po słuchawkę i wykręcił numer.

– Siostrze, proszę przynieść do holu dziecko panny Howson.



Po wyjściu Sary, oficer rzucił Ilsie Kronstadt pytające spojrzenie.

– O co chodziło z tym jej dziadkiem?

– Nieważne – westchnęła kobieta. – Takich problemów są miliony. Chciałabym zająć się wszystkimi, ale po prostu nie jestem w stanie.

Wróciła jej niedawna energia.

– Przynajmniej ten duży problem, z powodu którego tu tkwimy, jest rozwiązywalny. Sądzę, że za miesiąc powinno nas już tu nie być.

3

Sytuacja nie uległa poprawie jeszcze przez jakiś czas. Sklepy nadal pozostawały zamknięte; sporadyczne zamachy świadczyły, że poskromieni terroryści nadal są zdolni do uderzenia na ślepo, jak dzieci w napadach złości. Wzniecili kilka pożarów, a na skutek wybuchu bomby na dwa dni wyłączono z ruchu główny most miejski.

Powoli powracał spokój. Sara Howson nawet nie próbowała śledzić zachodzących zmian. Od kiedy przywrócono emisję programu telewizyjnego, codziennie nadawany był dziennik; przez cały okres trwania kryzysu podawano wiadomości przez radio. Czasami wpadało jej w ucho jakieś strzępy informacji – coś o rządzie, coś o doradcach i pożyczkach zagranicznych, coś o opiece społecznej. Nic z tego do niej nie docierało. Gdy szła ulicą, dostrzegała czarne tytuły na walających się po chodniku gazetach, czytała je, ale nic nie rozumiała. Jej umysł nie łączył faktu przybycia ekspertów technicznych z ponownym pojawieniem się wody w kuchennym kranie, która lała się wartkim strumieniem, kiedy tylko odkręciła kurek, a nie jedynie przez dwie godziny rano i dwie wieczorem, jak w czasie kryzysu. Nie dostrzegała żadnego związku między nowym rządem, a wydawanymi na kartki, w sklepie na rogu, puszkami z pokarmem dla niemowląt, opatrzonymi etykietami w sześciu językach oraz kolorowym obrazkiem dla analfabetów.

Wszyscy byli zgodni co do tego, że wiedzie im się teraz gorzej. W rzeczywistości, z materialnego punktu widzenia, było nawet nieco lepiej. Przygnębienie ludzi wynikało z subiektywnych przemyśleń. To wydarzyło się tutaj. My, nasze rodziny, nasze miasto, nasz kraj, okryliśmy się hańbą w oczach świata; na naszych ulicach popełniono mordy, tutaj podkładano bomby i dopuszczano się aktów terroryzmu. Wstyd i samokrytyka przerodziły się szybko w apatię i przygnębienie.

Przez następnych kilka lat nie doszło do prawdziwej depresji ekonomicznej i nie wzrosło bezrobocie, ale życie straciło swoją barwę. – Moda nie zmieniała się już tak szybko i nie była tak kolorowa. Samochody przestały się wyróżniać zadziwiającymi akcesoriami i linią nadwozia – stały się funkcjonalnymi środkami lokomocji. Ludzie czuli niejasno, że dążenie do luksusu jest zdradą... zdradą czegoś; chcieli, aby widziano, że koncentrują się na poszukiwaniu nowego celu, który poderwałby naród i pozwolił odkupić poniesioną na oczach świata porażkę.

Ekstrawagancja stała się symbolem społecznej nieodpowiedzialności, symbolem z

pogranicza przestępstwa; człowiek wpływowy – spekulantem. Ci ostatni uważali przeciętnych obywateli – purytańskich, ciężko pracujących, jak gdyby w ten sposób chcieli uciec przed strasznym wspomnieniem – za frajerów. Ci „frajerzy” z kolei, nazywali pasożytami tych, którym powodziło się rażąco dobrze.

Sara Howson przeszła przez ten okres jak lunaticzka, odmierzając upływające życie codziennymi zdarzeniami. Przez pewien czas otrzymywała jakąś honorowaną w wydzielonych sklepach asygnatę, która wystarczała na utrzymanie jej i dziecka. Nie przyszło jej do głowy, żeby się zastanowić, dlaczego ta asygnata stanowiła temat ożywionych dyskusji między zwykłymi ludźmi: przeważnie kwestionowano jej wprowadzenie, ponieważ wydawana była kobietom, które jak Sara Howson, popełniły podwójną zbrodnię – urodzenie nieślubnego dziecka i związku z terrorystą. Rzadko bywała świadkiem takich rozmów; teraz na ulicy, na której mieszkała, nie odzywał się do niej prawie nikt.

Kiedy przestała otrzymywać asygnaty, podjęła na pewien czas pracę przy sprzątaniu biur i wydawaniu posiłków w kantine. Płace były niskie. Bez większego przekonania rozglądała się za lepiej płatnym zajęciem.

Potem poznała wdowca z córką i kilkunastoletnim synem, który poszukiwał gospodyni-kochanki i nie zwracał uwagi ani na berbecia, ani na jej zaniedbany wygląd. Przeniosła się na drugi koniec miasta, do jego mieszkania w wielkiej, rozsypującej się kamienicy czynszowej i była teraz przynajmniej zabezpieczona przed ubóstwem. Miała dach nad głową, łóżko do spania, regularne posiłki i trochę drobnych na odzież i butelkę likieru w sobotni wieczór.

Mały Gerald bez sprzeciwu znosił wszystkie odmiany losu – przesiadywanie w żłobku, kiedy matka pracowała jeszcze jako sprzątaczką, przesuwanie z kąta w kąt jak nieożywiony przedmiot, od kiedy się wprowadzili do mieszkania wdowca. W żłobku oczywiście cmokano współczująco na widok jego kalectwa i przeglądano historie jego choroby, która była już dość długa. Ale nic nie można było poradzić, poza ćwiczeniem jego kończyn tak, by miał z nich możliwie jak największy pożytek. Mówić nauczył się późno, ale szybko; oglądając świat jasnymi, poważnymi oczyma osadzonymi w twarzy idioty, przeszedł od konkretów do pojęć abstrakcyjnych z taką łatwością, jakby celowo zwlekał z rozpoczęciem mówienia, dopóki sobie wszystkiego dokładnie nie przemyśli.

Ale wtedy nie chodził już do żłobka, więc nikt dysponujący specjalistyczną wiedzą nie zauważył tego obiecującego skoku w jego rozwoju.

Raczkowanie sprawiało mu ból; robił to tylko przez krótki okres, skamłając, jak pies z cierniem w łapie. Miał cztery lata, kiedy jego niezgrabne kończyny osiągnęły wreszcie taki

stopień skoordynowania, że mógł stanąć bez podparcia, ale wtedy umiał już chodzić dookoła pokoju podtrzymując się rączkami ściany lub chwytając kurczowo krzesel i stołu. Gdy raz już stanął bez niczyjej pomocy, nie spoczął, póki nie doprowadził do końca rozpoczętego przedsięwzięcia. Chwiejąc się na nieposłusznych, nierównych nóżkach ruszał ku środkowi pokoju, upadał, podnosił się bez jęku skargi i próbował jeszcze raz.

Utykanie miało mu pozostać na zawsze, ale kiedy nadszedł wreszcie czas pójścia do szkoły, potrafił przynajmniej iść po linii prostej, przebiec kulejąc do dwudziestu jardów i wspiąć się po schodach stawiając nogi na przemian, a nie zatrzymując się na każdym stopniu.

Matce już dawno zobojętniały jego postępy. Po prostu był taki jaki był i należało go jakoś tolerować. Nie słyszał więc żadnych pochwał ani zachęt po opanowaniu trudnej umiejętności, takiej, na przykład, jak poruszanie się po schodach – jedyną reakcją matki w takich przypadkach była ulga, że chłopiec nie jest jednak całkiem bezradny. Wdowiec brał go czasem na kolana i opowiadał bajki, albo odpowiadał na jego pytania, ale bez wielkiego entuzjazmu. Tłumaczył, że jest za stary, żeby interesować się małymi dziećmi, przecież jego własne były już dorosłe. Ale czasami zbierało mu się na szczerłość i wtedy przyznawał, że ten dzieciak go drażni. Może z powodu oczu – bystrych oczu w tępej twarzy. A może sprawiała to dojrzała forma zdań wypowiedzianych niepewnym, dziecięcym głosem.

Zdarzały się chwile, kiedy Sara Howson odczuwała w stosunku do swego syna coś więcej niż zwykłą tolerancję. Zabierała go wtedy na wędrowkę po sklepach, prowokując akceptując pomruki fałszywego współczucia, jakie nieuchronnie rozlegały się wokół niej. Tutaj, w tej dzielnicy miasta, nie była znana jako kochanka Geralda Ponda. Ale zabieranie ze sobą malca wiązało się ze znoszeniem wąską, krętą klatką schodową czynszowej kamienicy składanego fotela na kółkach, nie robiła więc tego często. Córka wdowca, zanim nie wyszła za mąż i nie wyprowadziła się, zabierała go kilka razy na spacer, na plac zabaw dla dzieci. Sadzała go tam na huśtawce, pokazywała zwierzęta – kucyka, króliki i wiewiórki. Ale kiedy byli tam po raz ostami, siedział milczący na ławce obserwując harce zwinnych małp, a po policzkach spływały mu łzy.

W mieszkaniu wdowca był telewizor. Mały Gerald szybko nauczył się go włączać i zmieniać kanały. Spędzał dużo czasu gapiąc się w ekran, najwyraźniej nie rozumiejąc nawet ułamka tego, co się na nim działo, choć w tej sprawie nie można było mieć całkowitej pewności. Jedno było niewątpliwe, aczkolwiek zadziwiające – zanim jeszcze poszedł do szkoły, zanim nauczył się czytać i pisać, można mu było zaufać, że odbierze telefon i bezbłędnie zapamięta to, co usłyszy, nawet jeżeli był to zamiejscowy, obejmujący numery

kierunkowe, numer telefonu.

Przed pójściem do szkoły niewiele miał do czynienia z książkami. Ani jego matka, ani wdowiec nie czytali dla przyjemności, chociaż kupowali codzienną gazetę. Syn wdowca kolekcjonował magazyny dla mężczyzn pełne pikantnych artykułów i fotografii nagich dziewcząt. Córka przynosiła czasami magazyny mody, chociaż nastroje społeczne nadal nie sprzyjały nadmiernej elegancji oraz romantyczne powieści i komiksy o miłości.

Pierwsze kroki w czytaniu poczynił dzięki telewizji, kojarząc sobie dźwięki z symbolami i szkoła uzupełniła mu tylko pewne niejasności – rozpoczynając naukę miał już ogólne podstawy. Czynił tak szybkie postępy, że wychowawczyni jego klasy po sześciu tygodniach wybrała się na spotkanie z matką. Była to młoda kobieta o idealistycznym stosunku do świata, ale jasno zdająca sobie sprawę z nastroju ogarniającego społeczeństwo.

Usiłowała wytłumaczyć Sarze Howson, że jej syn jest zbyt zdolny, żeby znosić szturchańce i drwiny ze strony innych dzieci w zwykłej szkole. Rząd powołał ostatnio liczne placówki specjalne – jedna z nich, dla dzieci wymagających specjalnej opieki, mieściła się na przedmieściach miasta. Co stoi na przeszkodzie, żeby załatwić mu przeniesienie, pytała.

Sara Howson skłaniała się nawet do tej propozycji, chociaż oczami wyobraźni widziała już zniechęcające ją formularze, druki, listy, wywiady i spotkania. Spytała na koniec, czy uczęszczając do szkoły specjalnej, Gerald będzie mógł zamieszkać w internacie.

Nauczycielka przewertowała przepisy i znalazła odpowiedź: „Nie, jeżeli najbliższa taka szkoła jest oddalona o mniej niż godzinę drogi środkami komunikacji miejskiej od miejsca zamieszkania ucznia (z wyjątkami przewidzianymi w klauzuli X, podrozdziały Y, paragraf Z itd.).

Sara Howson przemyślała wszystkie za i przeciw i na koniec potrząsnęła głową.

– Niech pani posłucha! – powiedziała. – Pani jest sama jeszcze prawie dzieckiem. Ja już nie. Nic mnie już w życiu nie czeka. Mój przyjaciel nie zamierza brać na siebie odpowiedzialności za Gerry’ego, prawda? To nie jest jego dzieciak! Nie, Gerry musi się nauczyć dawać sobie radę sam. Na miłość boską, to okrutny świat! Jeżeli jest tak zdolny, jak pani utrzymuje, da sobie radę. Na mój rozum, musi się nauczyć dawać sobie radę. Wcześniej czy później zostanie sam.

Jednak przez jakiś czas po tej rozmowie okazywała synowi więcej zainteresowania; miała nieokreślone przecucie, że mimo wszystko będzie miała z niego jakąś pociechę – opieka na starość, przyzwoite utrzymanie, które jej zapewni pracując w jakimś biurze. Ale po pewnym czasie wszystko wróciło do normy i przestała o tym myśleć.

Skutki decyzji Sary nie dały na siebie długo czekać. Dzieci z właściwym sobie

okrucieństwem, wyszydzały i dręczyły kalekiego kolegę. Pewnego razu, przy akompaniamencie wrzasków rozbawionej dzieciarni, zmuszony był wspiąć się na wysokie drzewo i spadł z wysokości dziesięciu stóp. Upadek ten przyplacił na szczęście tylko stłuczeniem, ale siniak był ogromny i nie goił się przez ponad trzy tygodnie. Widząc to Sara Howson z zatrważającą wyrazistością przypomniała sobie nagle swoje spotkanie z Ilsa Kronstadt, natychmiast jednak stłumiła to wspomnienie.

Zdarzały się dni, kiedy w obawie przed czekającymi go katuszami, Gerald nie chciał iść do szkoły. Gdy ktoś z domowników odprowadzał go wtedy pod same drzwi szatni, aby mieć pewność, że nie pójdzie na węgry, chłopiec ostentacyjnie odmawiał udziału w lekcjach, rysował twarze na marginesach podręczników, albo siedział ze wzrokiem wbitym w sufit udając, że nie słyszy, kiedy się doń zwracano.

W końcu przeszło mu to. Nastroje społeczne w mieście i w kraju ulegały stopniowej poprawie. Goiły się rany wyrządzone przez „kryzys”, małe radości nie wzbudzały już podejrzeń, do dobrego tonu powracały ekstrawagancja i śmiech. Atmosfera odprężenia sprawiła, że i ludzie stawali się bardziej tolerancyjni. Pierwsze przyjaźnie Gerald nawiązał w wieku lat trzynastu. Mniej więcej w tym samym czasie okoliczni sklepikarze i gospodynie domowe odkryli, że chłopiec chętnie podejmuje się kuśtykania ze sprawunkami lub nakarmienia kota pod nieobecność domowników – i można być pewnym, że wywiąże się z podjętego zobowiązania, w odróżnieniu od innych chłopców, którym nagle mogła przyjść ochota na kino.

Zaczął zastanawiać się nad wyborem zawodu. Miał jakąś mglistą wizję zajęcia, przy którym jego deformacja i inne, odkryte ostatnio odchylenia od normy, nie będą miały żadnego znaczenia. Ale wtedy właśnie wdowiec zmarł, on zaś był w wieku, w którym bez żadnych przykrych konsekwencji, można było porzucić szkołę.

Poza tym matka też była chora. Upłynęło kilka miesięcy, zanim rozpoznano u niej nie nadającego się już od operowania raka, ale Gerald podejrzewał to już od chwili pojawienia się pierwszych objawów. Zanim choroba wycieńczyła ją na tyle, że przyjęto ją do szpitala, Gerald musiał utrzymywać dom, podejmując się wszelkich prac, jakie udało mu się znaleźć – załatwianie spraw w urzędach, zmywanie naczyń w pobliskiej jadalni itp. Jak dotąd niewiele wymagał od życia. Kiedy matka zmarła, pozostawiając go samego na świecie, był brzydkim, niezdarnym, siedemnastoletnim chłopakiem, opóźnionym o rok w nauce, którą miał zamiar kontynuować w szkole średniej, jeżeli otrzyma stypendium państwowe. Był też rozgoryczony.

Wynajął pokój o kilka bloków od swego dotychczasowego mieszkania, ponieważ

zostało ono przyjęte przez miejskie władze kwaterunkowe i przydzielone wielodzietnej rodzinie. Poza tym nic się w jego życiu nie zmieniło. Nadal utrzymywał się z dorywczych zajęć, czytał książki i czasopisma, oglądał telewizję, kiedy udało mu się wprosić do któregoś z sąsiadów i od czasu do czasu chodził do kina, jeżeli starczało mu pieniędzy na tę formę ucieczki od rzeczywistości.

Mając dwadzieścia lat, Gerald Howson wiedział już na pewno, że świat, który specjalnie nie przejął się jego urodzinami, nadal się nim nie przejmuje. Dlatego wykorzystywał każdą wolną chwilę na wymykanie się zeń w swój prywatny świat, gdzie nikt nie wybałuszał na niego oczu, nikt nie beształ za opieszałość, nikt nie oburzał się na jego istnienie tylko dlatego, że natura obdarzyła go powierzchownością urągającą pięknu ludzkich kształtów.

4

Dziewczyna z kasy pobliskiego kina знаła go z widzenia. Odfajkowała go sobie w myśli, kiedy dokuśtykał na koniec kolejki i jego bilet wyskakiwał już z automatu, zanim zdążył o niego poprosić. Bilet na najtańsze miejsce, jak zwykle. Przyjął to z ulgą. Rzadko się teraz odzywał, świadom piskliwej niedojrzałości swego głosu.

Niektóre cechy swojej ułomności udawało mu się maskować. Naturalnie nie należał do nich wzrost. Przestał rosnąć w wieku lat dwunastu, kiedy mierzył zaledwie pięć stóp. Ale rok temu ulitowała się nad nim jakaś staruszka; była kiedyś wykwalifikowaną szwaczką i pracowała w wysokiej klasy zakładach krawieckich. Wyjęła dawno nie używane igły i przerobiła mu kurtkę, którą sobie kupił, wszywając w ramiona watowane poduszki i zgrabnie wyrównując krzywiznę pleców, tak że od pasa w górę wyglądał w miarę normalnie. But z krótszej nogi miał podwyższony obcas. Nie zapobiegało to utykaniu, bo trochę powłóczył nogą, ale poprawiło postawę i zdawało się łagodzić nieustanny ból mięśni krzyża.

Kurtka noszona niemal co dzień przez okrągły rok była już bardzo zniszczona, staruszka zaś umarła. Starał się o tym nie myśleć. Szedł przez hol, pragnąc jak najszybciej znaleźć się pod osłoną przyjaznego mroku zalegającego widownię. Wśród afiszy rozwieszonych na ścianach dostrzegł repertuar na następny tydzień – ten sam film, co dziś, na wyraźne życzenie publiczności.

Gdy przy zapalonych górnych światłach i na wiele minut przed rozpoczęciem seansu szedł, utykając, w kierunku podstawy gigantycznego ekranu, czuł na sobie zaciekawione spojrzenia wielu ludzi. Starał się nie zwracać na to uwagi.

Środkowe miejsca przednich rzędów okupowane były przez nastolatków. Skreślił w boczne przejście i doszedł do wolnego fotela na samym skraju. Obraz oglądany pod tak ostrym kątem był poważnie zniekształcony, ale lepsze to od wątpliwej przyjemności potykania się o nogi innych ludzi, a może nawet następowania im na buty niepełnosprawną, krótszą nogą. Usiadł i spojrzał na pusty ekran. Jego umysł wypełnił się, jak zawsze w takich momentach, wyimaginowanymi obrazami. Sama atmosfera kina zdawała się tak na niego działać, jeszcze przed rozpoczęciem projekcji. Strzępy rozmów, obrazy, nastrój podniecenia lub przygnębienia, nic z tego nie umykało jego wyostrzonej uwadze, przynosząc poczucie napiętej ekscytacji. Pewne partie materiału składające się na tę rewię wyobraźni mogły zaskakiwać swoją obcością, ale zawsze zakładał, że to otoczenie prowokuje napływ dawno zapomnianych wspomnień. Obejrzał tu już setki filmów, to one musiały stanowić źródło wizji kłębiących się w jego głowie.

Chociaż... Nie, to nie było jednak zbyt przekonujące wyjaśnienie.

Miejsce po przekątnej, w pierwszym rzędzie sektora, w którym siedział Howson, zajął mężczyzna w brązowym ubraniu. Rzuciwszy płaszcz na sąsiedni fotel, podciągnął rękaw marynarki, spojrzał na zegarek i zwrócił głowę w kierunku ekranu.

To, albo fakt, że był dobrze ubrany i sądząc z powierzchowności powinien był siedzieć na droższym miejscu, a może coś niedostępnego świadomości, ściągnęło nań uwagę Howsona. Nie wiedział dlaczego, ale był pewien, że mężczyzna w brązowym ubraniu nie zerkał na zegarek, żeby się upewnić ile czasu pozostało do rozpoczęcia seansu. Ten człowiek... ten człowiek nie zdradzał zdenerwowania w pełnym tego słowa znaczeniu, ale znajdował się na pograniczu czegoś, co nie było podnieceniem wynikającym z oczekiwania na dobry film.

Przygasające światła przerwały nagle te dociekania i Howson zapomniał o wszystkim, chłonąc ogromne kolorowe obrazy parujące przez ekran. Jegoienne i nocne marzenia pełne były scen z filmów, telewizji i ilustrowanych magazynów. – Najbardziej lubił filmy, bo współ-widzowie z kina nie zwracali uwagi na jego wygląd i chociaż sąsiedzi często zapraszali go na telewizję, to jednak gdy ich odwiedzał, panowała zawsze atmosfera napiętego zażenowania.

Poza tym odnosił tu wrażenie, że z każdym oddechem wciąga w siebie emocje reszty widowni i dodaje je do swoich.

Jako pierwszy wyświetlany był film podróżniczy „Piękne zakątki planety”. Niesamowita muzyka przyboju na Bondi Beach, ogłuszający ryk turbinowych silników samochodów mknących autostradą saharyjską, furkot i wizg nart na alpejskim zboczu, a zaraz potem wycie odrzutowych ślizgaczy tnących błękitne wody Pacyfiku. Howson zamknął uszy na opływający słodyczą głos dowcipkującego narratora. Dodawał sobie własny komentarz, wcielając się w różne osobowości, wybierając twardą, męską, postawę przy podziwianiu niemal nagich dziewcząt na Bondi Beach, niemal kobiece przerażenie przy oglądaniu skoczków narciarskich – wyobrażenie bólu przy upadku, potłuczeniach, bólu łamanych kości... stłumił wspomnienie swego upadku z drzewa.

I tak przez cały czas. Najbardziej fascynowały go samochody. Znaleźć się na autostradzie saharyjskiej, prostej jak strzeł, na odcinku dwustu mil, gdzie nie było mowy o żadnym utykaniu; dach z fotoczulego tworzywa ściemnia się automatycznie pod wpływem ostrego słońca, licznik obrotów turbiny tkwi nieruchomo na podziałce 200, co dziesięć mil brygady ciemnoskórych ludzi obsługujących spychacze zgarniające piasek, migające za szybą sztuczne oazy przypominające wyspy na morzu, gdzie przy pomocy wody, odpornej na warunki klimatyczne trawy i drzew iglastych ludzie walczą o odzyskanie żywej niegdyś ziemi – o tym można było marzyć.

Reklamy. Zapowiedzi atrakcji. Uwagę jego błakającego się po bezdrożach umysłu przyciągnął na chwilę mężczyzna w brązowym ubraniu, który znów zerkał na zegarek i rozglądał się dokoła, jakby na kogoś czekał. Na przyjaciółkę? Raczej nie. Howson dał spokój tym domysłom, gdy na ekranie ożyły nagle czerwienią napisy czołówki właściwego filmu.



Howson niewiele wiedział o swoim ojcu. Wcześniej nauczył się taktu. Musiał mozolnie składać w logiczną całość zasłyszane przypadkowo strzępy informacji zamiast bezpośrednio wypytywać matkę. Wciąż niewiele wiedział o kryzysie politycznym, który dojrzewał wraz z nim. Najdotkliwsze jego skutki nie były już odczuwalne, gdy stał się świadomy takich spraw, jak stosunki międzynarodowe.

Mimo to, na tego typu filmach ogarnęło go specyficzne uczucie. Nie potrafił dociec, co skłaniało widzów do takiej reakcji, ale lubił ją. Każdy sprawiał wrażenie lekko

skrępowanego, jak gdyby badał nogę świeżo uwolnioną z chirurgicznych łupków i na podstawie nie istniejącego bólu starał się wywnioskować, czy udźwignie ona cały ciężar jego ciała.

Porównanie to było w pewnym stopniu trafne. Uraz wywołany kryzysem minął już na tyle, że niedługo można będzie o nim uczyć dzieci w szkołach, traktując go jako historię. Doświadczenie nauczyło tych, którzy go dobrze pamiętali, że wydarzenia te nie stały się końcem wszystkiego, życie toczyło się nadal, pomyślnie postępował rozwój kraju, dzieci dorastały i pewne obawy okazały się płonne.

A więc teraz, gdy wyświetlano taki film jak ten, widownie kin były pełne. Podobnych obrazów było wiele i Howson sam oglądał już kilka. Absurdalne, przesycone przemocą, melodramatyczne, skupiały się zawsze na problemie terroryzmu lub zapobieganiu wojnie w jakimś malowniczym zakątku świata, a ich bohaterami byli tajemniczy, na wpół realni agenci ONZ. Czytający w myślach – szlachetni szpiedzy, telepaci.

Wyświetlany tego dnia film był romanssem. Prostolinijny, wysoki, przystojny, czytający w myślach agent spotyka blondynkę – podstępnie uprowadzoną, wysoką i piękną, czytającą w myślach dziewczynę, utrzymywaną w stanie hipnotycznego snu przez fanatyczną grupę, która dla zademonstrowania światu swojej żądzy walki, dąży do wysadzenia w powietrze elektrowni atomowej. Starszych widzów drażniły trochę dobrze znane sceny: oliwkowozielone ciężarówki pędzą skapaną w świetle księżyca drogą, żołnierze bez pośpiechu zajmujący stanowiska na skrzyżowaniach głównych ulic dużego miasta, zabłąkane dziecko, które ze szlochem idzie pustymi ulicami.

Niekiedy zauważało się wyraźne próby odtworzenia rzeczywistych wypadków, ale takich scen było niewiele. Jedna z postaci, opiekuńcza telepatka miała przypominać legendarną Ilse Kronstadt. Nastolatki z pierwszych rzędów, pozwalające zbyt poufale wędrować dłoniom swoich chłopców, drżały na straszliwą myśl, co by było, gdyby matki potrafiły później odczytać z ich umysłów to wspomnienie – straszliwą, ze względu na nieuniknioną w takim wypadku awanturę. Pocieszająca jednak była wiara, że na rodzicach można polegać.

Chłopcy natomiast zastanawiali się, co by to było, gdyby to oni byli telepatami i wiedzieli na pewno, czy dziewczyna jest chętna, czy nie... nie mówiąc już o tym, jakie otwierałoby to możliwości zdobycia pieniędzy i władzy.



No a Howson? Howson nie widział większego sensu we wmawianiu sobie, że to mogłoby wydarzyć się w rzeczywistości; beletryzacje traktował na równi z trikiem kamerowym, z czymś co trzeba przyjmować takim, jakie jest, włącznie z jego własną, naciągniętą logiką. Fantazje, które snuł i otaczająca go rzeczywistość były tak odmienne, że nie sposób było je pomylić.

Kalectwo genetyczne oszczędziło mu przynajmniej jakichkolwiek obsesji na punkcie seksu i był rad, że nie prześladują go żadne żądze, w których zaspokojeniu jego powierzchowność stanowiłaby przeszkodę nie do przebycia. Pragnął jednak akceptacji i chłonął najmniejszy okruczeństwo, jaką mu okazywano.

Patrzył na telepatów z innego punktu widzenia – jako na ludzi pozostających poza nawiasem społeczeństwa na skutek swej nie tyle fizycznej, co psychicznej nienormalności. Miał w sobie wystarczająco dużo cynizmu, aby zdawać sobie sprawę, że podziw dla telepatów prowokowany przez takie filmy, jak ten oraz przez oficjalne środki masowego przekazu jest sztuczny. Telepaci byli ludźmi z innej gliny, ludźmi nierealnymi, cudownymi, jak śnieg na szczytach odległych gór. Publiczności zgromadzonej w kinie imponowała zdolność podpatrywania sekretów w umysłach innych ludzi, ale bez względu na to, jak ostrożny był dialog i akcja filmu, które omijały ten problem, z chwilą wyjścia na jaw następstw takiej ingerencji – po postawieniu się w sytuacji człowieka, który nie może ukryć przed telepatą swoich myśli – następowała gwałtowna zmiana. Dwuwartościowość odczuć była wszechobecna – wiadomo było, że telepaci ratują życie, ratują rozum, oddalają groźbę wybuchu wojen domowych (jak kiedyś w tym kraju), a jednak świadomość tego nie skłaniała ludzi do stłumienia instynktownej niechęci.

Fakt istnienia telepatów przemycano do świadomości społecznej z jak najdalej posuniętą ostrożnością – celowo rozsiewano graniczące z absurdem plotki, prostowane potem w chłodnych, oficjalnych oświadczeniach, wiarygodnych przez zwykły kontrast; zamieszczano wzmianki w prasie o odbywających się ceremoniach – taki to a taki telepata, zatrudniony przez ONZ został dziś odznaczony najwyższym orderem takiego to a takiego kraju, który niedawno uratowano przed wojną domową. Jednak konkretnych ludzi, którzy stali za tym obrazem tworzonym na użytek opinii publicznej, można było szukać w nieskończoność i zdobyć zaledwie kilka nazwisk, kilka niewyraźnych fotografii i jakieś niesprecyzowane informacje z drugiej ręki.

Howson był pewien, że nawet taki melodramat, jak ten który właśnie oglądał, o akcji umiejscowionej gdzieś daleko należy do akcji propagandowej. I to wzbudzało w nim zazdrość. Zdawał sobie sprawę, że gdyby nie odpowiednie działania, to reakcja zwykłych

ludzi na nienormalność telepatów znalazłaby kulminacje w prześladowaniach, może nawet w samosądach. Ale ponieważ telepaci byli potrzebni, informacje o nich były specjalnie preparowane – w niesienie im pomocy angażował się cały świat.

Pragnął aż do bólu być trochę ważnym, bo wtedy jego ułomność – nie bardziej niezwykła niż psychiczne odchylenia od normy właściwe telepatom – wyglądałaby mniej katastrofalnie.

Myśli Howsona oderwały się od obrazu i powędrowały ku człowiekowi w brązowym ubraniu, który nie był już sam. Pochylał głowę w kierunku innego mężczyzny, który niezauważony przez Howsona zajął miejsce w fotelu obok. Cofając się pamięcią, Howson uświadomił sobie, że widział, jak w przeciągu ostatnich kilku minut dwukrotnie otwierały się drzwi do toalety.

Nastawił ciekawie uszu i nagle pot wystąpił mu na czoło. Wychwytywał urywki zdań wypowiedziane stłumionym głosem i dopowiadał sobie resztę.

Łódź na rzece... o drugiej po północy, przy Nabrzeżu Węglowym... Cudgels ma osobisty udział w tym towarze... według mnie, wart dobre pół miliona... zająć czymś ludzi Węza po drugiej stronie miasta... nie ma sprawy, sierżant dostał w łapę...

Mężczyźni uśmiechnęli się do siebie. Ten, który przyszedł później, wstał i poszedł do toalety. Zanim stamtąd wyszedł i wrócił na swoje miejsce w innym sektorze widowni, człowiek w brązowym ubraniu przerzucił sobie płaszcz przez ramię i skierował się do wyjścia. Howson siedział jak skamieniały. Szansa stania się kimś ważnym nadarzyła mu się tej samej chwili, kiedy o niej pomyślał.

Cudgels... Wąż – tak, na pewno. Nigdy nie miał z tym nic wspólnego, ale trudno było mieszkać w tej podupadłej dzielnicy miasta nie słysząc, choć przypadkiem tych nazwisk i nie wiedząc, że należały one do szefów rywalizujących ze sobą gangów. Zdemolowano jakiś klub, wybito największe okno wystawowe sklepu, jakiegoś chuligana znaleziono zalanego krwią przy pojemnikach na śmiecie i odwieziono do szpitala. Potem w ucho wpadły napomknięcia o Cudgelsie Listerze i Horacym „Wężu” Hamptonie. Czasami jakiś poinformowany młody człowiek wskazując przejeżdżający samochód mówił: „Oto droga do sukcesu, sam ją kiedyś wybiorę!”

Walcząc z niezdecydowaniem, ciężko oddychając, Howson zmusił się do podjęcia brzemiennej w skutki decyzji.

5

Ulica, która nadal nosiła nazwę Głównej Alei, w okresie kryzysu była areną decydujących wydarzeń. Gdy sytuacja wróciła do normy, ludzie wynieśli się stąd i miejsce to zaczęło się chylić ku upadkowi. Odchodzące od Alei przecznice niewiele różniły się teraz od slumsów, ona jednak była nadal dobrze oświetlona, zaś wystawy sklepów jarzyły się jasno i w normalnej sytuacji Howson unikałby jej. Zawsze wolał mrok od światła i noc od dnia.

Teraz, z walącym sercem, podążał nią odważnie. Na jej końcu znajdował się lokal – klub i bar – który Wąż obrał sobie za bazę wypadową. Wysiłki mające na celu nadanie swej zniekształconej twarzy srogiego wyrazu przed spotkaniem, ku któremu zmierzał, nie miały szans powodzenia. Powiedziało mu to lustro na drzwiach mijanego zakładu fryzjerskiego. Pozostawało przyjęcie postawy... hmm... nonszalanckiej.

Do diabła z tym. – Ważne było to, co miał do powiedzenia. Za pierwszym razem, nie zatrzymując się, przekuśtykał przed wejściem do lokalu. Czuł suchość w ustach i ucisk w żołądku. Stanął o kilka jardów dalej i powoli wyrównywał oddech, dopóki nie odzyskał nad nim jakiejś takiej kontroli. Dopiero potem zawrócił i wkroczył zdecydowanie do baru.

Wnętrze lśniło od chromu i luster. Na ścianach wisiały podświetlone reklamy. Z głośników zawieszonych wysoko pod sufitem płynęła głośnie muzyka. Przy stołach urzędowały już grupki wczesnych pijaczków, ale przy barze nie było jeszcze nikogo. Znudzony barman wsparty o ladę łokciami śledził obojętnym wzrokiem niskiego, utykającego gościa.

– Co ma być? – spytał wreszcie.

Howson nie pił, nigdy jeszcze nie próbował alkoholu. Widywał zataczających się pijaków i zastanawiał się, jak ktoś obdarzony kontrolą nad swymi ruchami, może z niej dobrowolnie zrezygnować. Myśl o tym, że jego ruchy mogłyby być jeszcze bardziej nieskoordynowane napawała go wstrętem. A zresztą nie miał pieniędzy.

– Czym... hmm... – wyjąkał – czy zastałem pana Hamptona?

Barman zdjął łokcie z lady.

– Co cię to obchodzi, garbusku? On nie jest na pokaz!

– Wiem coś, co go zainteresuje – powiedział Howson przeklinając w duchu puszczalkę, którą miał w gardle.

– On wie wszystko, co chce wiedzieć – warknął szorstko barman. – Tam są drzwi.

Zamknij je z tamtej strony.

Chwycił mokrą ścierkę i zaczął ścierać z lady krążki pozostawione przez kufle z piwem.

Howson rozejrzał się dookoła i oblizał wargi. Klienci przestali już gapić się na niego. Zachęcony tym, przesunął się bokiem, żeby znowu znaleźć się naprzeciwko barmana.

– Chodzi o pewien interes Cudgelsa – szepnął, jego szept brzmiał lepiej od zwykłego głosu.

– Od kiedy to Cudgels zwierza ci się ze swych interesów – zapytał ironicznie barman. Ale po chwili zastanowienia wzruszył ramionami. Sięgnął pod ladę i zdawał się czegoś tam szukać – pewnie przycisku dzwonka, bo po chwili drzwi za kontuarem otworzyły się i stanął w nich mężczyzna o wybrylantowanych włosach.

– Ten garbusek – powiedział barman – chce sprzedać panu Hamptonowi informacje o Cudgelsie.

Tłustowłosy spojrział niedowierzająco na Howsona. Potem również wzruszył ramionami i dał znak. Kłapa baru uniosła się przed Howsonem, który kuśtykając przeszedł na drugą stronę.

Na zapleczu znajdował się magazyn. Tłustowłosy przeprowadził tamtędy Howsona, a potem, minąwszy obite czerwonym rypsem drzwi, znaleźli się w skąpo oświetlonym korytarzyku kończącym się podobnymi drzwiami. Tłustowłosy wprowadził przez nie Howsona do pokoju, którego umeblowanie stanowiły cztery identyczne kanapy obite czerwonym materiałem, udekorowanego połączanymi kolumnienkami oraz ładnymi abstrakcyjnymi obrazami.

– Poczekaj tutaj – rzucił krótko tłustowłosy i wyszedł.

Howson siedział podenerwowany na samym brzeжку miękkiej, czerwonej kanapy i wodząc wokół wzrokiem starał się wyobrazić sobie, co się dzieje za ścianą. Zdawało mu się, że wyłowił uchem jakiś metaliczny szcęk i przypomniał sobie scenę z ulubionego filmu. Ruletka. W powietrzu wisiało podniecenie i to by wyjaśniało jego samopoczucie.

Wkrótce tłustowłosy powrócił, skinął na Howsona i tym razem wprowadził go do pomieszczenia przypominającego gabinet, gdzie za biurkiem zastawionym telefonami siedział szczupły mężczyzna o białych dłoniach. Po jego obu stronach stali wysocy, młodzi ludzie przypominający gwardzistów. Gdy wszedł Howson wyraz na ich twarzach uległ zmianie; czujność ustąpiła zdziwieniu.

Howson, przyglądając się mężczyźnie za biurkiem, zrozumiał dlaczego nazywano go Wężem. Miał twarz człowieka nieuczynego – w jego oczach czaiła się przebiegłość.

Przez dłuższą chwilę mierzył Howsona wzrokiem, potem, spoglądając na tłustowłosego, uniósł brew w niemym zapytaniu.

– Ten garbusek chce sprzedać jakieś informacje o Cudgelsie – padło zwięzłe wyjaśnienie. – To wszystko co wiem.

– Hmm... – Wąż potarł gładko wygolony podbródek. – I przychodzi bez uprzedzenia. Interesujące. Kim jesteś, garbusku?

Nie zabrzmiało to tak pogardliwie jak zwykle – był to po prostu przydomek. Może człowiek, którego nazywano wężem, był uczulony na tym punkcie. Howson odchrząknął.

– Nazywam się Garry Howson – powiedział. – Byłem przed godziną w kinie. Jakiś facet czekał tam na kogoś, kto przysiadł się do niego, kiedy szedł już film. Szeptali między sobą i podsłuchałem ich.

– Aha – skomentował Wąż. – No i?

– Tu powinniśmy chyba przejść do ceny – zasugerował tłustowłosy.

– Zamknij się, Collar – warknął Wąż.

Nie odrywał wzroku od Howsona.

– O drugiej w nocy, do Wybrzeża Węglowego ma podpłynąć łódź. Nie wiem na pewno, czy to dziś w nocy, ale wydaje mi się, że tak. Jest na niej towar wartości pół miliona.

Howson zamilkł i teraz dopiero pomyślał, że Collar miał prawdopodobnie rację – powinien od razu wymienić cenę, albo przynajmniej przekazywać informacje stopniowo. Po chwili odrzucił tę myśl. Nie, dobrze to rozegrał. Zapadło przedłużające się milczenie.

– A więc tak to robi – odezwał się w końcu Wąż. – Słyszałeś, Collar? Dobra, jeżeli słyszałeś, to czego tu jeszcze sterczysz?

Collar przełknął głośno ślinę i rzucił się do jednego ze stojących na biurku telefonów. Znowu zapadło milczenie, a dwaj goryle z zainteresowaniem gapili się na Howsona.

– Gizmo? – rzucił cicho Collar do mikrofonu słuchawki. – Tu Collar. Możesz mówić?... Tak jak zwykle. Mamy w nocy małą robótkę... Tak, w porządku. Nie dłużej niż dwie godziny.

Odłożył słuchawkę na widelki. Wąż wstawał już z fotela. Posłuchanie wyglądało na zakończone. Howson doznał uczucia silnej paniki.

– Eee – wyjąkał – zdaje mi się, że to coś warte, nie?

– Możliwe – Wąż obdarzył go sennym uśmiechem. – Niedługo się dowiemy, nieprawdaż? Na razie jest to warte... no, powiedzmy, parę drinków, skromny posiłek, przeciw

któremu nic nie masz, sądząc po twoim wyglądzie, no i trochę towarzystwa. Słyszysz, Lots?

Jeden z goryli skinął głową i wystąpił krok naprzód.

– Zajmij się nim, może być coś wart, a może nie. Zobaczymy. Dingus! – powiedział do drugiego z goryli.

– Twierdzi, że nazywa się Garry Howson. Weź jego adres. Skoczysz tam, gdzie mieszka i zasięgniesz języka. Nie zamarudź więcej niż dwie godziny. Jeśli poczujesz najmniejszy swąd – jeśli ktokolwiek powie, że widział go kiedyś w tym samym autobusie z którymś z chłopaków Cudgelsa – wal z powrotem i ostrzeż mnie. I odwołaj tego glinę, jeżeli zastaniesz kogoś z naszych na służbie w komisariacie.

Howson, walcząc z ogarniającym go strachem, powiedział ochryple.

– Ten człowiek w brązowym ubraniu... on mówił, że przekupili jakiegoś sierżanta, tylko nie wiem którego.

– Tak, to możliwe. Nie znalazłeś żadnego z tych mężczyzn, prawda? – dodał Wąż, tknięty jakąś myślą.

– Nie, ja... eeee... nigdy ich przedtem nie widziałem.

– Hm. No dobrze. Lots, zaprowadź go do Błękitnego Pokoju i zostań z nim, dopóki nie wróci Dingus.



Howson stwierdził z ulgą, że Lots nie żywi do niego niechęci; z jego pełnej niedomówień gadaniny wynikało, że jeżeli przyniesione przez Howsona informacje okażą się prawdziwe, to zatkana zostanie wyrwa w monopolu Węża na jakieś nielegalne towary – Howson nie pytał, jakie. Przyszło mu na myśl, że chodzi o narkotyki. Jego instynktowny wstręt do alkoholu rozciągał się również na narkotyki i wołał nie rozwijać tej myśli. Teraz liczyło się tylko to, że jest przez chwilę kimś ważnym.

Siedział z Lotsem w Błękitnym Pokoju – nazywanym tak, ponieważ jego sufit był w

kolorze wieczornego nieba, a dywan zaścielający podłogę – niebieski i tłumaczył sobie, że sprawdzenie informatora przed przystąpieniem do działania, było jedynym słusznym posunięciem ze strony Węża. Odpowiadał machinalnie na pytania swego opiekuna.

– Gdzieś się tak urządził, garbusku? – dopytywał się Lots – Miałeś wypadek?

– Taki już się urodziłem – odparł Howson. Zaświtała mu myśl, że Lots stara się okazywać mu sympatie, dodał więc przeproszającym tonem. – Nie lubię o tym mówić.

– Mm-ch ach – Lots ziewnął i wyciągnął przed siebie nogi. – Napijesz się czegoś? A może chcesz coś zjeść?

– Nie pije – powiedział Howson. Znowu poczuł dziwną chęć wytłumaczenia się. – I na trzeźwo niełatwo mi się chodzi.

Lots popatrzył na niego i roześmiał się chrapliwie.

– Ja bym chyba nie potrafił tak gadać o sobie, gdybym był na twoim miejscu. No dobra, zamów sobie colę, czy co. Ja łyknę dzynu.



To były długie, wlokące się w ślimaczym tempie godziny. Rozmowa urwała się po przyniesieniu posiłku. Lots zaproponował grę w pokera, zaofiarował się, że nauczy go jego zasad, zmienił jednak zdanie widząc, iż niezgrabne palce Howsona nie poradzą sobie z rozdawaniem kart. Speszony Howson zaproponował grę w szachy albo warcaby, ale ani jedno, ani drugie nie odpowiadało Lotsowi.

W końcu drzwi otworzyły się i do pokoju wsunął głowę Dingus.

– Rusz się, Lots! – krzyknął. – Na razie ten chłopak wygląda na czystego. Jedziemy teraz na Wybrzeże Węglowe.

Howson zerwał się automatycznie z miejsca. Dingus powstrzymał go gwałtownym gestem.

– Ty jeszcze poczekaj, garbusku! – warknął. – Pana Hamptona trudno zadowolić, a do drugiej w nocy zostało trochę czasu.

W samotności czas dłużył mu się jeszcze bardziej. W końcu, zaraz po północy, zdrzemnął się w fotelu. Skrzywniecie otwieranych drzwi wyrwało go gwałtownie ze snu. Nie miał pojęcia jak długo spał. Na wpół rozbudzony, dostrzegł wchodzącego do pokoju Węża. Byli z nim Lots, Dingus i Collar. W tej samej chwili, w której ich zobaczył, wiedział, że

powiodło mu się w tej grze.

– Zasłużyłeś na nagrodę, garbusku – powiedział cicho Wąż. – Naprawdę zasłużyłeś. Pozostaje jeszcze tylko jedno pytanie.

Umysł Howsona, wciąż jeszcze otumaniony, szukał gorączkowo tego pytania. Czyżby brzmiało: ile? Nie zgadł. Wąż ciągnął dalej:

– A brzmi ono – czy jesteś dobrym politykiem?

Howson wydał wymijający pomruk. W ustach znowu mu zaschło z podniecenia. Wąż przyglądał mu się badawczo przez długie sekundy, wreszcie, podjął decyzję. Pstryknął palcami na Collara.

– Niech będzie pięćset! – zawyrokował. – I jeszcze jedno – słuchasz, garbusku? – pamiętaj, że połowa z tego to zaliczka za następny raz, jeżeli do takiego dojdzie. Lots, weź wóz i odwieź go do domu.

Szok spowodowany wejściem w posiadanie sumy jakiej nigdy dotąd nie trzymał w ręku, przełamał barierę oddzielającą dotąd fantazje Howsona od rzeczywistości; ledwie rejestrował wydarzenia następnych trzydziestu minut – samochód, droga do domu – jego umysł wypełniało kłębowisko wizji. Nie tylko następny raz, ale jeszcze raz i jeszcze raz i jeszcze. Składać plotki w konkretne informacje, pobierać zapłatę, zbierać (co było nieskończenie bardziej ważne) pochwały i zostać w końcu uznanym za kogoś wartościowego. Tego pragnął najbardziej. Osiągnął to, co nieomal dla każdego byłoby czymś wręcz uwłaczającym – zrobił dla kogoś coś, co nie wymagało wkładu pracy i nie wzbudzało sympatii. Ale zrobił to sam. To był słup milowy w jego życiu, bo już uważał, że jest to równie niemożliwe jak przejście bez utykania ulicą.

Jego euforia i nadzieje karmiły się przez kilka następnych dni strzępami wiadomości i pogłoskami – donoszono, że miała miejsce jakaś bitwa między rywalizującymi gangami i policja odkryła ślady, ale potem utknęła w miejscu. Miał wrażenie, że czerpie odwagę, jak tlen z atmosfery plotek i poruszenia. Zamiast przemykać pod ścianami domów, przeszedł środkiem chodnika Głównej Alei, w pełnym blasku dnia i mógł ignorować ścigające go jak zwykle, współczujące spojrzenia, bo w głębi duszy wiedział, ile jest wart. Kierując się wielką w swoim mniemaniu, przebiegłością, daleko od domu, po długiej jeździe autobusem, rozmienił pięćsetkę na drobne banknoty, które nie wzbudzały podejrzeń. Większość z nich ukrył w swoim pokoju sprawiwszy sobie tylko nową parę butów o nierównych obcasach i nową kurtkę o nierówno wywatowanych ramionach.

Ale w sobotni wieczór jego nowy, wspaniały świat rozpadł się w gruzy.

6

Wczesnym wieczorem odliczył kilka banknotów z ukrytej w pokoju kupki pieniędzy. Dawniej nawet mu nie przychodziło do głowy, że można wydać tyle pieniędzy na raz; często, po opłaceniu pokoju, nie pozostawało mu więcej niż piątka, z której musiał utrzymać się przez cały tydzień. Wtedy zmuszony był dorabiać w najmniej lubiany sposób: zmywać sztućce w pobliskiej jadalni, w zamian za co pozwalano mu oczyszczać talerze z niedojedzonych resztek. Sztućce nie tłukły się tak jak szklanki i kieliszki, kiedy wypuszczał je z rąk. Świadomość, że tym właśnie kierował się właściciel, bardzo go bolała.

Tego wieczora miał jednak zamiar poszaleć. Film, którego jeszcze nie oglądał; poza tym cola, cukierki, lody, różne dziecięce zachcianki, które wciąż jeszcze przedkładał ponad wszystko. Wstydził się w duchu, że naprawdę je lubi, ale w obecnym nastroju czuł się zdolny do podjęcia wyzwania. Do diabła z tym, co mogą sobie pomyśleć ludzie o dwudziestolatku zajadającym się cukierkami i lodami!

Żałował, że nowa kurtka i nowe buty nie są jeszcze gotowe, ale powiedziano mu, że to potrwa przynajmniej dziesięć dni. Nie pozostawało mu więc nic innego, ja tylko wypucować zmatowiałą skórę i niewprawnie usunąć szczotką brudne plamy ze starego ubrania.

I do miasta – sobotni wieczór i dobra zabawa, zaraz poczuje się chociaż trochę normalnie, zrobi to, co robią zwykli ludzie.

Wąską uliczką, gdzie wszyscy go znają, patrzą na niego bez zdziwienia, czasem pozdrowią – ale nie dzisiaj. Dziwne. Myślał jednak o innych rzeczach i nie zastanawiał się, dlaczego nikt się do niego nie odzywa. Czuł wyraźnie, że ludzie o nim myślą, ale był to przecież absurd, produkt uboczny rozsadzającej go euforii.



Jednak wrażenie to nie opuszczało go. Nawet kiedy wkroczył śmiało na skapaną w świetle Główną Aleję i szedł z podniesioną głową wśród tłumów obcych ludzi, jego umysł wciąż je odtwarzał.

Początkowo było to nawet zabawne, ale po pewnym czasie stało się irytujące.

Zrezygnował z kupna biletu na wczesny seans w wybranym uprzednio kinie – nie w tym, do którego normalnie chodził, bo tam wyświetlano film, który już znał, ale w tym, do którego trzeba było dojechać autobusem. Ludzie tego wieczoru byli w dobrych humorach i ktoś pomógł mu wsiąść do autobusu torując drogę przez tłum tarasujący wejście, ale nawet to nie poprawiło jego nastroju. Gorzej – odebrał to jako przykre podkreślenie jego ułomności.

W końcu, w półtorej godziny po wyjściu z domu, był już tak roztrzęsiony, że poniechał swoich planów na ten wieczór i postanowił wrócić do domu, zły sam na siebie, przekonany, że to brak odwagi zepsuł mu zabawę i zdecydowany udowodnić samemu sobie, że ulega złudzeniu.

W miarę jak zbliżał się do ulicy, przy której mieszkał, prześladowające go uczucie niepokoju, pomimo wysiłków jakie czynił, żeby je ignorować, wzmagало się. Miał wrażenie, że jest obserwowany. Wreszcie, pewien że ktoś go śledzi, zatrzymał się nagle i obejrzał za siebie. W miejscu, na które odruchowo padł jego wzrok, nie było nikogo; patrzył na zamknięte drzwi. Gdy stał tak zakłopotany, drzwi otworzyły się i wyszła przez nie dziewczyna. Przystanęła na chwilę i odwróciła głowę, żeby powiedzieć coś do kogoś w głębi domu.

Od tej chwili uczucie niepokoju rozsadzało mu już czaszkę. Szedł dalej oszołomiony, usiłując odpędzić podejrzenia, które wypełzały z ciemnych zakamarków jego mózgu. Nie udawało mu się to. Niepokój przybrał formę ospałych słów.

– *Tracę rozum. Na pewno tracę rozum.*

Skręcił za róg i znalazł się na swojej ulicy. Przystanął, opierając się ręką o chropowatą, betonową ścianę, żeby się trochę uspokoić i zaczerpnąć tchu. I wtedy wszystko się wyjaśniło.

Przed nim, przy drzwiach jego domu, stał duży, biały samochód. Na jego dachu migąło błękitne światło, a na masce widniał napis POLICE. Siedzący w środku kierowca wystawiał niedbale łokieć przez opuszczoną szybę – rozmawiał z dwoma pochylającymi się nad nim umundurowanymi funkcjonariuszami.

Słyszał ich.

Byli oddaleni od niego o pięćdziesiąt jardów; rozmawiali półgłosem, a on słyszał każde słowo, jakie padało z ich ust, rozmawiali o nim.

No nie... Często chodzi do kina... Może robi coś dla Węza... Mało prawdopodobne; jeszcze jeden na jego pensji... Mówią, że... Musiał pierwszy nawiązać z nim kontakt. Waż nie żebrze o pomoc...

Śmiertelny strach zagnieździł się w umyśle Howsona. W ulicę skręcił jakiś samochód,

co pozwoliło mu czmychnąć, ale te nieprawdopodobne głosy ściagały go dalej.

Spytaj w sąsiednim kinie... Szkoda fatygi, prędzej czy później wróci. O ile ktoś go nie ostrzegł. Czekaj w jego pokoju, albo przyjdź go zdjąć po północy...

To było o nim – to o mnie. O Geraldzie Howsonie: zupełnie jakby w dniu moich narodzin nad tym miastem zaciążyło przekleństwo.



Ale była to tylko jedna z przyczyn przerażenia, jakie nim zaważnęło. Drugą i ważniejszą była świadomość, kim się stał. Z takiej odległości nie mógł słyszeć o czym policjanci rozmawiali. A jednak ich słowa docierały do niego i to zabarwione czymś, co nie było tonem głosu, w pełnym tego słowa znaczeniu, ale pomimo to zdradzającym indywidualne cechy – tonem myśli. Jeden ton był groźny. Człowiek, który nim myślał miał skłonność do brutalności i rozkoszował się władzą, jaką dawał mu mundur. Myślał o biciu. Mówili, że to kaleka, no i co tego? Był winny śmierci człowieka, walki gangów, zbrodni. A więc należy go zmusić do zeznań biciem.

Howson nie potrafił sprostać szokowi spowodowanemu tym prostym stwierdzeniem: „Jestem telepatą”. Docierały one do niego w formie, jaką ukształtował sobie oglądając filmy o telepatach: „Jestem nienormalny zarówno fizycznie, jak i psychicznie”.

Czy naprawdę podsłuchał, co mężczyzna w brązowym ubraniu mówił do swego sąsiada? A może już wtedy przechwycił myśli?

Teraz nie miał czasu na roztrząsanie tej kwestii. Uciekał, utykając, aby wmieszać się w anonimowy tłum, byle dalej od domu, niezdolny do zatrzymania się na przystanku i poczekania na autobus, bo stanie w miejscu, podczas gdy był tropiony, przekraczało jego siły. Wzrok miał zamglony. Bolały go nogi. – Płuca pracowały jak miechy przefiltrowując masy powietrza. Zatracił zdolność logicznego rozumowania. Ruch był tym, na co jedynie mógł się zdobyć.

Ku jakiej przyszłości kuśtykał teraz? Każdy wyłaniający się z mroku budynek zdawał się nieskończenie wysoko pięć w górę przekształcając znajome ulice na kaniony o niebotycznych ścianach, każdy samochód o reflektorach – ślepiach zdawał się warczeć nań jak gończy pies, każde skrzyżowanie zapowiadało zderzenie z przeznaczeniem i oddychał z ulgą, kiedy nie natykał się na blokadę. W uszach mu dzwoniło, mięśnie płonęły, ale nie

przystawał.

Biegł na oślep; trzymał się, o ile było to możliwe, linii prostej będącej przedłużeniem ulicy, przy której mieszkał. Trasa wiodła przez labirynt brudnych uliczek dzielnicy ruder, potem wśród magazynów i małych zakładów produkcyjnych, w których jak informowały szyldy, wytwarzano opakowania kartonowe, odzież i plastikowe meble. Snuły się tu spóźnione ciężarówki i Howson zdawał sobie sprawę, że ich kierowcy widzą go, ale nie miał gdzie ukryć się przed ich wzrokiem.

Otoczenie znowu się zmieniło. Mijał teraz małe sklepiki, bary, gdzie ryczała muzyka. Odbiorniki telewizyjne z okien wystawowych migotały ekranami do widowni złożonej z neonów i ulicznych latarni. Biegł dalej.

I nagle otoczyły go ślepe, wysokie na dwanaście stóp ściany z poszarzałego betonu i wyblakłej cegły. Stał jak wryty skojarzywszy sobie to miejsce z więzieniem, potem na chybił trafił skręcił w prawo. Po chwili rozpoznał te okolice; znajdował się niedaleko rzeki, którą Cudgels usiłował przemycić swoje warte pół miliona... coś tam. Tablica informacyjna głosiła, że jest to WSCHODNIA STREFA WOLNOCŁOWA GŁÓWNEGO BASENU PORTOWEGO DLA TOWARÓW PODLEGAJĄCYCH OCLENIU oraz ostrzegła, że WSTĘP BEZ UPOWAŻNIENIA GŁÓWNEGO INSPEKTORA KOMORY CELNEJ ZABRONIONY.

Słowo „inspektor” skojarzało mu się ze ścigającą go policją. W panice zmienił znowu kierunek ucieczki i wpadł w krętą aleję, byle dalej od wysokich, przywodzących na myśl więzienie, ścian. Nigdy dotąd nie forsował tak swego organizmu; ból w nodze stawał się nie do wytrzymania. Wokół panowała straszna cisza, nie tyle słyszalna, co odczuwalna – puste obszary, gdzie nie było żywego ducha, przerażały wychowanego w mieście Howsona, który nigdy nie spał dalej niż dwadzieścia stóp od innego człowieka.

Mur po jego lewej ręce urwał się raptownie otwierając widok na rozległy plac odgrodzony od ulicy drutem rozpiętym na wbitych w ziemię, drewnianych słupach. Howson mrugał oczyma, usiłując przebić wzrokiem ciemności rozjaśniane nieco kilkoma latarniami. Może tu znajdzie schronienie – na pustym placu wznosił się częściowo zburzony budynek magazynu. Ocalała tylko jego tylna cześć. Na ogrodzeniu bujała się ubabrana błotem tablica: NA SPRZEDAŻ – NA NABYWICY SPOCZYWA OBOWIĄZEK DOKOŃCZENIA ROZBIÓRKI.

Myszkował wzdłuż ogrodzenia z nosem przy ziemi, jak węszący zwierzak, szukając przejścia. Znalazł je w miejscu, gdzie prawdopodobnie dzieci podkopały słup i odepchnęły go na bok. Przeczółgał się na brzuchu pod drutem nie zwracając uwagi na to, że tyła się w błocie

i pokuśtykał w kierunku zbawczej ruiny.

Gdy wpadł pod osłonę postrzępionej ściany, wyczerpanie, szok i przerażenie zlały się w jedno i fala zalewającej go czerni przyniosła mu ulgę.



Przebudzenie było równie straszne. Po raz pierwszy w życiu, budząc się, widział siebie, nie otwierając oczu.

Koło świadomości zamknęło się i nawiedziły go mętne obrazy kłócące się z wrażeniami odbieranymi przez znane mu zmysły. Czuł się zeszywniały, było mu zimno, zdawał sobie sprawę ze swego ciężaru i pozycji – leżał płasko, na wznak, na stosie starych, brudnych worków, głowa znajdowała się nieco wyżej, na czymś szorstkim i twardym. Jednocześnie świadom był szarego półświatła, niezgrabnego, skrzyconego kształtu, przypominającego połamaną kukłę o obwisłej twarzy – jego własnej, widzianej z zewnątrz. I tracąc w tym wszystkim orientację doznał jeszcze niepokojącego, fizycznego uczucia – prostych ramion, których nigdy nie miał i czegoś ciężkiego na piersi, ale ciągnącego w dół i do przodu – czyżby jeszcze jedna deformacja?

Zrozumiawszy nagle, wydał okrzyk i otworzył oczy. Przestraszony, usiłował przerwać niepożądane sprzężenie umysłów. Machnął na oślep ręką i jego palce i wczepiły się w kołtun tłustych włosów, oddalony zaledwie o stopę od niego.

Tej próbie rozpoznania otoczenia towarzyszył stłumiony okrzyk. Nie upadł na plecy tracąc przytomność – na pewno nie upadł na ten barłóg, a więc ktoś go tu przeniósł. I zrobiła to chyba ta osoba – ta dziewczyna o pospolitej, smutnej twarzy, grubych ramionach i szeroko rozwartych, wystraszonych oczach, klęcząca u jego pośłania.

Przestraszyła się mnie! Nikt dotąd się mnie nie bał!

Ale kiedy chciał rozkoszować się tym nowym uczuciem, stwierdził, że nie umie. Strach dziewczyny cuchnął. Puścił machinalnie trzymany w garści kłęb włosów i strach zelżał. Pomagając sobie rękoma uniósł się do pozycji siedzącej i przyjrzał dokładnie dziewczynie.

Wyglądała na jakieś szesnaście, siedemnaście lat, chociaż nie miała makijażu, w przeciwieństwie do większości jej rówieśniczek. Była przysadzista i biednie odziana w ciemnoszary płaszcz zarzucony na bawełnianą sukienkę – ubranie miała czyste, ale dłonie

całe w błocie.

– Kim jesteś? – zapytał Howson ochryple. – Czego chcesz?

Nie odpowiedziała. Zamiast tego sięgnęła za siebie i podsunęła mu papierową torebkę trzymając ją tak, żeby mógł zajrzeć do środka. Znajdowały się w niej suche kromki chleba, kawałek sera i dwa poobijane jabłka. Howson podniósł zdziwiony wzrok z torebki na jej twarz, zastanawiając się dlaczego gestami i poruszaniem ust zachęca go do jedzenia, ale nie mówi.

I nagle, jakby w desperacji, wydała piskliwy, bulgoczący dźwięk. Wtedy zrozumiał.

O Boże! Jesteś głuchoniema!

Puściła gwałtownie torebkę z jedzeniem i zerwała się na nogi. Jej mózg kipiał z niedowierzania. Odebrała myśli wysyłane przez jego niewytrenowany, telepatyczny „głos” i całkowita obcość tego doznania wstrząsnęła i tak już zachwianymi fundamentami jej umysłu. Jeszcze raz chorobliwy odór strachu zabarwił świadomość Howsona, ale tym razem wiedział już co to oznacza i w nie dbający o to świat wpłynęła fala niekontrolowanego współczucia dla kogoś mu podobnego, docierając również do niej.

Natychmiast osunęła się na kolana i opuściwszy głowę zaczęła szlochać. Uniósł niezdecydowanie rękę. Pochwyciła ją gwałtownie i na palce zaczęły mu kapać ciepłe, wilgotne łzy.

Najlepiej jak umiał, sformułował myślowy komunikat i wyprowadził go przez niepojęty kanał, dopiero co otwarty w jego umyśle. Spróbował powiedzieć *Nie bój się*, a potem *Dziękuję ci za pomoc* i wreszcie *Przywykniesz do tego, że mówię do ciebie*.

Oczekując jakiegokolwiek oznaki, która świadczyłaby, że rozumiała, wpatrywał się w czubek jej głowy, jak gdyby spodziewał się tam odczytać dziwną przyszłość, jaka była mu pisana.

7

Przemyślawszy wszystko później zrozumiał, że z tej pierwszej, prostej próby porozumienia się, wynikły już jego dalsze losy. Ta instynktowna reakcja wywodziła się z jego chorobliwej, unikalnej dążności do bycia kimś ważnym. Uchwycił się kurczowo okazji zanieśienia wiadomości Wężowi zupełnie nie zważając na konsekwencje, podobnie jak głodujący człowiek rzuca się na zapleśniałą skórkę chleba. Szok wywołany świadomością, że

stał się kryminalistą a dokładniej współnikiem morderstwa, zbiegł się w czasie z uświadomieniem swoich zdolności telepatycznych i diametralnie zmienił jego plany. Niczego teraz tak nie pragnął, jak uciec z powrotem w zwyczajność i sama myśl o tym, że jest telepatą, przerażała go. Gdyby ktoś podczas tej przepelnionej trwogą ucieczki ciemnymi ulicami zapytał go o to, Howson przysięgłby, że nie chce nigdy korzystać z tego daru.

Powiedziałby również, że chce pozostać na zawsze głuchym! Oczy można trzymać zamknięte, ale to coś, co on posiadał nie było ani wzrokiem, ani słuchem, ani dotykiem – to było coś nieporównywalnego, coś, przed czym nie sposób było uciec.

To uczucie przyprawiało go z początku o zawrót głowy. Jego problem uległ zdziesięciokrotnieniu przez niezwykle świat, w którym spędziła swe życia dziewczyna i jednocześnie, co było paradoksem – uproszczeniu, bo im więcej dowiadywał się o jej kalectwie, tym bardziej zaczynał uważać siebie za szczęśliwca. Przestając z kaleką, Howsonem, ludzie mogli jeszcze dostrzegać człowieka pod szpetną powłoką cielesną. Ale ta głuchoniema dziewczyna potrafiła zasygnalizować na migi tylko swoje podstawowe potrzeby, a więc ludzie uważali ją za bezrozumne zwierze.

Była zupełnie normalna, brakowało jej tylko nerwów łączących mózg z uszami, a źle wykształcone struny głosowe nie mogły prawidłowo wibrować i tylko uderzały luźno o siebie wydając bulgotliwe pochrząkiwania. A jednak Howson czuł, że można jej pomóc. Wiedział z telewizji, że istnieją specjalne metody leczenia takich wad. Poruszając się po omacku szukał powodów, dla których nie zastosowano ich w jej przypadku.

Z początku nie umiał wydobyć żadnego sensu z wrażeń, jakie czerpał z jej umysłu, bo dziewczyna nigdy nie opanowała werbalnego myślenia. Posługiwała się danymi kinestetycznymi i wizualnymi w ogromnych, przemieszanych ze sobą blokach. Kiedy starał się wyrazić myślami coś więcej niż te pierwsze ogólne pojęcie bezpieczeństwa, siedziała nieruchomo wpatrując się w niego i szlochając, uwolniona wreszcie od samotności, zbyt przejęta, by pytać o istotę nawiązanej między nimi komunikacji.

Natrafił na trop, kiedy spróbował ponownie zinterpretować rzeczy, które jej „powiedział”. „Odezwał się” znowu: *Nie bój się*, a ona sformułowała to pojecie w znajomych sobie obrazach – na wpół pamięciowych, na wpół fizycznych odczuciach ciepła i zadowolenia, które wyraźnie nawiązywały do niemowlęcych doświadczeń przy karmieniu piersią. Powiedział: *Dziękuję ci za pomoc* i wywołało to obrazy jej rodziców z uśmiechami na twarzach. Były dziwnie rozmyte. Przemagając się, poszedł tym tropem, ciekaw, jak wyglądało życie dziewczyny.

Penetrując jej podświadomość natykał się na osobliwe dwoistości. Połowa umysłu dziewczyny wiedziała, jakim był w rzeczywistości jej ojciec – robotnik portowy, zawsze brudny, często pijany, o okropnym charakterze i rozdziawiających się przerażająco ustach wyrzucających coś, co porównywała do niewidzialnych wymiocin, bo nie słyszała nigdy niczego wypowiedzianego ludzkim głosem. Ku wielkiemu zaskoczeniu Howsona, była w pełni świadoma funkcji normalnej mowy, a zatem ta obserwacja dotyczyła tylko ryku wściekłego ojca.

Ale widząc go takim, jakim był naprawdę, pielęgnowała jednocześnie jego wyidealizowany obraz poskładany z tych nielicznych momentów, kiedy z okazji rozmaitych uroczystości wkładał porządne ubranie i w przyływie dobrego humoru traktował ją jak córkę, a nie jak bezużyteczny ciężar. A na te obrazy nakładały się jeszcze ślady fantastycznych marzeń, ze skraju których Howson wycofał się odruchowo. Dziewczyna była w nich porzuconą księżniczką.

Matkę ledwie pamiętała; zniknęła nagle na jakimś etapie dzieciństwa dziewczyny, a jej miejsce zajmowały kolejno kobiety w wieku wahającym się między dwudziestką a pięćdziesiątką, o nieokreślonym stopniu pokrewieństwa względem ojca i niej samej. Przychodziły i odchodziły z mieszkania zajmowanego przez ojca w czynszowej kamienicy, ale nie umiając mówić, nie mogła zadawać pytań, więc nie wiedziała dlaczego się zmieniają.

Z tego podkładu brudu, frustracji i braku miłości wyrastało pragnienie, które Howson zrozumiał natychmiast, bo było analogiczne do jego marzeń o tym, że staje się kimś ważnym. Nie zrezygnował z tej ambicji, chociaż to przez nią znalazł się w obecnej sytuacji. Dziewczyna tęskniła za kluczem do tajemnicy mowy, do tych szklanych drzwi, które odcinały ją od wszystkich. W desperackiej próbie zastąpienia jej jakimiś innymi środkami łączności wyrobiła w sobie nawyk spędzania wolnego czasu na pomaganiu sąsiadom lub wyręczaniu ich w drobnych pracach domowych. Jej jedyną pożywką emocjonalną był uśmiech podziękowania za zaopiekowanie się dzieckiem, albo załatwienie jakiejś sprawy na tyle prostej, że można ją było wyjaśnić na migi.

Ostatnio potrzebowała tego wsparcia coraz bardziej. Ojciec pił tak, że nie pozwolono mu pokazywać się w pracy, dopóki zupełnie nie wytrzeźwieje – tak Howson zinterpretował chaotyczne wspomnienia, do których miał dostęp. To spowodowało, że stał się jeszcze bardziej porywczy i nieopanowany niż dotąd i dziewczyna musiała często przebywać poza domem, żeby schodzić mu z drogi, póki nie zaśnie. Kiedy przyszła do rozwalonego magazynu, żeby schronić się przed wiatrem i znalazła tam Howsona, pomogła mu

odruchowo. Ułożyła go na stosie starych worków i w nadziei na trochę pochwał oraz wdzięczności, udała się na poszukiwanie czegoś do zjedzenia.

Doszedłszy do tego etapu swoich niewprawnie prowadzonych dociekań uświadomił sobie, że boli go głowa. Ćwiczenie nowej umiejętności nie było samo w sobie trudne, przypominało oglądanie po raz pierwszy obrazu i dopasowywanie kształtów i barw odbieranych przez zmysł wzroku do znanych przedmiotów. Z drugiej strony, tak długa koncentracja była męcząca. Zaczął wycofywać się z kontaktu.

Wyczuwając co chce zrobić, chwyciła go za rękę. Oczy miała szeroko otwarte, błagające. W jej umyśle płonęła niezwerbalizowana, ale niemożliwa do błędnego zinterpretowania prośba.

Wspomnienie katastrofy, której cudem uniknął, było dla Howsona zbyt świeże, żeby mógł myśleć o jakichkolwiek nowych ambicjach. Nie miał pojęcia co pocnie ze swoją nową umiejętnością, korzystanie z niej przyprawiało go o zawrót głowy, o straszliwe podniecenie, jak kierowanie po raz pierwszy szybkim samochodem. Tylko takie porównanie przychodziło mu na razie do głowy. Instynkt ostrzegał go wciąż, że powinien szukać normalności.

Jednak miał teraz szanse stania się dla kogoś kimś ważnym, czego tak gorąco pragnął. Co prawda nie był to znowu taki ktoś; po prostu niekochana, nieszczęśliwa, okaleczona fizycznie dziewczyna, znajdująca się w podobnej jak on sytuacji.

Było jeszcze za wcześnie na decyzję, która z tych dwóch przeciwstawnych pokus w końcu zwycięży, ale w każdym razie teraz nie miał żadnego innego planu poza spełnieniem pragnienia dziewczyny: *Zostań ze mną.*

Zachichotała wydając gruby, nieludzki dźwięk, uśmiechnęła się szeroko i porwała zapomnianą torebkę z jedzeniem, żeby wepchnąć mu ją w rękę i zmusić do posilenia się.



Czas upływał niepostrzeżenie. Zdawał się unosić go do przodu samą tylko siłą bezwładności. Pomatu przyzwyczajał się do egzystencji zbiega; nocami odbywali ukradkowe wyprawy w poszukiwaniu pożywienia i wtedy jego telepatyczy dar ostrzegał ich o zbliżającym się niebezpieczeństwie dając czas na ukrycie się, a za dnia mieli mnóstwo zajęć, którym sam by nie podolał.

Pod osłoną niskiej ściany starego magazynu zaczęła nabierać kształtu prowizoryczna

przybudówka. Dziewczyna, nie zadając pytań, zносиła jak pies stare deski, pordzewiałe gwoździe i wyszukiwała odpowiedniej wielkości kamienie, które służyły im za młotki. Była oczywiście silniejsza od Howsona. Chyba każdy był od niego silniejszy.

Od chwili ich spotkania nie opuszczała go ani na moment. Ojciec był tumanem mgły w porównaniu z obecnością Howsona, który naprawdę potrafił się z nią porozumieć. Sama myśl o rozstaniu z nim na dłużej niż kilka minut napawała ją przerażeniem, bo groziło to powrotem na stałe do dawnej samotności. Z początku Howson obawiał się, że ktoś będzie jej szukać. Potem zdecydował, że ryzyko jest minimalne i skupił się całkowicie nad własnymi problemami.

Spędzał długie godziny na niewesołych rozmyślaniach – o pieniądzach, którymi tak krótko się cieszył, spoczywających teraz w skrytce w jego pokoju i niemożliwych do odzyskania, o swojej nowej kurtce i butach, po których odbiór nie śmiał się zgłosić. Nie potrafił przewidzieć, ile jeszcze czasu musi upłynąć, żeby mógł się bez obawy pokazać na ulicy. Raz czy dwa wychwylił myśli patrolującego okoliczne tereny policjanta i wiedział, że listy gończe za nim nadal krążą.

Nędzna wegetacja, na którą według swego odczucia mógł sobie bezpiecznie pozwolić, zaczęła mu dokuczać po paru dniach. Ponieważ nie mógł od niej uciec fizycznie, unikał jej psychicznie, marząc na jawie, tak jak to zwykł robić dawniej, ale starając się teraz wykorzystywać w tym celu swój nowy dar.

Filmy o telepatach, które oglądał, dostarczyły mu gotowy scenariusz, który mógł rozwijać. Zapytał kiedyś dziewczynę, co sądzi o kinie i telewizji i dowiedział się tego, czego się spodziewał – że mało dla niej znaczący, bo nie słyszała dialogów, więc nie rozumiała filmów, ale barwa i przepych obrazów stanowiły jej obsesję.

Tytułem próby, zapożyczając wątek z jej własnych, snuty od dawna marzeń o bogatym ojcu i kochającej matce, którzy przybywają, by upomnieć się o swe dawno zaginione dziecko i przynoszą ze sobą dar mowy, postarał się wyjaśnić, co traciła, nic nie słysząc. W swojej pełnej przeciagów namiastce domu tulili się do siebie w poszukiwaniu ciepła, on zaś wymyślał rozbudowane, bogate w szczegóły melodramaty, w których sam grał rolę wysokiego przystojnego młodzieńca o prostych plecach, ona zaś była piękną, wysmukłą, wspaniale ubraną dziewczyną.

Rzeczywisty, okrutny świat wydawał im się coraz mniej pociągający; a ta jego cząstka, którą widzieli, zdawała się być coraz bardziej bezbarwna. Howson dochodził do przekonania, że będzie szczęśliwy, jeżeli już nigdy nie będzie musiał mieć z nim do czynienia. Zdarzały się chwile, gdy przypominał sobie, że telepaci byli przez ten świat dobrze

traktowani, podziwiani, cenieni. Ale nie miał pewności, czy ujawnienie się przed władzami nie pociągnęłoby za sobą żadnych przykrych konsekwencji. Rozważył możliwość udania się do czynników oficjalnych i oznajmienia: „Jestem telepatą”. Kilkakrotnie zastanawiał się nad tym, ale za każdym razem odkładał moment podjęcia decyzji. Na razie miał swoje światy ze snów i na nich skupiał całe zainteresowanie. Sny te zaś stawały się z dnia na dzień coraz żywsze i lepiej skomponowane.

A jednak ukrywając się przed światem, przez cały czas oznajmiał mu o swoim istnieniu.



Łącznościowiec przymocował hełm do kryzy otaczającej jego szyję, odcinając od wszechświata wszystkie normalne kanały zmysłowe. Ślepy, głuchy i nieważki pozwolił się zamknąć w szczelnie odizolowanym przedziale satelity, który okrążając Ziemię wyłonił się właśnie spoza krzywizny planety i znalazł się w jednej linii z pęcherzykiem świadomości dryfującym teraz ku czerwonej poświacie Marsa. Łącznościowiec odprężył się, stosując metody jogi i przygotowywał swój umysł na przyjęcie wiązki informacyjnej nadlatującej z odległości dziesięciu milionów mil.

–? (milczące pytanie, wyrażające gotowość odbioru).

– ! (uczucie podniecenia, które nie słabło z dnia na dzień i oznaczało, że statek sprawuje się idealnie, a nadzieje na powodzenie wyprawy nadal są wysokie).

I nagle:

– ... *żli ludzie kulą się ze strachu przed wszystkowiedzącym, przenikającym ściany telepatą, odzierającym fałszywe warstwy hipnotycznego uwarunkowania z umysłu...*

– *Kto to? Ziemia, na miłość boską, czy przechwytujecie spektakl telewizyjny?*

– ... *biednej dziewczyny, uwięzionej w ponurej fortecy, gdzie upłynęło na darmo całe jej życie, nie otwierającej nigdy do nikogo swych ust...*

– *Mój Boże, ależ to energia, ogłusza jak cios żelaznym prętem! KIM JESTEŚ?*

– ... *szlocha teraz ze zwykłej radości, bo jej niegodziwy ojciec okazał się ojczymem, a wybawca...*

– *STATEK MARSJANSKI ANULOWAĆ ANULOWAĆ ANULOWAĆ – połączymy się później – to eskapistyczne fantazje, a ze sposobu w jaki są snute wynika, że będzie to grupa*

katapatyczna i zanim dowiemy się czy to prawda...

– ... wyprowadza ją z więzienia na jasny, skąpany w słońcu świat, wolny od cierpień...

– ... nie możemy stracić takiego umysłu! Na Boga, czy nie wyczuwasz potęgi, jaką dysponuje? To niewiarygodne!

Ze statku marsjańskiego, zabarwione zgodą:

– Gdzie on jest? Na Ziemi? Gdzie (miasto), gdzie (ulica)?

– Chyba gdzieś na widocznej półkuli! Musimy go zlokalizować zanim...

I głośno, wałnął pięścią w ścianę hermetycznej kabiny:

– Wypuście mnie stąd. Szybko!

8

Coś działo się na zewnątrz, w realnym świecie. Wcześniej, nad miastem przetaczał się huk silników samolotu latającego tam i z powrotem, przeczesującego niebo, a teraz, tuż pod niską pokrywą szarych chmur brzęczały helikoptery. Z góry, na zawałony gruzem plac, na którym stał zrujnowany magazyn, siąpił przygnębiający kapuśniaczek, tworząc miniaturowe jeziora i rzeczki zabarwione na czerwono ceglany pyłem. Howsona świat zewnętrzny nie obchodził w ogóle. Poza tym dzień był ponury. Lepiej skulić się pod przykryciem i popuścić wodze wyobraźni.

A jednak zastanawiające, że odejście w marzenia było dzisiaj trudniejsze niż zwykle. Rozpraszały go natarczywe myśli wypelzające, nieproszone, nie wiadomo skąd. Zirytowany zastanawiał się co może być tego przyczyną: głód, ziąb, oderwane obrazy odbierane z umysłu dziewczyny, kłócaące się z własnymi myślami.

Ale przecież podjedli dobrze w nocy, zaś małe ognisko, nad którym gotowali postny bigos tliło się jeszcze i utrzymywało przyjemną temperaturę w ich prowizorycznym szałasie. Nie miał wątpliwości, że umysł dziewczyny wycofuje się ze sprzężenia z jego umysłem, była nieprawdopodobnie bierną widownią, gotową do wymazania ze swej świadomości wszystkiego, z wyjątkiem kuszących wizji, które potrafił tworzyć Howson.

Niemniej jednak, ta niemożność skupienia uwagi trwała, utrzymując się na samej granicy świadomości w równowadze tak chwiejnej, że ustępowała z chwilą, gdy się o niej pomyślało. Przez kilka sekund wydawało mu się, że myśli: *Przecież to dziecinada, dlaczego*

nie nauczę się właściwie wykorzystywać moich umiejętności? W chwilę potem, gdy usiłował stłumić tę myśl, przychodziła mu do głowy następna: – Śniąc na jawie mogę zapomnieć o potrzebach mojego ciała i zagłodzić się na śmierć, na którą zaraz znajdował hardą odpowiedź: No i co z tego?, a na nią natychmiastową ripostę: Umrzesz nie zaznając intymności telepatycznej przyjaźni.

Stracił oddech i siadając gwałtownie otworzył oczy. Ten nagły ruch wywołał ukłucie bólu w zeszywniałych mięśniach karku. Obok dziewczyna wychlipywała swój żal za zerwanym kontaktem. Nie zwracając na nią uwagi, podźwignął się z trudem na nogi i głową naprzód wypadł na dwór przez zasłonięty workiem otwór zastępujący im drzwi..

Siąpiący deszczyk nie był na tyle gęsty, żeby rozmywać kontury okolicznych budynków, ale wystarczająco rześisty, by uniemożliwić patrzenie w górę. Przekonał się o tym, kiedy zadarł głowę. Oczy zalewała mu woda, brudna od miejskiego dymu i kurzu, czyniąc go bezradnie ślepy. Poza tym to, co spodziewał się zobaczyć, skrywało się wciąż ponad chmurami.

Skrywało się! A jak on miał się ukryć?

Ta ostatnia rozpraszająca myśl, ta która poderwała go na nogi, nie była wytworem ani jego umysłu, ani dziewczyny. Za jej prostą werbalizacją leżały, warstwa po warstwie, doświadczenia należące do telepaty o pełnym wyszkoleniu i ogromnej praktyce. Wycucie tego nie wymagało specjalnej wiedzy. Komunikat mówił sam za siebie.

Przyszli więc po niego, a on nie mógł uciekać i nie umiał jeszcze wytłumaczyć projekcji swoich myśli.

Warkot helikoptera rozsadzał mu uszy, deszcz zalewał oczy. Wiedziony nagłym impulsem ucieczki zaczął biec, utykając, przez wyboisty plac. Poślizgnął się na rozmięklej mazi i runął jak długi w kałużę. Nie bacząc na wilgoć i błoto oblepiające mu ubranie, zerwał się na nogi. Słyszał za sobą nieartykułowany, bulgotliwy głos dziewczyny. Ponad wszelką wątpliwość wyczuwał teraz, że łowcy zlokalizowali go i lada chwila spodziewał się ujrzeć kanciaste, owadzie sylwetki helikopterów przebijających pokrywę chmur i zbliżające się doń niczym sepy, które krążą nad zabłąkanym podróżnikiem.

I rzeczywiście, jeden z nich pojawił się. Howson dysząc ciężko i klnąc skręcił w bok i poślizgnąwszy złapał się czegoś, żeby uniknąć następnego upadku. Śmigłowiec przeleciał nad placem i zatrzymał się bezpośrednio nad nim. Wartki strumień przyspieszonych kropli deszczu uderzył go w wierzch głowy. Skierowany w dół prąd powietrza utworzył wokół

niego klatkę, której prętami stały się strugi wody.

Dziewczyna krzyczała teraz, jak umiała. Odrażający bełkot mieszał się z warkotem silnika śmigłowca.

– *Telepato, czego się lękasz?*

W jego czaszce rozległ się cichy głos, który niczym zimny, orzeźwiający wiatr otoczył jego świadomość w huraganie hałasu i strachu. Był pełen zachęty do zaakceptowania tego, co się dzieje. Howson przez chwilę był zbyt zaskoczony, by przeciwstawić się temu wtargnięciu w swoją świadomość. To nie były przypadkowe myśli, które wychwytywał z biernego umysłu, ale celowa projekcja, wsparta siłą wielu lat umysłowej dyscypliny. Potem, z chmur opuścił się drugi śmigłowiec i ogarnięty paniką Howson znalazł w sobie siłę.

– *NIE NIE NIE ZOSTAWCIE MNIE!*

Helikopter wiszący nad głową Howsona zareagował na tę nieukierunkowaną myśl tak, jakby trafiła go seria pocisków. Pochylił się dziobem w dół, przechylił na bok i przemknął lotem ślizgowym nad pustym placem. Poderwał się, ale zahaczył jedną z szeroko rozkraczonych płóz o ścianę zrujnowanego magazynu, obrócił się wokół punktu zderzenia i runął z łomotem na spiętrzone zwaly gruzu. Łopatkami wirnika połamały się jak suche gałazki, a silnik natychmiast zgasł.

Nie wierząc własnym oczom, Howson patrzył na rozbijający się helikopter i odpędzał od siebie myśl, że to prawdopodobnie on jest temu winny. Wiedział jednak, że tak jest – wyczuł przecież paniczny strach w umyśle pilota, który tracił kontrolę nad wszystkimi swoimi odruchami. Co więcej, ten pilot wysyłał w jego kierunku telepatyczny przekaz, tam zaś gdzie kontakt między nimi został nawiązany, pojawiło się uczucie, które przypomniało mu jego stłuczenie.

W tej samej chwili uświadomił sobie, że nie wyczuwa już umysłu dziewczyny. Obejrzał się i zobaczył, że leży ona nieprzytomna w błocie.

Ogarnęło go krótkotrwałe podniecenie. Jeżeli jest zdolny do tego, jest zdolny do wszystkiego! Niech tylko po niego przyjdą! Będzie ich odpierał siłą swego umysłu, dopóki nie uczynią tak jak on chce i nie zostawią go w spokoju.

I wtedy poczuł ból.

Buchał on, poza wszelką świadomą kontrolą, czarnymi, oślepiającymi falami z kadłuba roztrzaskanego śmigłowca i był wycelowany w Howsona przez świadomość ofiar katastrofy, której był sprawcą. Dyszał ciężko, odnosząc wrażenie, że to on ma złamaną nogę, że to jego klatka piersiowa jest zmiażdżona, że to z jego głowy rozłupanej o ostrą, metalową krawędź leje się krew. Telepata znowu wniknęła w jego wstrząśnięty umysł.

– *To ty zrobiłeś.*

– *ZOSTAWCIE MNIE!*

Tym razem jednak ocalały helikopter nawet nie drgnął. Telepatyczny kontakt zadrżał, ale nie uległ przerwaniu, bo furia projekcji Howsona została osłabiona przez odbierany ból. Zataczając się nieprzytomnie, ruszył przez otwarty teren z zamiarem ukrycia się w ruinie magazynu. Kuśtykając, starał się gorączkowo sformułować odpowiedź na zarzut telepaty.

– *Zostawcie mnie. Nie chce być ważny. Kiedy zadaje się ze światem, dzieją się złe rzeczy (promieniowała z tego mieszanina pojęć – policja czekająca u jego drzwi, pilot helikoptera wczepiony kurczowo w stery maszyny).*

Gramolił się na usypisko cegieł i brył pokruszonego betonu w kierunku ściany, gdzie połówka pustego otworu okiennego tworzyła coś na kształt pojedynczej blanki muru obronnego. Chłodna projekcja telepaty trwała nadal.

– *Marnujesz swój talent na fantazje. Nie wiesz, jak z niego korzystać. Stąd te nieszczęścia – on jest jak szybki samochód, którego jeszcze nie nauczyłeś się prowadzić.*

I wprawnie wkomponowane w ten przekaz, pojawiły się obrazy sprawiające, że kupa gruzu przybrała kształt rozbitego samochodu, płonącego pod ścianą, w którą czołowo uderzył.

Oszalały z bólu, przerażony bogactwem tego przekazu tak niewymuszonego i tak przerastającego jego własne możliwości Howson dotarł do szczytu usypiska i chwiejąc się na nogach stanął w rozebrany do połowy wysokości otworze okiennym. Pod nim ziała głęboka na dwanaście stóp przepaść, kończąca się na betonowej podłodze jakiegoś pomieszczenia, które dawniej musiało być piwnicą. W panice pomyślał o skoczeniu w dół.

– *Mogę cię osłonić przed bólem i strachem. Pozwól mi.*

– *NIE NIE NIE ZOSTAWCIE MNIE!*

Kontakt zafalował, telepata zdawał się zbierać wszystkie siły. Po chwili powiedział.

– *Dobrze. Sam tego chciałeś, głupcze. Trzymaj się.*

Żelazny uścisk zamknął się na ośrodkach motorycznych mózgu Howsona. Jego dłonie zacisnęły się na framudze starego okna, jego stopy znalazły pewne oparcie na parapecie i teraz nie mógł się już poruszyć – telepata sparaliżował jego kończyny. Z przerażeniem stwierdził, że nie może nawet wykrzyknąć swego strachu.

Potem pojawiły się obrazy.

Drzwi wychodzące na aleje. Uchylone. Za nimi ludzki kształt – chudy jak szkielet o przekrwionych oczach, zapadniętych policzkach – wlokący się samą siłą woli. Przez drzwi widać, że zostawia za sobą ślad w warstwie kurzu pokrywającej podłogę korytarza.

Tułowiem na zewnątrz, nogami jeszcze w środku, pada bez sił na próg. Mija czas,

znajduje go dziecko, które bieгло aleją goniąc za piłką i ucieka z krzykiem, wzywając pomocy.

Nadchodzi policjant, układa wygłodzonego mężczyznę na wznak i podkłada mu pod głowę swój płaszcz. Pojawia się lekarz z sanitariuszami. Dostrzegają ślad na kurzu i policjant z lekarzem wchodzi do ciemnego korytarza. Idą po śladach pozostawionych przez mężczyznę.

Teraz pokój oświetlany skąpo promieniami słońca wpadającymi przez brudne szyby – chlew, w którym na pustych, drewnianych skrzyniach przykrytych szmatami siedzą jeszcze cztery żywe szkielety niezdolne ani do myślenia ani do poruszania się. Na ich twarzach i rekach...

Howson wzdrygnął się, zbierało mu się na wymioty, ale srogi, mentalny uścisk nie słabł.

Na ich twarzach, na powiekach, na zmarszczkach na czole, za uszami i wszędzie: kurz. Osiadający powoli i nieubłaganie, bo oni nie mogą się poruszyć, żeby mu w tym przeszkodzić.

Był telepatą – mówi przekaz – Nazywał się Vargas. Też lubił oddawać się fantazjom w obecności podziwiającej go widowni. On i ci, którzy z nim byli, zmarli.

Howson krzyknął. Udało mu się. Wyrwał się z unieruchamiającego go uścisku, zatoczył się i przez jedną chwilę szalonej trwogi uświadomił sobie, że stracił równowagę i spada. W ostatnim przeblysku świadomości pomyślał o gałęzi i siniaku, który nie goił się przez kilka tygodni.



– Nic ci nie będzie.

Te słowa wypowiedziane zostały głośno i subtelnie wzmocnione przez wyrażone myślą pocieszenie. Howson otworzył oczy i ujrzał nad sobą spokojną twarz. Była to raczej dobra twarz i gościł na niej uśmiech.

Otworzył usta, spróbował coś odpowiedzieć, ale myśli były szybsze od głosu.

– Nie trudź się mówieniem. Jestem telepatą – nazywam się Danny Waldemar.

Świadomość bandaży na głowie i ramionach – niepewne pytanie.

– Nic ci nie jest! Gdy zorientowaliśmy się, że bardzo krwawisz, zaaplikowaliśmy ci protrombinę. Wszystkie zadrapania zasklepiły się – i nagle przejście na łączność telepatyczną – *Czy wiesz, że to cud, że jeszcze żyjesz? Mogłeś już umrzeć ze sto razy, od zwykłych skaleczeń.*

Nie umarł, więc ta uwaga wydała mu się bezsensowna. Zmienił temat.

– *Co ze mną będzie?* – to pytanie zamglone było strachem i bliżej niesprecyzowanymi obrazami ludzkiej wiwisekcji.

– Nie obawiaj się – powiedział głośno, powoli, z naciskiem Waldemar. – Nie zostanie ci zrobione nic, czego nie będziesz rozumiał. Nic! Od tej chwili będziesz zawsze wiedział, co kto robi i dlaczego!

– *O... oczywiście!* – Howson poczuł, jak na jego szpetną twarz wypelza coś w rodzaju uśmiechu. Widząc, że chłopiec się uspokaja, Waldemar zachichotał głośno i wstał. – *Zaladujemy cię teraz do helikoptera i zabierzemy w pewne miejsce. Tamtymi ranami zajmiemy się jak należy.*

– *Zaczekaj.*

Waldemar urwał i spojrzał na Howsona.

– *Ta dziewczyna. Jest głuchoniema. Byłem wszystkim, co miała... wszystkim, co miało w jej życiu jakieś znaczenie. Jeżeli zabieracie mnie, musicie zabrać i ją. Tak nie można.*

Waldemar, zaskoczony tym oświadczeniem, zacisnął usta. Przez chwilę sprawiał wrażenie zaskłanego, skupionego, w końcu uśmiechnął się.

Dobrze, czemu nie? To absurd, żeby w dzisiejszych czasach tak kogoś zostawić. Mózg ma nieuszkodzony, a to znaczy, że może otrzymać sztuczne struny głosowe, sztuczne uszy... Czemu nie? Zabierzemy ją ze sobą, nie ma sprawy.

Howson zamknął oczy. Był całkowicie pewien, że ta sugestia została wsączona do jego mózgu przez Waldemara, ale mało go to obchodziło. Teraz ważne było jedynie to, że jest zadowolony z tego, co się stało i że przyszłość już go nie przeraża.

Gdzieś z oddali dotarł do niego śmiech rozbrzmiewający w umyśle Waldemara.

Część druga

AGITAT

9

Howson siedział zapatrzony w panoramę Ułan Bator i dziwił się jak bardzo stan tego miasta przypomina jego własny. Wyczuwał jego nastrój – przez resztę życia będzie bez przerwy wystawiony na kaprysy emocjonalnej pogody, na sumę nastrojów otaczających go, indywidualnych umysłów.

Zmieniający się model świata – transport, handel, środki łączności przyspieszył rozwój tego miasta i pchnął w nowoczesne czasy; były w nim teraz wysmukłe, białe wieże i szerokie aleje, przybywali tu podróżni ze wszystkich stron świata. Pośród zawieruchy zachodzących przemian, starszym ludziom nie pozostawało nic innego, jak tylko roztrzasać czegóż to się doczekali i bez większego entuzjazmu tęsknić za przeszłością.

On też zaskoczony został odmianą losu, której nie chciał i był przekonany, że zaakceptuje ją tylko wtedy, gdy okaże się, iż pociąga ona za sobą inne zmiany – zmiany, których pragnął.

Nie chodziło tu o sposób, w jaki go traktowano. Zadawano sobie wiele trudu, żeby czuł się dobrze. Pomijając już nadzwyczaj dokładne badania lekarskie, jakim poddali go tutejsi specjaliści – a szpital w Ułan Bator był głównym centrum terapeutycznym Światowej Organizacji Zdrowia na obszar Azji i posiadał odpowiedni do swojej rangi personel. Załatwiono mu też takie pomniejsze luksusy, jak ten fotel, w którym teraz siedział. Został on zaprojektowany i wykonany specjalnie dla niego – Geralda Howsona – był mniejszy niż normalne fotele i miał kształt wiernie odpowiadający jego deformacjom. Specjalnie dla niego zaprojektowano też łóżko i wyposażenie przylegającej do pokoju łazienki oraz wiele, wiele innych rzeczy.

Ale nie sprawiało mu to radości. Niczym się właściwie nie różniło od korzystania z pomocy przy wsiadaniu do autobusu, od nienawistnego przypominania mu o jego ułomności.

Rozległo się pukanie do drzwi. Automatycznie skierował swą uwagę na gościa – nie, na gości. Jak dotąd nie przeszedł żadnego formalnego szkolenia w wykorzystywaniu swojego talentu, ale w skład stałego personelu szpitala wchodził również telepaci i samo przebywanie w ich pobliżu wpłynęło korzystnie na jego umiejętności kontrolowania swego umysłu i zwiększyło jego wrażliwość. Nie mógł nie podziwiać tych ludzi – jak zresztą wszyscy. Ale jak dotąd nie dowiedział się o nich niczego takiego, co pogodziłoby go z faktem, że jest tym, czym oni nie byli – karłem i w dodatku zdeformowanym.

– Tak, proszę wejść – powiedział znużonym tonem zarówno na głos, jak i telepatycznie.

Pierwszy wszedł Pandit Singh. Był to dobrze zbudowany mężczyzna z zadatkami na otyłość, o gładko przyczesanej brodzie i bystrych, jasnych oczach. Sprawował funkcje ordynatora terapii A – innymi słowy odpowiadał za leczenie wszystkich przypadków związanych z neurologią i psychologią. Ludzie, nie wyłączając Howsona, lubili go. Gerald znajdował się nadal pod wrażeniem faktu, że współczucie tego człowieka było zawsze zabarwione zdecydowaną chęcią uczynienia wszystkiego, co tylko możliwe, żeby mu pomóc. Współczucie większości ludzi zaprawione było ulgą, że nie im się to przytrafiło.

Wraz z Singhiem do pokoju weszli Danny Waldemar i jeden z neurologów – kobieta nazwiskiem Christine Bakwa, którą Howson poznał już wcześniej, w jednym z wielu gabinetów zabiegowych jakie odwiedził. Nie udawało się jej utrzymać w ryzach swoich zwerbalizowanych myśli najłatwiej dostępnych dla przypadkowego, telepatycznego „spojrzenia” i zanim jeszcze przekroczyła próg, Howson dowiedział się od niej niemal wszystkiego, co Singh miał mu do powiedzenia.

Mimo to wykonał uprzejmy gest zapraszając ich, żeby usiedli i odwrócił się na swoim fotelu przodem do Singha.

– Dzień dobry, Gerry – przywitał go Singh. – Słyszałem, że odwiedziła cię twoja przyjaciółka. Jak się czuje? Chciałem zamienić z nią parę słów, ale byłem zbyt zajęty.

– Coraz lepiej – odparł Howson.

I tak było w istocie. Zaczynała się już przyzwyczajać do impulsów wysyłanych przez cewki drgające, które zainstalowali jej w uszach chirurdzy oraz do bioaktywizowanych, plastikowych strun głosowych, którymi zastąpiono jej własne. Obiecywano, że po przejściu przeszkolenia będzie dysponowała melodyjnym, choć może lekko zacinającym się głosem. Howson stłumił w sobie zazdrość na wspomnienie jej dziecinnej radości i zadał pytanie, na które odpowiedź właściwie już znał.

– A co ze mną?

Singh nie odwrócił wzroku.

– Wiesz, że mam dla ciebie złe nowiny – powiedział. – To wykluczone, żebym mógł ukryć je przed tobą.

– Słucham – powiedział zacinając się Howson.

– Dobrze – Singh westchnął.

Dał znak Christine Bakwa i ta wręczyła mu plik dokumentów z teczki, którą przyniosła. Biorąc leżący na wierzchu arkusz, Singh ciągnął dalej.

– Na początek, Gerry musisz wiedzieć, że istnieje problem związany z twoim dziadkiem – ojcem twojej matki.

– Zmarł na długo przed moim urodzeniem – mruknął Howson.

– Wiem o tym. Czy mówiono ci kiedykolwiek, dlaczego umarł tak młodo?

Howson pokręcił głową.

– Wyczuwałem chyba, że moja matka nie lubi o tym mówić i nigdy nie poruszała tego tematu.

– Tak, musiała o tym wiedzieć. Cierpiał na hemofilię, to znaczy był człowiekiem, którego organizm nie wytwarza enzymu trombiny, powodującego krzepnięcie krwi. Nie powinien był mieć dzieci. Ale miał je i odziedziczyłeś tę chorobę.

– Mówiłem ci o tym – wtrącił Danny Waldemar – kiedy zabieraliśmy cię na pokład helikoptera, pamiętasz? Powiedziałem wtedy, że zaaplikowaliśmy ci protrombinę, która jest sztucznym preparatem wywołującym krzepliwość krwi. Twoje skaleczenia i blizny zawsze długo się goiły, prawda? Poważny krwotok – na przykład z nosa – najprawdopodobniej uwieźiłby cię na długie miesiące w szpitalu, a niewykluczone, że doprowadziłby do twojej śmierci.

– *Naprawdę?* – Howson zadał to sarkastyczne pytanie na poziomie telepatycznym, ale zawierało ono w sobie tyle goryczy, że Waldemar odruchowo wzdrygnął się.

– No i co z tego? – spytał głośno Howson. – Protrombina mi pomaga. Moje rany szybko pokryły się strupami i zagoiły.

Singh i Waldemar wymienili spojrzenia. Zanim wielki Hindus zdążył się odezwać, Howson wiedział już, o czym myśli.

– Nie? – wyszeptał.

– Przykro mi, Gerry, ale nie. Te rany goiły się dwa razy dłużej niż powinny. I coś bardziej poważnego od tych zadrapań – dajmy na to, złamanie kości – prawdopodobnie nie wygoiłoby się nigdy. A jednak i w tym właśnie tkwi paradoks, właśnie dzięki temu jesteś najbardziej obiecującym telepatą-nowicjuszem, jaki znalazł się w kręgu naszych

zainteresowań od czasów Ilsy Kronstadt. Pozwól, że ci to wyjaśnię.

Wziął z pliku papierów jeden arkusz i podniósł go w górę. Była to duża, czarno-biała plansza przedstawiająca przekrój ludzkiego mózgu. U podstawy kory mózgowej czerwonym tuszem naniesiono małą strzałkę.

– Prawdopodobnie odczytałeś już z mego umysłu większość tego, co chce ci powiedzieć – ciągnął Singh. – Jak już zauważył Danny w czasie waszego pierwszego spotkania, będziesz teraz zawsze wiedział o wszystkim, co ci robimy i rozumiał cel każdego zabiegu. Ale jeżeli nie masz nic przeciwko temu wyjaśnię wszystko po kolei. Nie jestem telepatą i lepiej posługuje się słowami niż niezwerbalizowanymi pojęciami.

Howson skinął głową wpatrując się z wyrazem cierpienia na twarzy w rysunek.

– Informacje są zapamiętywane w mózgu w sposób raczej przypadkowy – ciągnął Singh. – Jego pojemność jest wykorzystywana w bardzo małym stopniu. Istnieją jednak pewne jego obszary, w których zazwyczaj koncentruje się określony rodzaj danych, to zaś, co nazywamy „obrazem ciała” – rodzaj wzorca odniesienia stanu naszego ciała – jest przechowywane w miejscu wskazywanym przez tę strzałkę. Przeważająca część danych potrzebnych organizmowi do walki z chorobą, znajduje się naturalnie na poziomie komórkowym, ale w twoim przypadku, ten mechanizm jest uszkodzony. Dowodem twoja hemofilia. Można by temu zaradzić stosując sztuczną stymulację twojego ośrodka obrazu ciała, – ale tu właśnie mamy do czynienia z paradoksem, o którym mówiłem.

Zmienił rysunek na inny, ukazujący mózg od spodu. Na nim również narysowana była czerwona strzałka.

– Mamy tutaj typowy mózg przeciętnego człowieka – taki, jak mój, czy Christiny. Czerwona strzałka wskazuje grupę komórek nazywanych zespołem Funcka. Jest on tak mały, że od czasu odkrycia pierwszych telepatów nie podejrzewano nawet jego istnienia. W moim mózgu tworzy go na przykład około stu komórek, niewiele różniących się od swoich sąsiadek. Zwróć uwagę na jego położenie.

Wziął z pliku papierów następny arkusz. Było to duże zdjęcie rentgenowskie. Wyraźnie widniał na nim białawy zarys czaszki ze szczęką i kręgiem szyjnym.

– Przypomnij sobie jak robiliśmy zdjęcie rentgenowskie twojej głowy, Gerry, po podaniu ci substancji kontrastującej, która selektywnie... eee... „zabarwia” komórki wchodzące w skład zespołu Funcka. Spójrz, co uzyskaliśmy.

Howson wpatrywał się w zdjęcie.

– Ta biaława plama u podstawy mózgu – powiedział Singh – to twój zespół Funcka.

Jest największy z dotychczas zbadanych; prawie o dwadzieścia procent większy od największego, jaki widziałem. Potencjalnie, dysponujesz najpotężniejszymi na świecie zdolnościami telepatycznymi, bo jest to zespół rezonujący z impulsami powstającymi w innych systemach nerwowych. Jesteś zdolny do poradzenia sobie z ilością informacji, która przyprawia o zawrót głowy.

– I dlatego jestem kaleką? – spytał Howson.

– Tak – Singh odłożył powoli zdjęcie. – Tak Gerry. Twój zespół zajmuje miejsce zarezerwowane dla obrazu ciała i z tego właśnie powodu nie możemy uczynić nic, co pozwoliłoby na poprawienie twojego wyglądu zewnętrznego. Każda operacja zakrojona na skalę wystarczająco szeroką, żeby ci pomóc, jednocześnie musiałaby zakończyć się twoją śmiercią.



– No i co, Danny? – spytał Singh, gdy znaleźli się z powrotem w jego gabinecie. Telepata, którego specjalnością było odkrywanie i szkolenie nowych członków jego kasty, potrząsnął powoli głową.

– Nie ma żadnego bodźca, który zachęciłby go do współpracy z nami – powiedział. – Mój Boże, czy można mieć o to do niego pretensje? Wczuj się w jego położenie! Ta jego twarz, którą widzi, ilekroć spojrzy w lustro – twarz debilnego dziecka! Cóż to dla niego za pociecha, że po dwudziestu latach tego koszmaru został telepata? Wyłapałem parę rzeczy z jego umysłu... – przerwał i głośno przełknął ślinę.

– Pomyśl tylko! Po raz pierwszy usłyszano go na orbicie poprzez łącznościowca kosmicznego, a więc potencjalnie jego „głos” jest najdonośniejszy w historii. Ale jego prawdziwy głos nigdy się w pełni nie wykształcił – wciąż wydaje te idiotyczne piski kastrata! Na miłość boską, on jeszcze nie stracił mlecznych zębów, na szczęście, biorąc pod uwagę jego hemofilię, ale pomyśl, jak to wpłynęło na jego psychikę. Wyhodowanie sobie włosów, z którymi można się pokazać u fryzjera, zabiera mu trzy miesiące. Nie ma nawet zaczątków brody. Co do życia płciowego, to ma do niego stosunek powierzchniowy i nigdy jeszcze nie odczuwał w związku z tymi większych emocji. Bóg jeden wie, jak wpłynie na niego zetknięcie się po raz pierwszy z kimś cierpiącym na zaburzenia seksualne.

– Czy potrafimy sobie z tym poradzić? – zapytał Singh.

– Nie ma mowy! – uciął zdecydowanie Waldemar. – Nie możesz myśleć poważnie o możliwości pogorszenia jego stanu – a wierz mi, doprowadziłbyś do tego czyniąc go, za pomocą hormonów, dojrzałym seksualnie i pozostawiając w tym pokracznym ciele. A zresztą nie jestem pewien, czy by ci się to udało. Jego obraz ciała tak bardzo odbiega od normy, że nie śmiem zgadywać, czy zareagowałby na działanie hormonów czy nie.

– Co do mnie, to myślałam... – wtrąciła się Christine Bukwa, ale urwała.

Waldemar spojrzał na nią.

– Zastanawiałaś się, czy potrafimy rozmontować jego umysł, a potem złożyć go z powrotem, tak? Żeby usunąć tę straszną zazdrość, jaką budzi w nim jego przyjaciółka?

– Tak, o to właśnie chciałam spytać – neurolog uczyniła nieokreślony gest. – Rozumiem, dlaczego jest obrażony na cały świat. Wyposażenie tej dziewczyny w mowę i słuch było tak łatwe, że podświadomie musi niedowierzać, że jemu nie możemy pomóc, sam zaś fakt, że tylko pod tym warunkiem poszedł z tobą, przemawia za jego wysokim ładunkiem empatii.

– Zgoda – przyznał Waldemar – tylko że... że on jest potężny.

– Wydawało mi się, że kiedy go po raz pierwszy zlokalizowałeś, zdołałeś przejąć nad nim kontrolę.

– Na krótko. Nigdy by mi się to nie udało, gdyby nie to, że cierpiał strasznie, zdając sobie sprawę, iż przez niego rozbił się helikopter z ludźmi na pokładzie. Zresztą w końcu wyrwał mi się. Nie, gdy będzie spokojny, potrafi oprzeć się wszelkiej próbie ingerencji w swój umysł i nie jestem pewien, czy telepata, który podjąłby się tego zadania, pozostałby przy zdrowych zmysłach.

Zapadło niezręczne milczenie. Przerwał je cichy brzęczyk telefonu stojącego na biurku Singha, który wyciągnął rękę, żeby nacisnąć klawisz odbioru.

– Tak?

– Jest tu pan Hemmikaini, doktorze Singh – zakomunikował głos. – Mówi, że był z panem umówiony.

– Ach tak, tak! Bardzo dobrze! Przyślij go na górę – Singh puścił przycisk i spojrzał na swoich podwładnych. – Idzie tutaj jeden ze specjalnych agentów Sekretarza Generalnego ONZ. Wydaje mi się, że będę miał nowy problem i przestanę martwić się przez cały czas Howsonem. Ale przy potencjale, jaki reprezentuje Howson...

Wstając, Waldemar dokończył to zdanie za niego.

– ... można by sobie życzyć – mruknął, – żeby reszta tego przeklętego świata przestała

nam przez kilka dni zawracać głowę i pozwoliła przebić mur jego oporu. Ktoś powinien to kiedyś zbadać – czy my, telepaci, nie sprawiamy czasem więcej kłopotów, niż ich oszczędzamy.

Obdarzył Singha kwaśnym uśmiechem i wyszedł.

10

Hemmikaini był postawnym mężczyzną o okrągłej twarzy, jasnych, bardzo krótko przystrzyżonych włosach i bardzo różowej skórze. Wyglądał na tego, kim był – zdolnego funkcjonariusza na kierowniczym stanowisku, bez reszty oddanego swojej pracy. Z tym, że natura jego obowiązków służbowych była nietypowa.

Podał Singhowi dłoń o pulchnych palcach i położył na rogu biurka swoją czarną aktówkę po czym opadł na fotel, wygodnie się w nim sadowiąc.

– No cóż, wie pan, co mnie tu sprowadza, doktorze Singh. Wie pan również, że czasu mamy mało, więc nie będę go tracił na zbędne konwenanse. Mamy problem. Analizy komputerowe wykazują, że potrzebny jest nam ktoś o talencie i doświadczeniu rzędu tych, jakimi dysponuje Ilsa Kronstadt. Ergo, potrzebujemy właśnie jej – ona jest jedyna w swoim rodzaju. Jednak nasza prośba o oddelegowanie jej do pracy z nami, którą skierowaliśmy do dyrektora naczelnego tutejszej placówki spotkała się z sugestią, aby ktoś od nas przyjechał i porozmawiał z panem osobiście. Dlaczego?

Singh oparł się łokciami o biurko i spuściwszy wzrok na swoje dłonie złączył je starannie czubkami palców. Nie podnosząc głowy powiedział:

– W rzeczywistości chce się pan jedynie dowiedzieć, co takiego może tu robić Ilsa Kronstadt, że uważamy to za ważniejsze od akcji pacyfikacyjnej ONZ.

Hemmikaini zamrugał powiekami. Po chwili pauzy skinął głową.

– Ponieważ stawia pan sprawę tak jasno, przyznam, że tak jest w istocie.

Singh westchnął w zadumie.

– Przypuszczam, że to znowu Południowa Afryka?

– Nietrudno zgadnąć, jeśli czyta się gazety. Ale dokonam jednej poprawki – Hemmikaini pochylił się żeby dodać znaczenia swoim słowom. – To nie jest „znowu Południowa Afryka”! Od czasu Czarnej Wędrownki Ludów, kiedy połowa siły robotniczej Południowej Afryki wyemigrowała z kraju, jest to – i był – cień w naszym boku. Cofaliśmy

się i cofaliśmy, żeby posprzątać po każdym kolejnym wybuchu i sądziliśmy, że ostatecznie rozwiąaliśmy ten problem. Ale nie rozwiąaliśmy go... do końca. Tym razem jednak, chcemy wreszcie doprowadzić do tego, co mieliśmy nadzieję zrobić od czasu, kiedy po raz pierwszy mieliśmy do pomocy telepatów.

– Chcecie stłumić to w zarodku – mruknął Singh.

– Właśnie. Mamy teraz niemal wszystkie dane po temu. Makerakera był tam przez trzy miesiące ze wszystkimi ludźmi jakich mieliśmy do dyspozycji. Ale termin wybuchu jest bardzo bliski. Żeby zdążyć, potrzebujemy Ilsa Kronstadt.

Singh wstał gwałtownie zza biurka i podszedł wielkimi krokami do okna. Kciukiem włączył pełną przezroczystość szyb i zapatrzył się na panoramę Ułan Bator. Nie odwracając się do Hemmikainiego powiedział.

– Przykro mi, ale nic z tego.

– Co takiego? – Hemmikaini ledwo opanował się. – Niech pan posłucha, doktorze Singh...! – urwał uświadamiając sobie obcesowość swojego tonu i ciągnął dalej bardzo uprzejmie. – Czy to odpowiedź doktor Kronstadt?

– Nie mam zielonego pojęcia. Wasza propozycja nie została jej wcale przedstawiona.

– A więc o co, u diabła, panu chodzi? – Hemmikaini tym razem nie czynił wysiłków, żeby zachować spokój.

– Musiał się pan prawdopodobnie zastanawiać – powiedział Singh – dlaczego Ilsa odeszła z Komisji Pacyfikacyjnej ONZ, gdzie była praktycznie pionierem metod pokojowej kontroli, które z czasem stały się standardową procedurą.

– Tak, oczywiście, zastanawiałem się – warknął Hemmikaini.

– No i?

– No więc... a więc wydaje mi się... zakładam, że potrzebna jej była zmiana. Bardzo często przepracowywała się.

Singh odwrócił się teraz do gościa i wpadające przez okno światło prześwietliło siwe końce jego włosów i brody.

– Ilsa Kronstadt jest umierająca.

Jasnoróżowe usta Hemmikainiego rozchyliły się. Nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Normalnie – ciągnął nieubłaganie Singh – ktoś tak niezastąpiony, jak Ilsa znajduje się pod bezustanną obserwacją lekarzy, psychologów, hordy specjalistów. Jednak kilka lat temu miała miejsce cała seria kryzysów: Indie, Indonezja, Portugalia, Gujana i na jakiś czas

poniechano tych środków ostrożności. Jakiś czas potem, wykryliśmy w mózgu Ilisy jakiś złośliwy guz. Gdyby został wykryty w odpowiednio wczesnym stadium rozwoju, moglibyśmy go usunąć metodami mikrochirurgicznymi, jeżeli trochę później, można by było zastosować ultradźwięki, albo spójną wiązkę elektronów. Guz rozwinął się jednak do tego stopnia, że nie ma teraz możliwości usunięcia go spod kory mózgowej bez uciekania się do chirurgii klasycznej.

– O mój Boże – jęknął Hemmikaini. Nie patrzył na Singha. Prawdopodobnie nie mógł.
– Chce pan przez to powiedzieć, że aby się do niego dostać, musielibyście przeciąć jej zespół telepatyczny.

– Tak właśnie wygląda sytuacja.

– Czy ona wie?

– A czy próbował pan kiedykolwiek utrzymać coś w sekrecie przed telepatą? Może tego dokonać tylko inny telepata, a w przypadku Ilisy Kronstadt, nie jestem wcale pewien, czy urodził się już taki, któremu by się to udało. Ona jest zdolna do opanowania całej osobowości innej ludzkiej istoty, albo świadomości aktualnego istnienia tuzina osób jednocześnie.

Singh odwrócił w powietrzu dłoń, jakby zsypywał z nich piasek.

– Nie może dla was pracować, panie Hemmikaini. Dopóki przebywa tutaj, możemy utrzymywać ją przy życiu i umiejętnie gospodarować jej energią. Nie jest inwalidką w pełnym tego słowa znaczeniu – prowadzi taki tryb życia, jak wszyscy członkowie personelu szpitala – ale podejmuje się tylko jednego rodzaju pracy, a i to rzadko.

– Ze względu na stres?

– Naturalnie.

Hemmikaini oblizał wargi.

– Jaki rodzaj pracy zatem wykonuje?

– Czy orientuje się pan, co to są grupy katapatyczne? – spytał Singh. Widząc zaprzeczające potrząśnięcie głowy swego rozmówcy, ciągnął dalej. – To cholerne słowo ukuto oczywiście z terminów katalepsja i telepatia. Co jakiś czas, jakiś telepata okazuje się osobowością nieadekwatną. Może dlatego, że bierze się za prace przekraczającą możliwości? Może dlatego, że po prostu nie może stawić czoła odpowiedzialności, z jaką wiąże się jego talent? A może stwierdza w jakimś momencie, że świat jest w ogóle nie do zniesienia – pomyślał przez chwilę o kalekim, niewyrośniętym Howsonie i ciągnął dalej. – Woli wycofać się w siebie i tworzyć własne, fantastyczne światy, które są bardziej znośne. No cóż, od czasu

do czasu, każdy to czyni. Jednak telepata może to zrobić na wielką skalę. Może postarać się o audytorium, które, jeżeli jest on wystarczająco silny, może się składać nawet z ośmiu osób i zabierać je ze sobą. Ludzi tych nazywamy „osobowościami odbitymi” – odbijają jak lustro i karmią się osobowością telepaty. W trakcie seansu zapominają nie tylko o całym świecie, ale i o własnych ciałach. Nie odczuwają ani głodu, ani pragnienia, ani bólu. I jak się można domyślać, wcale nie chcą się budzić.

– Czy nigdy się już nie budzą? – spytał Hemmikaini.

– No nie, w końcu się budzą. Ale sam pan rozumie – to, że nie odczuwają głodu i pragnienia nie oznacza, iż one nie istnieją. Po pięciu, niekiedy po siedmiu dniach, w mózgach zachodzą nieodwracalne zmiany i w końcu ludzie ci budzą się na skutek wyczerpania sił telepaty poniżej poziomu, przy którym może on jeszcze podtrzymywać złożone sprzężenie umysłów. Ale wtedy nie ma już dla nich nadziei.

– A co to ma wspólnego z Ilsa Kronstadt?

– Nawet telepata o nieadekwatnej osobowości jest cenny – powiedział Singh. – Jedyna szansa ocalenia grupy katapatycznej leży w szybkim jej zlokalizowaniu. Następnie trzeba wtargnąć do tego fantastycznego świata i uczynić go jeszcze mniej znośnym od rzeczywistego. A Ilsa jest jedyną osobą na świecie, która odnosi na tym polu nieprzerwane sukcesy. A więc sam pan rozumie, panie Hemmikaini – tu pozwolił sobie na ponury uśmiech – ... mam odpowiedź na pańskie pytanie: jaka praca może być ważniejsza dla Ilsy od wielkich akcji pacyfikacyjnych ONZ? Ocaliła dla świata niemal dwa tuziny telepatów. Działając wspólnie dokonali dużo więcej, niż zdołałaby ona sama, chociaż jest kobietą wyjątkową.

Hemmikaini milczał przez chwilę, a potem zapytał:

– Ile jeszcze dajecie jej życia?

– Może umrzeć z wyczerpania podczas następnej sesji terapeutycznej, a równie dobrze może jeszcze pożyć pięć lat. Trudno powiedzieć.

Znowu zapadła cisza. Przedstawiciel ONZ wstał z fotela.

– Dziękuję za te wyjaśnienia, doktorze Singh. – mruknął. – Będziemy chyba musieli skorzystać z usług waszego drugiego po Ilsie Kronstadt telepaty.



Jeszcze tego samego dnia Singh, wiedziony niewytłumaczalnym impulsem, udał się do zachodniego skrzydła szpitala, gdzie mieścił się apartament Ilsy Kronstadt. Zastał ją nad maszyną do pisania. Jej wysmukłe dłonie śmigały nad klawiaturą jak kolibry. W powietrzu unosił się cichy pomruk silnika.

– Wejdz, Pan – zaprosiła go. – Za chwilę skończę.

Singh usłuchał i zamknął drzwi. Patrzył na nią nie potrafiąc powstrzymać się od refleksji, jak bardzo się zmieniła od czasu, kiedy ją poznał. Gęste włosy były teraz zupełnie siwe, promieniująca energią twarz pokryła się siecią zmarszczek, a zdrowa śniadość jej skóry przechodziła z wolna w woskową bladość.

– Tak, Pan, wiem – powiedziała łagodnie. Wykręciła z maszyny arkusz papieru i odwróciła się do niego. – Czasami mnie to przeraża... Dlatego właśnie staram się odpędzić od siebie te myśli.

– O czym ty mówisz? – mruknął pod nosem Singh.

– Postanowiłam napisać swoją biografię – powiedziała. Przez jej twarz przemknął figlarny uśmiech. – Powiedziano mi, że będzie to murowany bestseller! – No usiądź, Pan! Nie musisz się ze mną bawić w ceregiele, prawda? Zwłaszcza że cię wezwałam.

W tym samym momencie poczuł zaskoczenie i zrozumiał dlaczego miał ochotę odwiedzić ją właśnie dziś. Zachichotał i podszedł do fotela. Ilsa Kronstadt położyła łokieć na oparciu swojego krzesła i wsparła dłońią ostry podbródek.

– Coś cię martwi, Pan – powiedziała poważnym już tonem. – Dlatego od wielu dni tak tu ponuro. To głównie z powodu tego nowicjusza, którego znalazł Danny – biedny chłopak! – ale dziś rano zauważyłam, że i ja mam w tym swój mały udział, pomyślałam więc sobie, iż dobrze by było porozmawiać. Mam nadzieję, że docenisz fakt, iż czekałam, aż będziesz wolny.

– Czy naprawdę musiałaś mnie wzywać, Ilso? – Singh wypowiedział te słowa zdając sobie sprawę, że ta myśl zbyt silnie przebija z jego podświadomości, żeby ją jakoś zataić.

– Tak, Pan – te słowa padły jak kamienie. – Jest coraz gorzej. Muszę teraz ekonomicznie gospodarować moimi siłami. Szybko się męczę. Czuje się przez to bardzo stara.

Zapadło milczenie. Nie patrząc na niego podjęła w końcu.

– Wiesz, chciałam kiedyś wyjść za mąż, mieć dzieci... wydaje mi się, że mimo wszystko próbowałabym, gdybym nie miała świadomości, co to za piekło być nieobdarzonym

darem telepatii dzieckiem telepatów. Pamiętasz Nole Gruning?

– Pamiętam – mruknął Singh. Nola Gruning poślubiła, naturalnie, telepatę – to było jedyne rozsądne posunięcie – i miała z nim dziecko, które nie odziedziczyło po rodzicach zdolności telepatycznych. Potem uwikłała się w grupę katapatyczną złożoną z dzieci. Jej fantazje były jasnymi obrazami dziecięcego pokoju, z których Ilsa Kronstadt musiała, jedną po drugiej, oddzielać osobowości refleksyjne, pozostawiając Nolę nieuleczalnie obłąkaną.

– A więc – powiedziała Ilsa z wymuszonym ożywieniem. – A więc autobiografia. Pozostawię po sobie przynajmniej słowa. Powiedz mi teraz, co sprawia, że i ja przyczyniam się do twojego zmartwienia.

Singh nie silił się nawet na mówienie, uporządkował tylko w umyśle fakty tak, żeby je mogła sobie odczytać.

Westchnęła.

– Oczywiście, masz rację, Pan. Nie potrafię stawić czoła tak skomplikowanej sytuacji – już nie. To by mnie zupełnie rozbiło. To jest frustracja, rozumiesz? Stoisz przed wielkim problemem, a to pozostawia nierozwiązalnymi może tysiące małych problemików i każdy z nich nie daje spokoju... zwykłam rezygnować sama. Teraz jestem do tego zmuszona.

Wzdrygnęła się, jakby otrząsając ze złego snu.

– Od zarania dziejów ludzie wciąż ślepną, popadają w szaleństwo. Ja, mimo wszystko, jestem wciąż człowiekiem! Nawiasem mówiąc, czy Danny doszedł już do jakichś wyników z tym swoim nowicjuszem?

– Jeszcze nie. Właśnie dlatego się martwię.

– Jaka szkoda! Czasami myślę sobie, Pan, że miałam jednak niewiarygodne szczęście. Inteligentni rodzice, beztroskie dzieciństwo, pierwszorzędna edukacja... Zakładając, że późne objawianie się tych zdolności – nigdy przed ukończeniem siedemnastu lat, najczęściej w wieku lat dwudziestu, albo nawet i później – jest naturalnym zabezpieczeniem przed zniszczeniem niedojrzałej osobowości, uważam, że miałam wszystko, co mogłam mieć. Ale on jest prawdziwą ruiną, prawda? Osierocony, kaleki, cierpiący na hemofilię...

– Może masz jakiś pomysł, który pomógłby Dannemu? – odważył się spytać Singh.

– Spóźniłeś się, Pan! – roześmiała się gorzko. – Danny pytał mnie już jakiś tydzień temu, czy nie mogłabym mu pomóc.

– I możesz?

Jej twarz spoważniała, jakby zgasło podświetlające ją światło. Powiedziała lodowato.

– Nie mam odwagi, Pan. Sondowałam peryferie jego umysłu. Wycofałam się. Dawniej

może bym zaryzykowała – przeciwstawiłabym moje doświadczenie nieokiełznanej potędze, jaką on dysponuje. Nie dopuściłabym, żeby wpadł w panikę. Teraz jestem już za stara, żeby sobie z nim poradzić, Pan... i zbyt schorowana.

– Co więc z nim będzie? Czy możemy go stracić? – spytał ponuro Singh.

– Nie potrafię wnikać wystarczająco głęboko w jego osobowość, żeby ci to powiedzieć. Najwyraźniej odznacza się empatią, która tylko czeka, aby ją wyzwolić. Jeżeli do tego dojdzie, będzie moim następcą. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę? Jeżeli jej nie wyzwolicie, może zwariować z nienawiści do siebie. Co można zrobić, żeby naruszyć panujący stan równowagi, po prostu nie wiem. Mówię ci, nie śmiem sięgać tak głęboko w jego umysł!

11

Wkrótce potem zaczęto zostawiać Howsona samego i – gdyby był na tyle obiektywny, żeby to przyznać – to również stało się przyczyną jego urazy. Nadal podświadomie pragnął być traktowany jako ktoś ważny i to wpływało na sposób, w jaki analizował swoje odczucia. Jego uparta postawa objawiająca się w nieuleganiu prośbom Singha i telepatycznym perswazjom Waldemara przynosiła na razie pożądane skutki, wciąż ściągając na niego ich zainteresowanie. Gdyby raz ustąpił i zgodził się z nimi współpracować, większość szkolenia upływałaby mu w samotności. Inny telepata mógłby mu tylko pomagać w unikaniu ślepych zaułków. Każdy był jedyny w swoim rodzaju i każdy musiał uczyć się sam.

Oczywiście była to tylko jedna z przyczyn. Druga spoglądała na niego z lustra.

Tyle rozumiał. Inne sprawy stanowiły dlań zagadkę. Przez dłuższy czas po przybyciu do Ułan Bator zastanawiała go ostrożność, z jaką Waldemar nawiązywał z nim kontakt. Pewnego jednak dnia kontrola Waldemara nad blokadą tej tajemnicy przypadkowo zelżała i jasno jak na dłoni wyłoniła się przyczyna takiego postępowania. Waldemar bał się, że Howson może oszaleć, a perspektywa istnienia szalonego telepaty o energii Howsona była przerażająca.

Jeszcze bardziej przerażające było odkrycie wynikające z pierwszego – pomysł ucieczki w szaleństwo fascynował go, oferując szanse posługiwania się rozpasaną potęgą bez ograniczeń nakładanych przez świadomość, aby nie powodować cierpień, których sam by z kolei doświadczył, tak jak odczuł ból ludzi z roztrzaskanego helikoptera.

Przed wypadkiem, który odciągnął od niego uwagę wszystkich, pokazywał się na terenie szpitala i lubił od czasu do czasu przejść się korytarzem sam, nie zaczepiany przez personel, który otrzymał od Singha instrukcje nie przeszkadzania mu w niczym. Jednak za każdym razem, kiedy spotykał na swojej drodze pacjenta odzyskującego zdrowie po przebytej chorobie, czy to fizycznej czy psychicznej, odczuwał nawroty zazdrości i teraz wołał spędzać czas na rozmyślaniach w swoim pokoju. Temu nie mógł się oprzeć. Jak się już przekonał, kiedy jego dar dał o sobie znać po raz pierwszy, nie istniał sposób odcięcia się od niego tak prosty, jak na przykład zamknięcie oczu.

Gdy otwierał swój umysł, szpital i otaczające go miasto stawały się chaosem nonsensu. Rozwijał jednak w sobie umiejętność selekcji i ćwicząc ją odkrył podświadomie, że dokładność była funkcją nie tyle zasięgu, co ubocznego „szumu” myślowego i silna koncentracja umożliwiłaby mu wychwycenie jednego umysłu z tysięcy w ten sam sposób, w jaki można słuchać jednego mówcy pośród gwaru hucznego przyjęcia.

Niektóre osobowości były bardzo łatwe do wychwycenia – promieniowały jak ogniste kule na tle czarnego nieba. Najłatwiej było wychwytywać umysły telepatów wchodzących w skład personelu szpitala, ale niechętnie nawiązywał z nimi kontakt. Czyniąc to, wyczuwał przychylność – dominującą, ale odbarwioną, ponieważ dla nich satysfakcja wypływająca z posiadania zmysłu telepatycznego była tak oczywista, że depresja Howsona intrygowała ich i irytowała.

A zresztą wszyscy oni, prócz jednego, byli pochłonięci swoją pracą. Tym wyjątkiem był posiadacz umysłu rozświetlającego całe skrzydło szpitala promieniowaniem tak jasnym, że przesłaniało ono stojącą za nim osobowość. Sondował obrzeża tego promieniowania i wyczuwał aurę pewnej siebie siły, co sprawiało, że na jakiś czas zaprzestał tych prób. Potem, zupełnie niespodziewanie, w osobowości tej zaszły pewne zakłócenia i aura przygasła, niemal znikła. Jeżeli można sobie wyobrazić gwiazdę pokonaną przez zmęczenie, to do niej właśnie można było porównać to wydarzenie. Ponieważ przekraczało to siły Howsona, wołał on skierować swą uwagę gdzie indziej.

Oczywiście, zapytał do kogo należy ten nadzwyczajny umysł, a gdy dowiedział się, że była to na wpół legendarna Ilsa Kronstadt, do której nawiązywała postać bohaterki filmu oglądanego wspólnie z mężczyzną w brązowym ubraniu, jeszcze bardziej się zniechęcił do jej niepokojenia.

Zdarzali się też wybijający się ponad przeciętność nietelepaci. Najbardziej uderzającym przedstawicielem tej grupy był Singh. Miał umysł tak przejrzysty, jak spokojna woda, w której można nurkować w nieskończoność i nie natknąć się na granice miłości jaką

żywił w stosunku do ludzi. I w tym przypadku Howson wolał nie zanurzać się głęboko w świadomość Singha. Za dużo w niej było współczucia dla niego oraz wiedzy, że nie można wyleczyć deformacji jego ciała.

Wolał mieć do czynienia ze zwyczajnymi umysłami – umysłami personelu i pacjentów. Z początku poruszał się wśród nich z jak najdalej posuniętą ostrożnością, potem, w miarę jak nabierał wiary w swoje umiejętności, zaczął poczynać sobie coraz śmielej i spędzał długie godziny na seansach, które przemawiały do jego wyobraźni w ten sam sposób, jak wcześniej kino i telewizja. Były to doznania do tego stopnia bogatsze, że Howson, od siódmego dnia pobytu w szpitalu, nie włączał telewizora stojącego w rogu jego pokoju.

Pacjenci i personel szpitala reprezentowali ponad pięćdziesiąt narodowości. Ich języki, obyczaje, nadzieje i obawy stanowiły dla Howsona niewyczerpane źródło fascynacji i wracając do rzeczywistości po podróży przez tuzin umysłów, pijany zachwytem dzielonych doświadczeń, stwierdzał u siebie wyraźną skłonność do zadośćuczynienia zabiegom Singha i Waldemara.

W dalszym jednak ciągu zwlekał z podjęciem ostatecznej decyzji. Była w szpitalu taka grupa pacjentów, której umysłów nie mógł przeoczyć i która była czasami odpowiedzialna za to, że budził się w środku nocy zlany potem, ogarnięty niewytłumaczalnym przerażeniem. Byli szaleńcami zagubionymi w swych prywatnych światach nielogiczności i to właśnie oni byli obiektami zawodowego zainteresowania telepatów.

Raz i tylko raz obserwował telepatę-psychiatrę przygotowującego się do sesji terapeutycznej. Pacjent by paranoikiem cierpiącym na obsesyjną zazdrość seksualną i telepata usiłował zlokalizować korzenie stojących za nią doświadczeń. Oczywiście zadanie było zbyt skomplikowane by telepata sam mógł je doprowadzić do końca. Po zidentyfikowaniu przyczyn obsesji przyjdzie kolej na hipnozę, lekoterapię i prawdopodobnie powrót w transie do wydarzeń z przeszłości, by skłonić tego człowieka do pogodzenia się z nimi. W tej jednak chwili jego mózg był piekłem irracjonalnych katuszy, przez które telepata miał na ślepo wyszukiwać drogę, jak człowiek przedzierający się przez dżunglę pełną czyhających na każdym kroku potworów.

Howson nie śledził dalszych poczynań telepaty. Ale nigdy potem nie odczuwał już takiego strachu.



I wtedy rozpoczął się kryzys, a w wirze szaleńczych prób jego zażegnania, sprawa odmawiającego współpracy Howsona odsunięta została w cień.

Przez dłuższy czas nie bardzo zdawał sobie sprawę, co się właściwie dzieje. Od wielu tygodni nie zadawał sobie trudu, aby zajrzeć do gazety, czy włączyć telewizor. Gdyby to uczynił, dowiedziałby się natychmiast, że drugi po Ilsie Kronstadt najlepszy telepata Hemmikainiego nie okazał się dostatecznie dobry i kryzys w Południowej Afryce załamał go.

Podczas gdy Makerakera, ekspert zajmujący się sprawami agresji, stawał na głowie, żeby sklecić zespół zastępczy ze wszystkich, którzy byli akurat wolni – Choonga z Hongkongu, Jenny Pender z Indiany, Stanisława Danquah z Akry i paru niewyszkolonych jeszcze telepatów – mały Grek Perykles Phranakis odwrócił się do katastrofy plecami i odszedł swoją własną drogą do krainy, gdzie sukces ukoronował jego wysiłki.

W Południowej Afryce spływali z nieba żołnierze. Za nimi szpitale polowe, transportowe helikoptery, pojemniki, worki i paczki podstawowych artykułów żywnościowych, za nimi prawnicy i politycy. A po tym zamieszaniu nastąpiła dziwna cisza.

W tym czasie, mknący z szybkością pięciokrotnie większą od prędkości dźwięku stratoplan niósł cielesną powłokę Peryklesa Phranakisa do Ułan Bator. Okazało się, że komputery miały rację. Żeby poradzić sobie z tym kryzysem trzeba było Ilsy Kronstadt i jeżeli ona nie mogła udać się do niego, on przyjdzie do niej.

Howson wychwycił luźne obrazy fantazji snuty przez Phranakisa i był wstrząśnięty. Przypomniał sobie wyraźnie swoje własne marzenia na jawie, które – jeżeli wierzyć słowom Waldemara – mogły go w końcu skusić do zawiązania grupy katapatycznej z głuchoniemą dziewczyną. Przypomniał też sobie kurz na powiekach Vargasa i niemal jęknął na głos.

Przez zwrócenie uwagi wszystkich na Phranakisa powstało dziwne uczucie izolacji i w panice Gerry doświadczał teraz samotności gorszej niż poprzednio przez kontrast z ostatnim okresem wzmożonego zainteresowania jego osobą, którym tak się rozkoszował i pośpieszył, by włączyć się w wir problemów zajmujących wybitne mózgi otaczających go ludzi.

Nie zaryzykował od razu wtargnięcia w prywatny świat samej Ilsy Kronstadt, ale wyczuwał jej niepokój jak zły zapach. Wychwycił instynktownie fakt, że Phranakis, chociaż

zawiódł, nadal był uważany za największego rywala, jakiego miała w swej oryginalnej specjalności – eliminacji agresji. Stała przed zadaniem wdarcia się w jego fantazje i lękała się.

Zakłopotany, skierował swoją uwagę na coś innego i natknął się na Phranakisa snującego paranoidalne wizje przed umysłami ludzi, których pociągnął za sobą. Jak stado wron podążające śladami siewcy, przewijały się przez szpital osoby, które go znały, aby wraz z głosami zmarłych, zarejestrowanymi na papierze, taśmie magnetofonowej i filmowej służyć Ilsi Kronstadt wskazówkami. Mając pięć lat robił to i to, ze swoją pierwszą dziewczyną lubił robić tamto, podczas szkolenia telepatycznego miał trudności z tym i tym.

Tak jak rzeźbiarz potrafi z kawałków złomu stworzyć dzieło sztuki, podobnie Ilsa Kronstadt zbierała te informacje i tworzyła z nich obraz psychiki Phranakisa. Howson był zafascynowany. Tak go to zaabsorbowało, że nie zauważył nawet, kiedy po raz pierwszy wkroczył, nieproszony, do jej świadomości. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że ją „podgląda”, a i ona była zbyt zajęta, by zwrócić na to uwagę. Uświadamiając to sobie, poczuł ukłucie wstydu za odmowę współdziałania przy wykorzystaniu swojego talentu w sposób, w jaki ona wykorzystywała swój.

Siedząc nieruchomo jak głaz w specjalnym fotelu, najwygodniejszym ze wszystkich, jakich dotąd używał, chłonał metody samodyscypliny, za pomocą których umacniała swą zachwianą pewność siebie. Wspominała wcześniejsze przypadki, które wydawały się również zniechęcające, a jednak zakończyły się sukcesem, podsycala w sobie ambicje doprowadzając ją niemal do próżności, aby wzmocnić swoje zdecydowanie.

Howson śledził to wszystko z koncentracją wywołującą skurcz szczek. Ale i tak, kiedy pozwolił swemu umysłowi powędrować w kierunku Phranakisa, doznał wstrząsu. W jaki sposób – będąc nawet wspaniałą Ilsa Kronstadt – można przebić pancerz fantazji, który otacza teraz tego człowieka?

Zapomniał, że jest Geraldem Howsonem. Zapomniał, że jest kaleką, karłem, hemofilitykiem, sierotą. Pamiętał tylko, że jest telepatą zdolnym do odczytywania cudzego umysłu, jeżeli jego właściciel udzieli mu na to zezwolenia i z desperacką gorliwością gromadził swoją wiedzę o tym, co doprowadziło do impasu.

Phranakis – to czuł do siebie, zanim uciekł w fantazję, to była twarz, którą oglądał codziennie w lustrze, to była matka, którą pamiętał, ojciec, bracia, siostry; to była droga, która zaprowadziła go do Aten i rozczarowań wczesnego wieku męskiego; to był pokój, w którym po raz pierwszy doznał szoku dowiadując się o swojej prawdziwej tożsamości...

Południowa Afryka to był wrzód ropiejący pod gładką, nowoczesną powłoką. Ujrzał

ogromnego Polinezyjczyka, Makerakere, idącego słonecznymi ulicami i absorbującego nienawiść jak kamera. Należał do tej rzadkiej kategorii telepatów, którzy odbierają myśli, ale nie posiadają żadnego „głosu” projekcyjnego, jak obserwatorzy terapeutyczni i niefachowi analitycy, których Howson spotykał tu, w szpitalu. Wyczuwał reakcje Phranakisa, gdy ten zdał sobie sprawę, że jego praca poszła na marne; widział to jako Nemezis, karę za próżność, która obrażała bogów jego przodków.

I zajął również w umysły i wspomnienia tych, których Phranakis zabrał ze sobą. Zabrał – to był naprawdę unikalny aspekt całej tej sprawy i on właśnie najbardziej przerażał Ilsa Kronstadt.

Bo Phranakis dysponował taką potęgą, że nie musiał czekać na zgodę osobowości refleksyjnych na udział w grupie katapatycznej. Po prostu zabrał ich – czworo swoich najbliższych współpracowników nietelepatów – i pociągnął za sobą w swój nierealny świat.

Przerażony i zafascynowany jak królik w obliczu węża, Howson śledził bieg rozgrywających się wokół niego wypadków. Kilka pięter niżej, gdzie zebrali się specjaliści, wielcy politycy, rodzina i przyjaciele, niesiono Phranakisa do sali, w której Ilsa Kronstadt miała stoczyć z nim bój. Szpital zdawał się kurczyć w sobie, naprężyć do granic, przy których zacznie wyśpiewywać lek, jak struna skrzypiec. Howson napiął się razem z nim, zapominając o całym świecie i ledwo wając się oddychać.

12

Ulicami jego mózgu przesuwala się procesja. Podczas gdy młodzieńcy i dziewice, przystrojone girlandami kwiatów, tańczyli na jego cześć, uroczysti starcy zebrali się w świątyni Pallas Ateny. Tam przygotowywali wieniec laurowy, który miał przyozdobić skronie zwycięzcy. Pomimo swych bojowych łodzi i całej przebiegłości, barbarzyńcy ponieśli klęskę. Miasto było bezpieczne, cywilizacja i wolność ocalone, a gdzieś tam, daleko, tyran wściekał się i skazywał na śmierć swoich wodzów.

Miasto było tam na pewno. W pewnym sensie była tam też i starszyzna zebrana, by powitać swego bohatera. Ale bliższy ich umysłem niż Atena był Eskulap, korona zaś, którą przygotowywali na jego głowę, była stalową obręczą z przewodami odchodzącymi od niej do skomplikowanego encefalografu. Nie było tam tyrana, nie licząc demona nienawiści, ale byli na pewno barbarzyńcy, chociaż dopóki nie zostali pokonani i zdemoralizowani, uchodzili za ludzi cywilizowanych. Oni występowali przeciwko Peryklesowi Phranakisowi – i wciąż przeciwstawiali się wysyłanym przeciwko nim siłom. Nie chciał przyjąć tego do wiadomości, a teraz zapomniał.

Jego smagła twarz promieniowała zadowoleniem. Leżał na czymś, co w zasadzie było łóżem, ale w razie potrzeby mogło stać się przedłużeniem jego ciała. Poza instrumentami kontrolującymi każdą fizyczną funkcję – bicie serca, oddech, rytm mózgu, ciśnienie krwi i tuzin innych – podłączono do jego ciała mnóstwo skomplikowanych protez. Był teraz sztucznie karmiony, reszta zaś przyrządów pozostawała wyłączona. Gdyby szok odzyskania świadomości okazał się równie gwałtowny jak szok zapaści, mógł odrzucić wszystkie wysiłki utrzymania go przy życiu. Wtedy do akcji wejdą urządzenia do masażu ciała, sztuczne płuca, sztuczna nerka i inne i będą walczyły o podtrzymanie funkcji życiowych jego ciała dopóty, dopóki z bólem nie zaakceptuje frustrującej świadomości swojej planowanej ucieczki ze świata.

W pobliżu, pośród podobnej scenerii przygotowywała się Ilsa Kronstadt. Po jej lewej ręce siedział w fotelu młody człowiek o czujnej, bladej twarzy – nowo wyszkolony telepata recepcyjny pełniący rolę obserwatora terapeutycznego. Gdy Ilsa Kronstadt zagłębi się w świat samouwielbienia Phranakisa, nie będzie zdolna do porozumiewania się słowami ze zdenerwowanymi lekarzami nadzorującymi proces. Przez wiele godzin ten młody mężczyzna i trójka innych będą „słuchać” przebiegu jej zmagania i meldować o wszystkim, o czym muszą wiedzieć lekarze.

Technicy, specjaliści i telepatka, jedno po drugim, skinieniami głowy zgłaszali swoją gotowość Singhowi, który stał w nogach łóżka Ilsy Kronstadt wspominając jej poprzednie sukcesy i usiłując nie myśleć o masie rakowatej tkanki rozprzestrzeniającej się pod powierzchnią jej, mózgu. Leżąc tak pośród aparatury otaczającej jej łóżko, wydawała się bardzo mała i stara, a chociaż nie powiedziała mu tego głośno, wiedział, że się boi.

– Jesteśmy gotowi, Ilso – powiedział najspokojniejszym tonem, na jaki mógł się zdobyć.

– Jak też – odparła nie otwierając oczu. – Zachowajcie teraz ciszę.

Potem, bez żadnego uprzedzenia, zaczęła. Singh nie umiał wytłumaczyć po czym to

poznaje, ale nie było żadnych wątpliwości – jeszcze przed sekundą była przytomna i świadoma swego ciała, teraz było ono tylko powłoką, ona zaś znajdowała się w innym świecie.

Utkwił zatroskane oczy w bladej twarzy obserwatora i nim upłynęły dwie minuty, przeraził się widząc odmalowujący się na niej wyraz zaskoczenia. W tym samym momencie Ilsa poruszyła się.

– Silny... – przemówiła dalekim głosem.

Zaalarmowany zespół emanował niemal namacalne napięcie. Oblizła usta i ciągnęła dalej:

– Odbieram teraz obraz jego fantazji. Jest wielkim bohaterem Aten, ulubieńcem bogów i idolem ludzi... Nie mogę się przebić, Pan! Nie mogę tego zrobić bez zwrócenia na siebie uwagi, a wtedy on przywoła całą swoją wolę, żeby mi się przeciwstawić.

– Nie śpiesz się – uspokajał ją Singh. – Na pewno istnieje możliwość stworzenia roli pasującej do fabuły jego fantazji. Znalezienie jej może potrwać, ale na pewno się znajdzie.

– Wiem – głos Ilsy był słaby jakby dochodził zza grobu. Singh nie był pewien ile z tego słyszy, a ile odbiera telepatycznie. Blade usta telepatki ledwie się poruszały. – W niewiarygodny sposób kontroluje sytuację, Pan. Wtórne osobowości schizoidalne są nieprawdopodobnie kontrastowe. A stworzył je zarówno z osobowości refleksywnych, jak i ze swojej własnej.

Singh zagryzł usta. Tylko potężna siła samozakłamania może tworzyć wtórne osobowości schizoidalne – grające swoją rolę w dramacie, których myśli i reakcje były obserwowane przez ego telepaty, ale wymykały się spod jego kontroli. Jednak – bez chwili wahania – pospieszył z nowym pocieszeniem.

– Przecież to powinno upraszczać sprawę! Nie będzie zaskoczony pojawieniem się intruza.

– Nie pozostawił miejsca dla intruzów! – uwaga ta została podana przesywającym krzykiem. – To przypomina kwiat, który rozwija płatki – jest kompletne, można powiedzieć doskonale.

Pomimo desperackich wysiłków, Singh nie potrafił znaleźć żadnych słów pocieszenia. Tak złożona fantazja musiała prześladować Phranakisa od lat i nurtując jego podświadomość, polerowana i udoskonalana, mogła się teraz rozwinąć jak film – bez żadnych luk czy niedociągnięć, które ułatwiłyby wejście terapeutę, ukrywającemu się pod maską zwykłego mentalnego statysty.

Powiedział ochryple.

– No cóż, uzbrój się w cierpliwość, Ilso. Kiedy sytuacja będzie rokowała jakieś nadzieje, zakłócimy rytm jego mózgu i ułatwimy ci wejście.

Nie było odpowiedzi. Bo i jakaż miałyby być? Do tak brutalnych środków uciekali się inni, gorsi terapeuci, Ilsa Kronstadt nigdy nie była zmuszona do korzystania z nich. Już teraz, zanim operacja weszła w decydującą fazę, w sali unosiło się widmo klęski.



„Alicja po drugiej stronie lustra”. Droga, która zawsze wraca do punktu wejścia, bez względu na to, jak bardzo się starasz, dojść do jej końca.

Pojecie z teorii względności. Zwiniecie się przestrzeni.

Kadr z filmu sf: jarzące błękitem pole siłowe z rozgałęzieniami wyładowań.

Fragment legendy: ściana magicznego ognia otaczająca miejsce, gdzie śpi od wieków zaczarowana dziewczica.

Zafascynowany tajemniczością tego co się dzieje, Howson wychwytywał te i inne obrazy myślowe z umysłów ludzi, biorących udział w próbie uratowania Phranakisa. Były jedynie skojarzeniami, niczym więcej – etykietkami doczepionymi grupie katapatycznej przez ludzi, którzy nie mogli znieść pojęć nieopatrzonych etykietkami. Początkowo sam też akceptował wyjaśnienia Waldemara. Nie przypuszczał, że rzeczywistość będzie tak daleka od wyobrażeń, jak słońce od księżyca.

Sondował umysły czuwających telepatów. Znalazł w nich odzwierciedlony znajomy świat – zdarzenia toczyły się według określonych praw, ciało stałe było ciałem stałym, zmysły wymrukiwały swoje komunikaty o kondycji ciała. Ale Phranakis zamknął za sobą na klucz wszystkie drzwi prowadzące do świata normalnego i chociaż pozostały jeszcze okna – można by rzec, o szybach ze szkła spolaryzowanego, przez które można było tylko zaglądać do środka – to wszystko, co się za nimi działo, było szalone.

Wiedząc o tym, Howson gorąco pragnął znaleźć w sobie tyle siły woli, żeby móc oprzeć się pokusie, która w nim kiełkowała. Widział swoje własne fantazje powtarzane przez Phranakisa – on sam w roli bohatera, wszystko toczy się zgodnie z ustalonymi przez niego zasadami, tak by nic nie denerwowało, nic nie niepokoiło wszytkowiedzącego władcy. Tutaj ludzka żądza władzy, tłumiona u świadomych telepatów obawą przed przysparzaniem cierpień innym ludziom, mogła znaleźć swój upiorny upust. Sadomasochistyczne impulsy, tak

długo hamowane przez Phranakisa, wypełzały już z cienia i podbarwiały jego wizje.

Stracali jeńców z Akropolu, żeby wybawca miasta, przy akompaniamencie ich wrzasków mógł się jeszcze bardziej cieszyć swym tryumfem.

Nagle płynny bieg akcji został zakłócony. Przypominało to trzęsienie ziemi – budynki zdrząły w posadach, ludzie zachwiali się, niebo pociemniało. Trwało to tylko chwilę, ale skutki były oszałamiające. Howson stracił kontakt i ponowne jego nawiązanie zajęło mu kilka minut.



– Weszła – zameldował obserwator terapeutyczny. Jego twarz była ściągnięta w nieludzką maskę. – Jest jeńcem skazanym na śmierć. Stara się zwrócić na siebie uwagę bohatera.

Singh skinął w zamyśleniu głową.

– To by się zgadzało. Pasuje do danych, jakie mamy na temat jego preferencji seksualnych. Czy wiadomo coś o planie długoterminowym?

– Nie. Strategia ustalana jest tylko na krótką metę – powiedział obserwator. – Idea jest następująca – uwikłać go w sytuację seksualną, licząc na to, że wtedy straci kontrolę nad całością i przejść do ataku... widzę trzy główne sekwencje... chcesz wiedzieć jakie?

– Jeżeli nie szykuje się nic bardziej interesującego...

– Nie – obserwator musiał przerwać, żeby przełknąć ślinę. – Jeńcy nadal są strącani ze skały. Tak, albo ona wprowadzi do scenariusza quasi-rzeczywisty nóż – może przy okazji uczy – i wykastruje go publicznie, albo doprowadzi go do stanu zamroczenia alkoholowego i wywoła pożar w świątyni, albo zacznie wylapywać poszczególne osobowości refleksyjne i wzniesi bunt niewolników.

Singh zamknął oczy. Mając za sobą tyle lat pracy w zawodzie lekarza, wciąż wzdrygał się przed bezwzględnością metod stosowanych przez swoich kolegów i siebie samego. Co oznaczałoby dla Phranakisa publiczna kastracja, wolał nie myśleć – ale mógł to sobie wyobrazić. Jeżeli cokolwiek miało wyrwać go z transu, to właśnie to. Cały materiał dotyczący życia Phranakisa świadczył o dręczącej go potrzebie ciągłego potwierdzania swojej męskości. W realnym świecie nie było nic, co bardziej by go przerażało niż to, co szykowała mu Ilsa.



Howson śledził teraz uważniej bieg wypadków. Odkrył przyczynę „trzęsienia ziemi”. Do zespołu Funcka Phranakisa przyłożony został jakiś impuls elektroniczny celem uczynienia wyrwy dla Ilsy Kronstadt. Teraz podpatrywanie było dużo łatwiejsze. Z odrazą, lecz i fascynacją pojął, do czego ona teraz zmierza i chociaż nie przyszło mu to łatwo, uświadomił sobie w końcu, że jeżeli coś nie wyrwie tego człowieka z jego rozkosznego snu, jest on już właściwie martwy, a razem z nim czworo cennych, ciężko pracujących nietelepatów, których indywidualności bez skrupułów podeptał. W pewnym sensie zasłużył na to, co się miało stać. Ale... tak naprawdę, czy ktokolwiek mógł na to zasłużyć?



– Jest coraz bardziej zmęczona – obserwator zakomunikował szeptem, jakby Ilsa Kronstadt mogła go usłyszeć. To był absurd, nie mogło teraz dotrzeć do niej nic z wyjątkiem projekcji innego telepaty prowadzonej z pełną mocą. Cała jej energia przeobraziła się w siłę woli ukierunkowaną na zmienianie, rozbudowywanie i podkopywanie scenariusza wizji Phranakisa.

– Czy zbliża się kryzys? – mruknął Singh.

– Zbiera wszystkie swoje siły. Wprowadzając nóż stara się odwrócić jego uwagę wizjami seksualnymi... O Boże!

Ten skamlący okrzyk zmroził wszystkich obecnych na sali oraz Howsona przebywającego kilka pięter wyżej. Z wywróconymi z przerażenia oczyma, nie widzącymi otoczenia, lecz tylko straszny dramat psychiczny rozgrywający się pomiędzy Ilsa a Phranakisem, obserwator wydyszał prawdę.

– Ona słabnie! Traci kontrolę, on zaś stwarza sobie strażników, całą armię! Wciela się w Kadmosa, rzuca na ziemię smocze zęby, a z nich rodzą się żołnierze!

– Sprowadź ją z powrotem! – krzyknął Singh i jeszcze zanim skończył, uświadomił sobie, że to nic nie da. Ktoś – nawet nie patrzył kto – wyraził to słowami.

– Jeżeli ją teraz obudzisz, Pan, zostawi za sobą połowę swego ego i będzie bardziej trupem niż człowiekiem.



A więc to się czuje tracąc...

Była bardzo zmęczona. Niemal z ulgą zauważyła, że jej wyobraźnia, niezdolna do dalszych wysiłków, sama podcina sobie skrzydła. Zewsząd otaczali ją żołnierze – ogromni mężczyźni o smagłych twarzach i zmierzwionych brodach, w pancerzach z brązu i skóry. Ich zastępy ciągnęły się w dal pod ciemnym sklepieniem marmurowej sali. Trwała uczta i tysiąc uczestników – kukieł, ludzkich atrap – fetowało na cześć swego władcy i pana, którego próbowała zdetronizować.

Czy to na pewno uczta? Nie była już pewna gdzie kończy się iluzja – istniał rzeczywisty ból od brutalnego uścisku na jej ramionach co utrudniało koncentrację. Świat zafalował. Była... była... jeńcem. Tak, wrogiem oszczędzonym przez łaskę władcy, złapanym teraz na zdradzie. Wyrok był już wydany, nieodwołalnie, przez niedoszłą jej ofiarę.

– Śmierć.

– Śmierć! – rozległ się ryk tysiąca głosów powtórzonych tysiącem ech pod sklepieniem jej czaszki – Śmierć.

No cóż, jednak – klęska. Można się było tego spodziewać. Przecież w pewnym sensie ponosiła porażki we wszystkim, czego próbowała, bo ani jedno zadanie – trysnęła powódź wspomnień – ani jedno zadanie nie zostało doprowadzone do końca.

13

Howson, sparaliżowany przerażeniem śledził zmierzch tej jasnej potęgi, którą teraz z trudem można było nazwać Ilsa Kronstadt. Przypominało to obserwowanie, jak w zalewanym przez deszcz ognisku, zamierają ostatnie iskry, podczas gdy wokół obozowiska wilki czekają tylko na sposobność, kiedy będą mogły podejść bliżej.

Krzyczał głośno swoim cienkim, śmiesznym głosikiem, powtarzając w kółko NIE,

NIE, NIE. Po policzkach spływały mu strumienie łez, bo umysł Ilsy Kronstadt był tak piękny, tak wyraźny i jasny, jak dziecinne wyobrażenie anioła. Wandale rozbijali tafle witraży ciskając nieczystościami w portrety Pana, wdeptując w błoto arrasy. Szaleniec, niczym Czas pożerający swoje potomstwo, odgryzał głowę własnemu dziecku. Krew spływała mu po brodzie, ochryply, bulgotliwy rechot drwił z ludzkich nadziei.

I nagle, bez ostrzeżenia, jak zajmujący się płomieniem ostatni patyk, powrócił blask. W jego świetle, jak ścieżka widziana od końca z wyraźnie zaznaczonym każdym etapem podróży, ukazało się całe życie Ilsy Kronstadt. Howson przypatrywał się mu zdezorientowany i przerażony.

Blask zaczął zamierać. Pojawiło się uczucie bezgranicznego żalu – nie goryczy, bo inny bieg wypadków był niemożliwy do pomyślenia. Łagodna rezygnacja. Mgły zawarły się ponad ścieżką, pozostawiając tylko majaczące w mroku szare cienie niepowodzeń. I to jedno ponad wszystko. Dziecko – symbol przeznaczenia, przeklęte na całe życie przez bezmyślność niedosłego tyra, egoizm kobiety, która nigdy nie powinna była zostać matką i kaprys bezwzględnej dziedziczności.

To kalekie dziecko, któremu nie potrafiłam pomóc.



Był ślepy, a jednak poruszał się. Biegł powłócząc krótszą nogą, znajdując skądś siłę do otwierania drzwi, schodzenia krętymi schodami i pokonywania niekończących się korytarzy, których nie widział poprzez lzy wypełniające mu oczy i ściekające na zapadnięte policzki. To tylko jego ciało odbywało tę podróż. On odszedł gdzie indziej.



– O mój Boże! – wykrzyknął obserwator i zerwał się na równe nogi, jakby poderwała go z fotela dłoń olbrzyma. Singh wyciągnął rękę, żeby go podtrzymać, choć rozpacz zaciemniała mu umysł.

– Czy odeszła? – wyszeptał.

– Skąd to nadchodzi? – krzyczał obserwator. – Mój Boże, skąd to się bierze? – kręcił się w kółko, jak zapędzone w pułapkę zwierze. Z jego oczu wyzierał strach.

– Co? – krzyknął Singh. – Co?

Technik obserwujący przebiegi kreślone przez encefalograf wydał stłumiony okrzyk.

– Doktorze Singh – rzucił – aparat rejestruje obcy rytm! Jest przesunięty w fazie... proszę tylko spojrzeć na amplitudę!

– Jej serce podejmuje pracę! – zameldował z niedowierzaniem inny technik.

Singh poczuł, jak w odpowiedzi zamiera jego własne serce. Wyciąganie bliższych informacji od zaszokowanego obserwatora, nie miało większego sensu. Zamiast tego, podbiegł do encefalografu.

– Niech pan tu spojrzy! – technik stukał palcem w falujące linie. – Wygładza się teraz, wpada w fazę, ale kiedy pojawiło się po raz pierwszy skoczyło tak bardzo, że myślałem, że już z nią koniec.

– Czy to znaczy, że Phranakis przejmuje kontrolę nad całym jej umysłem?

– To nie to! – powiedział z pasją technik. – Znam jego przebieg jak... charakter pisma. To nie pochodzi od niego.

Powietrze zdawało się tężeć tak szybko, jak zamarza przechłodzona woda. Zupełnie zdezorientowani, patrzyli jeden na drugiego, szukając wyjaśnienia.

– Nie mamy na to żadnego wpływu – powiedział w końcu Singh. – Możemy tylko czekać.

Odpowiedziały mu powolne skinienia głów. I kiedy przygotowywali się do przetrwania ostatnich, krytycznych minut, z korytarza prowadzącego do sali dobiegł ich hałas.

Składały się nań podenerwowane głosy ludzi usiłujących kogoś zatrzymać. Słysząc było tupot biegnących nóg, lekki i dodatkowo tłumiony przez pochłaniającą dźwięki wykładzinę podłogową. W końcu rozległo się walenie w drzwi zewnętrzne i dał się słyszeć cienki, ledwie słyszalny krzyk.

Zaszokowany wciąż obserwator postąpił dwa kroki w kierunku drzwi wejściowych podrygując, jak źle poruszana kukielka. Singh odwrócił się powoli. Cisnące mu się na usta słowa o konieczności zachowania ciszy i niebezpieczeństwie uwięzły mu w krtani, gdy pojął prawdę i starał się przypomnieć sobie, co to jest nadzieja.

Potem drzwi otworzyły się gwałtownie i wpadł przez nie utykając na jedną nogę ten gigant, wysoki zaledwie na pięć stóp i zalany łzami.



Tak bardzo chciałam pomóc temu dziecku, a musiałam wypowiadać wyświechtane frazesy o wielkich problemach i małych problemikach... Tamten lekarz powiedział – jedno ramię wyższe, jedna noga krótsza, nieźle jak na jednego noworodka. A potem dowiedziałam się o jego dziadku i wydobyłam to z umysłu tej kobiety – ona wiedziała, a pomimo to miała dziecko, żeby wykorzystać je jako narzędzie szantażu... Wielkie problemy! Jakież problem może być większy? A ja tak chciałam pomagać i takie było całe moje życie, bo tylu jest ludzi chorych i nieszczęśliwych, a ja mogę im pomóc... mogłam im pomóc... NIECH WSZYSCY DIABLI PORWĄ TEN GUZ NA MOIM MÓZGU! Nie jest większy od pocisku i zabija mnie jak pocisk, zanim będę gotowa na śmierć. I w tym właśnie momencie Howson nie wytrzymał.



Z początku nie rozumiała skąd wziął się ten przyływ potężnej energii. Kojarzył się jej z rwącą, ogromną, głęboką i straszną rzeką. Ta potęga była nieokrzesa, bo była nowa jak nowo narodzone dziecko, ale pałała wielkim blaskiem.

Siła życia??? To nie może być nic innego – to siła życia.

Kłęska? KŁĘSKA?

Nie pozostało miejsca na pojęcia śmierci i klęski!

Powoli, na chłodno, tak jak przed chwilą, gdy rozważała widmo nadchodzącej śmierci, zaczęła czerpać z ładunku, który został jej dany. Nie znajdowała żadnego oporu ani nie pytała o źródło nowych sił – zbyt już przywykła do napotykania w swoim umyśle obcych, żeby tracić siły na próżne szukanie. Fatalne wizje narzucone jej przez Phranakisa zbladły, stając się widmowo przezroczyście. Wyczuła jego przerażenie i natychmiast przestała się nad tym zastanawiać. Sama była też trochę przestraszona, ale udawało jej się zachować spokój.

Poszukując dźwigni, za pomocą których mogłaby manipulować tą siłą, zauważyła niemal natychmiast znajome pojęcie. Wiązało się ono tak silnie z jej ostatnimi, świadomymi

przemyśleniami, że była wstrząśnięta.

Matka – dziecko – obrazy porodu, karmienia, ciepła, miłości.

Dziecko – matka – obrazy dumy macierzyńskiej, nadziei, wdzięczności, miłości.

Pojęcia te były źle zdefiniowane, jakby pochodziły ze źródła, które w rzeczywistości mało wie o takich sprawach. Zaintrygowało ją to, ale szybko przestała o tym myśleć. Swoją oddzielną – świadomością wiedziała, że musi wykorzystać tę potęgę, zanim się zmęczy i straci nad nią kontrolę, pierwszą zaś i jedyną koniecznością było uwolnienie się od nienawiści, jaką czuł do niej Phranakis.



– Wrywa mu się! – krzyknął ktoś.

– Widziałem, jak zatrzepotała powiekami – szepnął Singh.

Czuł w piersiach ucisk, którego nie potrafił wytłumaczyć. Oczy bolały go od wpatrywania się w encefalograf, cała jego wola zsumowała się w nadzieję, że jego stara, droga, cudowna przyjaciółka przeżyje. Nie obchodziło go, skąd nadchodzi ratunek. Później... później!

– Ale ona się tylko wrywa! – powiedział technik obsługujący encefalograf. – Nie pociąga za sobą Phranakisa... Nie, poczekajcie! – pochylił się nisko nad taśmą Phranakisa, jak gdyby mógł przeniknąć teraźniejszość i zobaczyć to, co jeszcze nie zostało zarejestrowane. – Coś się tam dzieje, ale diabli wiedzą co!



Zastraszony, dezorientowany, zagubiony bohater czuł, jak jego tryumf obraca się w niwecz. Jeszcze przed chwilą był bezpieczny, pewien siebie, wytrzymał atak na... co tu ukrywać, na jego życie – to brzmiało lepiej niż prawda, która była dlań straszliwa. Ostatnia zdradziecka próba barbarzyńców dążących do wyrównania z nim starych porachunków została odparta. Największe miasto wszechczasów – Ateny, kwiat cywilizacji – było jego, a mieszkańcy gotowi byli mu służyć na każde skinienie. Będą go pamiętać przez wieki –

Peryklesa Wielkiego!

Teraz jednak odczuwał bezsensowną trwozę. Wydawało mu się, że miota się w koło z mieczem w dłoni jak przestraszony królik szukając nieprzyjaciół, histerycznie prowokując ich do ujawnienia się, do wyjścia z marmurowej sali pod błękitne sklepienie nieba, gdzie, jeżeli zajdzie potrzeba, będzie mógł wyrzucić wyzwanie samym bogom!

Odrzucił w tył głowę, napęłnił płuca i nie mógł dobyć z siebie głosu. Strach mącił jego zdolność widzenia, wydawało mu się, że niebiosa odwijają się jak przecięta płachta namiotu i w powiększającym rozdarciu pojawili się bogowie.

Chciał paść na twarz, ukryć głowę w pyle, zaprzeczyć temu, jak zaprzeczył... właściwie, czemu? Czemuś straszliwemu, ale nie tak przerażającemu, jak to! Był sparalizowany. Skamłąc o litość musiał patrzeć na to, co rejestrowały jego oczy, a co wydawało mu się majestatem Zeusa Gromowładnego, który unosi swoją błyskawicę i ciska ją z nieba w śmiertelnika, który považył się uzurpować sobie prawa boskie. Perykles Wielki stał się Peryklosem Phranakisem.

Perykles Phranakis przebudził się z sennego koszmaru płacząc jak dziecko i ci, którzy czuwali nad jego ciałem, rzucili się ku niemu, aby mu pomóc.

A Zeus Gromowładny, zużywszy całą swoją energię na pojedynczy, straszliwy udar mentalnego, mistrzostwa, padł twarzą na podłogę i zemdlął.



– Jak on to zrobił? – mruknął Danny Waldemar spoglądając z niedowierzaniem pomieszany z podziwem na małe ciało leżące bez sił w szpitalnym łóżku.

– Obserwator był zbyt przeciążony, żeby śledzić to dokładnie – odparł Singh.

Nie mógł doczekać się chwili, kiedy Howson odzyska przytomność. Wiedział, że nigdy nie potrafi wyrazić mu swojej wdzięczności za oszczędzenie Ilesie upokorzenia, ale chciał, żeby ten kaleka odczytał z jego umysłu przynajmniej tę wdzięczność.

– Mało z tego zrozumieliśmy. Naturalnie, przeważała w końcu sama siła. Potrafił ogarnąć wyobraźnią wszystko, co miał do zaoferowania Phranakis i obrócił to w jakąś wrogą, nienawistną wizję. Zdaje mi się, że kiedy Phranakis się ocknął, bełkotał coś o greckich bogach – może ujrzał ich, gdy Howson wtargnął w jego fantazje... Nieważne, wkrótce się dowiemy.

– Nie rozumiem tylko, co skłoniło go do pośpieszenia z pomocą – powiedział Waldemar. – Oczywiście nie kontaktowałem się z Ilsa. Jest jeszcze zbyt osłabiona... Może ty coś o tym wiesz?

– Tak, kiedy odłączano aparaturę była wystarczająco długo przytomna, żeby mi to powiedzieć – Singh urwał i otarł twarz. – Wszystko wskazuje na to, że ojcem Howsona był Gerald Pond. Mówi ci coś to nazwisko?

– Ten... terrorysta? Ten sam? No tak, Ilsa zaprowadziła kiedyś po nim ład, kiedy jeszcze pracowała w Komisji Pacyfikacyjnej ONZ!

– Właśnie! I kiedy w zbieraniu danych na temat agresji prowadziła wywiady z rannymi w tamtejszym szpitalu, poznała matkę Howsona, która była kilka godzin po porodzie. Czy wiesz, że ten chłopak nigdy nie zaznał miłości? Matka urodziła go, żeby szantażem zmusić Ponda do małżeństwa i nigdy się nim zbytnio nie przejmowała. A ludzie widzieli zawsze najpierw jego twarz i... i to ich do niego zrażało. Tak więc poza tym jednym wyjątkiem, nigdy nie zaznał miłości.

– Mówisz o Ilsie?

– Tak, nigdy go nie widziała i dlatego nie poznała go, kiedy znalazł się tutaj po dwudziestu latach. Ale zobaczyła go za pośrednictwem umysłu jego matki zaraz po porodzie i od tego czasu jest dla niej czymś w rodzaju symbolu, symbolu łączącego w sobie wszystkie frustracje, jakie ją gnębią, gdyż nie jest w stanie pomóc wszystkim ludziom, których kocha. I pomyślała o nim w chwili, która, jak sądziła, była jej ostatnią.

– Obserwował – powiedział Waldemar. – Wszyscy obserwowaliśmy przebieg tych zmagania. Gdy energia telepatyczna, jaką dysponuje Ilsa, zostaje w pełni rozwinięta, nie można tego uniknąć. Ale ja nie potrafiłbym zejść z nią w głąb tej czarnej otchłani, aż na samo dno, więc przeoczyłem to. Byłem tak rozbity, że musiałem wycofać swój umysł, żeby jej przypadkiem nie osłabić.

– On nie tylko z nią został. On ją uratował.

– Czy będzie jeszcze mogła pracować?

– Nie. Ale nie wybiera się jeszcze na tamten świat. Jestem tego pewien. Zamierza pożyć jeszcze wystarczająco długo, by zdążyć przekazać Howsonowi całe swoje doświadczenie.

– To lepsze niż mieć własne dzieci – powiedział Waldemar. – Oczywiście dotyczy to nas, telepatów. – Spojrzał na Singha. – Czy wiesz, że wam zazdrościmy?

– Wiem – mruknął Singh – a my wam.

– Howsonowi też?

– O nie – Singh potrząsnął głową. – Jemu nigdy nie będzie łatwo. Może znajdzie kompensację, rozwijając swój talent. Znalazł teraz sposób na jego wykorzystanie, sposób który go usatysfakcjonuje. Ale zawsze będzie musiał walczyć z nieufnością do ludzi, którzy mogą chodzić ulicami nie utykając i patrząc innym prosto w oczy.

Waldemar zamyślił się – Po chwili jednak zachichotał.

– Zamierzałem ci to powiedzieć – oznajmił. – Ale jeżeli sam już na to wpadłeś... co tu dużo mówić, mając za nauczycieli ciebie i Ilse, przetrwa.

– On nie tylko przetrwa, on zrobi dużo więcej – odparł Singh.

Część trzecia

MENS

14

Ponieważ był tym, kim był, poprosił pewnego razu – i jego prośba została spełniona – o prywatny samolot. Myślał o podróżowaniu po świecie i ucieczce przed skonsternowanymi spojrzeniami i ukradkowymi szeptami zwykłych ludzi. Ale ponieważ był taki jaki był, nawet lekkie zaskoczenie na twarzy pilota przy ich pierwszym spotkaniu bolało i to bardzo. Znosił to przez jakiś czas, potem przerwał nagle podróże i nigdy więcej nie poprosił o samolot.

Ponieważ był tym, kim był, rzadko dane mu było korzystać z luksusu samotności. Z dwojga złego, lepiej już było nie ruszać się z centrum terapeutycznego w Ułan Bator, gdzie ci, którzy go znali, przyzwyczaili się do jego wyglądu, a ci, którzy go nie znali, mogli sądzić, że jest pacjentem, takim jak oni.

Ostatnie jedenaście lat przyniosło wiele zmian, ale on był wciąż taki sam i tylko na jego drzwiach widniała teraz inna tabliczka: GERALD HOWSON psi D, TELEPATA PIERWSZEJ KLASY, ŚWIATOWA ORGANIZACJA ZDROWIA. Był jedną ze stu najbardziej niezastąpionych osób na Ziemi. Z tego był dumny. To trochę pomagało. Ale poza tym nadal był karłem i wciąż powłóczył krótszą nogą kuśtykając korytarzami szpitala i wciąż, każdego ranka, witała go w lustrze ta sama, szkaradna twarz.

Długo karmił się nadzieją. Wciąż żywe było wspomnienie głuchoniemej dziewczyny, której darowano mowę oraz słuch i dnia, kiedy ze łzami w oczach przyszła mu podziękować – jemu, Geraldowi Howsonowi. Ale jej wdzięczność nie trwała długo. Odwiedzała go coraz rzadziej. W końcu przestała przychodzić, a potem dowiedział się, że poślubiła mężczyznę z miasta, w którym spędziła dzieciństwo.

A on wciąż był odrażającym kaleką.

Czasem coś podsycalo jego nadzieje – nowe techniki, nowe metody chirurgiczne. Raz nawet poddano go próbnej operacji przeszczepu skóry. Ale na długo przed zabliznieniem się

wolno wrastającej tkanki, na długo przed wpleceniem się do przeszczepu rozgałęzionej sieci naczyń krwionośnych, uległ on gangrenie i odpadł. Od tego czasu Howsona ogarnęła tępa rezygnacja. Bez względu na to jak długo będzie myślał, nie doda wymarzonego łokcia do swego wzrostu – zamiast użalać się nad sobą, lepiej zająć się innymi sprawami.

Kiedy jednak w czasie snu opadały ochronne zasłony świadomości, nie było ucieczki przed rozpaczą.



Ocknął się nagle z przygnębiającego snu. To nie była zwykła zmora z jego nocnych koszmarów! Nawiedzały go tak często, że rozpoznawał już korzenie łączące je z rzeczywistym życiem, to zaś, co go teraz przestraszyło, nie wiązało się z żadnym bezpośrednim doświadczeniem.

Nie otwierał oczu. Nie miał po co, pokój i tak pogrążony był w ciemnościach, a źródło sygnału, który drażnił jego mózg znajdowało się gdzieś dalej, zamaskowane przez „szum” ludzkich marzeń sennych. Komunikat rozległ się nagle, jak krzyk w czasie cichej rozmowy. Był to krzyk trwogi.

Oddychając miarowo starał się zachować spokój i w napływającym doń strumieniu myśli szukał obrazów identyfikujących. Wysokie góry, przykryte czapami śniegu, karawany sunące dolinami i zdania wypowiedane językiem, którego nie rozumiał.

Chyba mam.

Na Oddziale Czwartym leży przecież ta dziewczyna z Nepalu – telepatka-nowicjuszka, którą znaleziono za późno, kiedy została ukamieniowana przez swoich zacofanych i przerażonych ziomków, którzy uważali ją za narzędzie szatana. Musiała mieć zły sen.

No cóż, jeżeli naprawdę tak się sprawy miały, mógł sobie z tym poradzić nie wstając z łóżka. Przygotował się do otwartego kontaktu z dziewczyną i wyssania z niej tego bezpostaciowego strachu. Powstrzymał się jednak w ostatniej chwili i poczuł, jak niezadowolone ściga mu brwi.

To już nie był Nepal. Nawet kraj tak odizolowany od świata, otoczony zewsząd górami, nie mógł być tak prymitywny. Stosunki feudalne? Magia? Magia?

Zanim zdał sobie sprawę z tego, co robi, siedział już na łóżku i naciskał kciukiem

przycisk interkomu. Czekając na zgłoszenie się lekarza dyżurnego, wniknął głębiej w docierające doń echem fantastyczne obrazy. Uczucie poddaństwa i władzy absolutnej, nastrój wyzywającej arogancji. One nie pochodziły od tej dziewczyny. A tym bardziej to poczucie męskości, podbarwiające wizje. Podobnie jak większość ludzi ze wsi, miała mocno zakorzeniony sąd o męskości i kobiecości. Pragnąc uniknąć najgorszych konsekwencji jakie mógł na nią ściągnąć jej rozwijający się talent, dostosowała się do panującego w jej domu religijnego wzorca społecznego.

W interkomie rozległ się znużony głos:

– Tu Schacht, lekarz dyżurny. Co się stało?

– Mówi Gerry, Ludwigu. Dzieje się coś złego z tą dziewczyną z Nepalu, z Oddziału Czwartego. Coś na tyle złego, że się obudziłem.

– Hmm? – wymrukując to niesformułowane pytanie, Schacht omiatał wzrokiem tablice lampek alarmowych Oddziału Czwartego. – Nic tu od niej nie mam. Zgodnie z sygnalizacją śpi.

– Ona nie jest źródłem – powiedział Howson.

Pocił się. Na tle tego, co przechwytywał, była straszliwa otchłań i złożoność i im bardziej się w to wgłębiał, tym mniej stawał się pewien, że wie co one oznaczają.

– Czy leżą u nas jacyś paranoicy z Chin? Chodzi mi o mężczyzn.

– Tak, jest jeden przechodzący śpiączkę i regres. Leży w tym samym skrzydle co dziewczyna – Schacht zawahał się. – Powiedziałeś, że ona nie jest źródłem. Czy to ma znaczyć, że ona przechwytuje myśli jakiegoś szalonego umysłu?

– Odbiera czyjeś myśli i przeraża to ją jak diabli. Sprawdź paranoika, o którym wspomniałeś. To może być on. – Sam słyszał wątpliwość w swoim piskliwym głosie.

– Na tablicy chemoterapii też nie pali się żadna lampka alarmowa. Sądziłem, że w czasie śpiączki ego jest całkowicie wyłączone – znajduje się poza czymkolwiek zasięgiem.

– Może przerwany został dopływ środków uspokajających. Sprawdź go w każdym razie.

Pauza. Wrażenie wzruszania ramion.

– Dobrze, ale jeżeli źródłem nie jest ten Chińczyk, to czy masz całkowitą pewność, że nie jest nim sama dziewczyna?

– To na pewno nie ona – zapewnił go Howson. – Pośpiesz się Ludwigu, proszę cię.



– Gerry? On jest całkowicie nieprzytomny. Jesteś pewien, że to nie sama dziewczyna – może wtórna osobowość schizoidalna?

Howson opanował pokusę warknięcia na Ludwiga. Był pewien swego, ale nie umiał tego powiedzieć.

– Wyłącz się – powiedział z rezygnacją. Koniec nadziei na niezakłócony odpoczynek nocny.

Dotknął przycisku, za pomocą którego można było podnieść podglówek łóżka tak, żeby stanowił wyprofilowane oparcie dla jego zdeformowanych pleców i opadłszy wygodnie na poduszki zapatrzył się w ciemność.

Na początku będzie musiał wyciągnąć z szeregu telepatycznych pojęć trochę więcej wskazówek. Mężczyzna – Azjata rozkoszował się władzą – nie była to zbyt rzadka cecha po tej, gęsto zaludnionej, stronie planety. Zbadał ostrożnie głębiej położone poziomy. Można przynajmniej stwierdzić, że nie sprawia to wrażenia emanacji chorego umysłu. Nie nosiło nawet tych cech irracjonalności, tak właściwych ludzkim marzeniom sennym.

Nie, chwileczkę. Coś nie tak. Zaczął od początku. Czyżby podczas pierwszego kontaktu nie dostrzegł czegoś dziwnego, co roboczo zdefiniował jako magię?

Coraz bardziej zaintrygowany, przyjrzał się temu bliżej.

Niedobrze. Niekompetencja dziewczyny zamazywała szczegóły i prawdopodobnie czyniła całość nie czytelną. Będzie musiał poszukać pierwotnego źródła. Z jednej strony nie powinno być to trudne – aby dotrzeć do świadomości śpiącej nowicjuszki, sygnał musiał być bliski i silny. Z drugiej jednak strony zadanie było ogromne. „Blisko” mogło oznaczać jakiegokolwiek miejsce w mieście, które liczyło sobie milion z okładem mieszkańców.

– Geny? Jesteś tam? – odezwał się z interkomu Schacht.

– Zamknij się – powiedział Howson. – To robi na mnie wrażenie czegoś wielkiego, Ludwigu. Wielkiego... i złego.

Wyczuł niedowierzanie Schachta, ale zignorował je. Schacht starał się przynajmniej panować nad swoją instynktowną niechęcią do telepatów, a to było więcej niż coś na co mogli się zdobyć inni ludzie.

Wysłał swój umysł na wędrówkę nad śpiącym miastem, gdzie między wysokimi, białymi wieżami i po prostych szerokich alejach szumiał sennym poszeptem wiatr wzniesany

milionami mózgów. To była świadomość kosmopolityczna rozciągająca się na cały świat, a czasami jeszcze dalej, aż po Księżyc, albo po Marsa...

Znalazł wytłumaczenie swej niechęci do podróżowania. Po co tłuc się po świecie, skoro on sam może przyjść do niego? W umyśle jednego człowieka znaleźć mógł wspomnienia z pustyni, inny był w dżungli, jeszcze inny wrócił niedawno z pustej przestrzeni, bolesnej gwiazdami ostrymi jak noże.

Ale to nie było dobre wytłumaczenie. Życie na czyjś rachunek było pasożytnictwem, a nawet symbiont może przejawiać odrobinę ambicji.

Zapanował znowu nad tokiem swoich myśli. Tej nocy spał tylko godzinę i czuł się skrajnie wyczerpany. Mimo wszystko, zanim znowu uśnie, musi skończyć to, co zaczął.

I nagle znalazł.

– Masz już coś? – zapytał Schacht z rosnącym zniecierpliwieniem. Howson ledwie go usłyszał, był zbyt przybity uświadomieniem sobie tego, co się dzieje.

– Gerry!

– Tak... słucham, Ludwigu – wykrztusił Howson. – Lepiej skontaktuj się z Panem i każ mu tu przyjść. Zawiadom też Deirdre. I wezwij ambulans oraz samochód.

– Co w końcu, u diabła, stwierdziłeś?

– Formuje się kolejna grupa katapatyczna. Gdzieś poza szpitalem. W mieście. Wydaje mi się, że potrafię ich wytropić. – Wizje rządów absolutnych zarówno nad prawami natury, jak i nad umysłami ludzi zepchnęły te słowa na dalszy plan.

– Och, cudownie – powiedział zgryźliwie Schacht. – Tylko mnie się mogła przydarzyć taka noc! Jak dotąd, odkąd objąłem dyżur dwie rany klute od pchnięcia nożem, trzy poparzenia, wypadek samochodowy i dwa przedwczesne porody.

Howson nie zwracał uwagi na jego narzekania. Gwałtowność zdarzeń atakujących jego umysł przyprawiła go o zawroty głowy. Nie związane w żaden sposób z rzeczywistością, ale mimo to naładowane pełnią świadomości – jak sny, chociaż te nie były nigdy równie nielogiczne – nie dawały mu żadnego punktu zaczepienia czy odniesienia. Oglądając je za pośrednictwem umysłu dziewczyny (którą chroniła prawdopodobnie przed tym bombardowaniem zażyta wcześniej tabletki nasenna), nie zdawał sobie sprawy ze stojącej za nimi potęgi. A co gorsza, otaczała je aura doskonałego opanowania zabarwiona... rozbawieniem...

Wyteżył każdą uncję siły woli i przerwał kontakt. Paznokcie miał wbite głęboko w dłonie. Nic dziwnego. Tego właśnie obawiał się najbardziej.

Przemówił do nieznanego telepaty zarówno głośno, jak i umysłem, wkładając w poszczególne pojęcia całą swą wściekłość i nienawiść.

– *Kimkolwiek jesteś, bądź przeklęty!*

Bezpieczny w swoim wymyślonym świecie, z sobie tylko wiadomych przyczyn snujący barwne fantazje, nieznamy odebrał chyba ten przekaz, bo zachichotał, zachęcając Howsona, by przystąpił do oblężenia fortecy jego mózgu, jeżeli ma tylko na to ochotę. A może był to tylko wytwór wyobraźni Howsona? Czuł się zbyt roztrzęsiony, żeby to z całą pewnością stwierdzić.

Udrczony, stanął oko w oko z nieodwracalną przyszłością. Nie można było zrezygnować z żadnego telepaty projekcyjnego, a sądząc po odebranych przez niego sygnałach, był to człowiek wyjątkowy wśród wyjątkowych. Mniejsza z tym, co za koszmar pchnął go do wycofania się z rzeczywistości; będą go chcieli z tego wyciągnąć. Wezwą Howsona, ponieważ on to robi najlepiej i będzie się musiał tego podjąć, chociaż jest w najwyższym stopniu przerażony i może tym razem stwierdzi, że...

NIE! Kierował ten rozkaz do samego siebie, ale wydał go tak ogłuszającym, telepatycznym krzykiem, że pozostali telepaci przebywający w szpitalu, włączając w to dziewczynę z Nepalu, zareagowali sennym zdziwieniem. Sięgnął po omacku na półkę wiszącą obok łóżka, gdzie trzymał zapas leków i odszukał buteleczkę z proszkami uspokajającymi. Łyknął dwie pastylki i znieruchomiał, czekając aż opaszą jego umysł kaftanem bezpieczeństwa.

Jego oddech stał się bardziej miarowy. Pokusa powrotu do obserwacji jaskrawych fantazji wysyłanych przez nieznanego ustąpiła, jakby opanował nieprzepartą chęć popróbowania językiem popsutego zęba i wywołania w nim bólu. Kiedy uznał, że jest już zdolny do poruszania się, wstał niezdarnie z łóżka i sięgnął po ubranie, zdecydowany wyruszyć na poszukiwanie anonimowego wroga.

15

Wysiadłszy z windy pokuśtykał wolno głównym holem szpitala mijając po drodze gotowe do użycia aparaty – butle z tlenem spoczywające na kanciastych wózkach jak modlące się modliszki, rzucające garbate cienie na kremowe ściany; nosze na kółkach ze starannie złożonymi kocami; maszynę zwaną sztucznym sercem, maszynę zwaną sztucznymi płucami,

maszynę zwaną sztuczną nerką, jak gdyby można je było poskładać ze sobą i stworzyć sztucznego człowieka.

Z czym mózgiem? Z moim? Wolałbym raczej...

Drzwi wejściowe otwarły się gwałtownie i stanął w nich Pandit Singh ubrany w czarny sweter i czarne spodnie. Światło tworzyło aureole wokół grzywy jego siwych włosów.

– Gerry! Co z tą grupą katapatyczną? Tuż pod naszym bokiem? Kto? A poza tym, co ty tu robisz? Czy Ludwiga Schachta nie ma na dyżurze?

Mróz zawziętości w tych słowach nie bardziej świadczył o jego zdenerwowaniu niż szron siwizny na jego krzaczastych brwiach o jego wieku. Wydawał się niezmiennie młody. Awans z dawnego stanowiska ordynatora terapii A na dyrektora naczelnego szpitala nie zmienił go ani na jotę. Howson polubił tego człowieka od pierwszego wejrzenia, teraz po wielu latach współpracy kochał go tak, jak kochałby swego ojca.

Kiedyś pragnął, by odebrano mu jego dar, nie chciał go. To pragnienie powracało jeszcze od czasu do czasu, ale teraz nie chciał, by telepatia całkowicie znikła ze świata. Obdarowałby nią Pandita Singha, człowieka najodpowiedniejszego do władania taką potęgą.

Dlaczego właśnie ja? Dlaczego ja, słabeusz?

Był straszliwie zmęczony. Ale potrafił zapanować nad swym piskliwym głosem, kiedy korygował przypuszczenia Singha.

– Gdy szedłeś tutaj, pewnie nie zatrzymałeś się, Pan, żeby wypytać Ludwiga o szczegóły. Ta grupa nie jest w trakcie zawiązywania. Ona już istnieje w tym mieście. Ta dziewczyna z Nepalu odebrała we śnie jakieś rozproszone obrazy – tak się akurat składa, że fabuła fantazji pasuje z grubsza do jej własnej przeszłości – i obudził mnie jej instynktowny strach.

– Rozumiem! – Singh pogładził brodę. – Możesz ich nam zlokalizować, czy będziemy musieli sami poszukać?

– Tak, potrafię ich wytropić – zapewnił Howson. – Dlatego właśnie się ubrałem.

Singh przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. Potem, wiedziony jednym ze swych olśniewających przeblysków intuicji, powiedział.

– Gerry, tu nie chodzi tylko o to, że wyrwano cię ze snu. Czy to szczególnie zły przypadek?

Howson skinął z przygnębieniem głową.

– To sprawia wrażenie czegoś godnego potępienia, Pan. Nie ma w tym normalnych tonów... słabości, albo ucieczki. Wyczuwam... jak to u diabła określić? Ironie? Upór? Zdecydowanie?

Umysł Singha zareagował powagą. Była ona jednak w jakiś sposób kojąca: gdyby wyrazić ją słowami, przybrałaby następującą formę: *Jeżeli on jest przestraszony, ma ku temu powody, a więc nie mogę się z nim spierać. On jest przecież największy – wiem co potrafi.*

Howson spróbował się uśmiechnąć. Drzwi wejściowe otwarły się ponownie i do holu wielkimi krokami weszła Deirdre van Osterbeck, następczyni Singha na stanowisku ordynatora terapii A – wyglądała jak chmura gradowa w swej obszernej fałdzistej opończy, z której wystawała głowa o okrągłej, bladej, jak księżyc w pełni, twarzy. Z gabinetu lekarza dyżurnego wyszedł zdenerwowany Ludwig Schacht, żeby oznajmić, że samochód i ambulans są już w drodze.

– Myśli pan, że jeden ambulans wystarczy? – spytał na koniec zerkając na Singha.

Singhowi cisnęła się na usta automatyczna odpowiedź – grupa katapatyczna nigdy nie składa się z więcej niż ośmiu osób, a więc wystarczy jeden ambulans i jeden samochód służbowy. Howson powstrzymał go niemym myślowym gestem.

– Wezwij jeszcze jeden, Ludwigu – powiedział. – Boję się, że ten człowiek łamie wszelkie reguły.

A w myślach powtórzył: *Boję się...*



W samochodzie mknącym szeroką autostradą w kierunku miasta nawiedzały Howsona fragmentaryczne obrazy. Ukazywały mu się wyraźnie niemożliwe zdarzenia, które – jeżeli im na to pozwoli – mogą na zawsze zastąpić rzeczywistość. Szum silnika samochodu, ciemne frontony budynków, światła uliczne, nawet obecność w pobliżu innych ludzi można było wymazać bez użycia przemocy. Kim mógł być ten nieznajomy? Realne wspomnienia przykryte były tak grubą warstwą, że Howson obawiał się, iż zanim znajdzie jakikolwiek trop, będzie musiał nurkować głęboko w wir jego psychiki.

– Gerry! – wykrzyknął Singh. Howson ocknął się. Nie zdając sobie sprawy z tego dał się ponieść wyobraźni.

– Przepraszam – wymamrotał. – To jest takie silne... Muszę skupić swą uwagę na źródle, jeżeli mam je zlokalizować, ale kiedy tylko zaczynam o tym myśleć... w każdym razie

powiedz kierowcy, żeby skręcił w prawo. To już bardzo blisko.

Samochód skręcił w szeroki bulwar, wzdłuż którego ciągnęły się dwa szeregi wielopiętrowych budynków. Po fasadach – czerwonych, zielonych, niebieskich Singh zorientował się, że są to hotele.

– Sądziś, że w jednym z tych hoteli? – zasugerował.

– Bardzo możliwe – mruknął Howson głosem matowym ze znużenia.

– Wiec oderwij umysł od obiektu! – rzekł Singh. – Możemy obejść je po kolei i sprawdzić ostatnie meldunki. Parę minut zwłoki nie stanowi teraz żadnej różnicy.

– Potrafię ich znaleźć – zaprotestował Howson. – Jeszcze trochę...

– Powiedziałem, oderwij umysł od obiektu. Jesteś zbyt cenny, żeby cię wykorzystywać w charakterze psa gończego, słyszysz? – Singh z premedytacją wyobraził sobie wielkiego, zaślinionego wężącego psa z uszami ciągnącymi się po ziemi i tak drugimi, że zwierze przydeptowało je sobie przednimi łapami. Howson odebrał ten obraz i musiał się uśmiechnąć.

Wygrałeś.

Samochód podjechał do krawężnika i zatrzymał się. Singh otworzył drzwiczki i wysiadł. Howson chciał pójść w jego ślady.

– Nie musisz ze mną iść, Gerry! – zaproponował Singh.

– Jeżeli się czymś nie zajmę, jestem skłonny... eee... wrócić myślami do obiektu – odparł Howson. – Idę z tobą.

Przez następne pół godziny dreptali od hotelu do hotelu. Marmurowe ściany, ozdobne wywieszki, imitacje zwierzęcych skór i podświetlone zbiorniki zabarwionej na zielono wody były świadkami podnoszenia głów przez kolejnych sennych recepcjonistów, ich zdziwionych spojrzeń witających Howsona i Singha, udostępnienia z ociąganiem ksiąg meldunkowych, uważnego oglądania legitymacji Singha, która otwierała wszystkie drzwi, a w końcu niechętnego ustępowania.

Sześć hoteli i nic. Gdy wyszli z szóstego i dali podnieconym obserwatorom oczekującym na ulicy w ambulansie i samochodzie znak, że nie poczynili żadnego postępu, Singh spojrzął z ukosa na Howsona.

– Wciąż unikasz kontaktu z obiektem, Gerry?

Howson uśmiechnął się z miną winowajcy.

– Jak ty dobrze mnie znasz, Pan – odparł z wymuszoną lekkością.

– W porządku przerwij go – powiedział szorstko Singh. – Gdyby nasz człowiek nie znajdował się tak cholernie blisko, nie kazałbyś mi zatrzymać tu samochodu, a nie mogę

sobie wyobrazić innego miejsca pobytu dla telepaty spoza miasta, niż hotel wysokiej kategorii. Znajdziemy go prawdopodobnie w następnym.



Następny hotel był pretensjonalnym budynkiem przypominającym chińską pagodę, udekorowanym ogromnymi, spiralnymi kolumnami z brązu i czerwono-czarnymi smokami wymalowanymi na ścianach. W recepcji siedziała tęga kobieta w średnim wieku, przez cały czas rozmowy z nimi trzymająca jedną rękę na przycisku alarmowym. Bała się gwałtu i jego wizja płonęła w jej umyśle jasno jak latarnia. Howson musiał stłumić w sobie odruch odrazy dostrzegając masochizm kryjący się za jej świadomym przerażeniem.

Singh nakłonił ją do wyciągnięcia pliku kart meldunkowych, przewertował tuzin z nich i zatrzymał się ze stłumionym okrzykiem. Bez słowa wyrwał ze skoroszytu kartę, która go zainteresowała i pokazał ją Howsonowi. Pewnym charakterem wypisano na niej nazwisko Hugh Choong.

– Ależ to jest...! – zaczął Howson i urwał widząc zmarszczenie brwi Singha. Nie używając już słów, ciągnął dalej – *Ależ on jest bardzo znany!*

– *Nie mylisz się – jedenaście lat współpracy z Howsonem nauczyło Singha werbalizowania myśli niemal tak jasno, jak telepata. – Sędzia arbitrażowy rezydujący w Hongkongu. Praktycznie jedną ręką utrzymuje spokój w rejonie Pacyfiku. Jest również terapeutą angażowanym od czasu do czasu przez wyższe czynniki ONZ. Nie poznałeś go jeszcze osobiście?*

– *Nie.*

– *Ani ja. Ale zaraz to nadrobimy, prawda?*

Ale Howson nie potrafił dostosować swego nastroju do tego kpiąco-cynicznego komentarza. Czuł tylko konsternację. Sędzia arbitrażowy formujący grupę katapatyczną? Wybierano ich spośród najbardziej zrównoważonych, zdolnych, wysoko doświadczonych telepatów. Musieli być, jak żona Cezara, poza wszelkim podejrzeniem, bo od ich samokontroli zależał chwiejny pokój planety.

Jeżeli taki człowiek wybiera ucieczkę od rzeczywistości w świat marzeń, to co ma powiedzieć on – kaleka, który nie potrafi nawet spojrzeć śmiało w oczy obcemu?

Singh mówił już z ożywieniem do recepcjonistki:

– Który pokój zajmuje pan Choong? Będę musiał zakłócić mu spokój.

– Pan Choong zajmuje apartament – poprawiła go posepnie recepcjonistka. – Dziś wieczór zameldował się ze swoją grupą w nadbudówce, na ostatnim piętrze. Ale chyba nie wolno mi...

– Ze swoją grupą – przerwał jej Singh.

– Łącznie dziesięć osób – a po chwili niechętnie dodała – proszę pana.

– Miałeś rację, Gerry. Potrzebny będzie drugi ambulans – mruknął Singh. – W porządku – zwrócił się znowu do recepcjonistki – proszę wezwać portiera, czy kogoś takiego, aby zawiózł nas na górę. I proszę się pośpieszyć! To sprawa życia i śmierci, słyszy pani?

Howson z ulgą poddał się biegowi wydarzeń. Nie odzywał się, kuśtykając do windy w asyście zaspanego portiera w piżamie. Sanitariusze z ambulansu przeszli ze swoimi noszami do windy towarowej. Howson zostawił dowodzenie akcją Singhowi, sam zaś zajął się całkowicie poskramianiem swego umysłu, który groził wyrwaniem się spod kontroli, ilekroć pozwolił swej uwadze na wędrówkę w kierunku telepatycznych fantazji snutych przez Choonga.

Staraj się nie myśleć o białym koniu...

Winda zatrzymała się na poziomie nadbudówki. Singh odruchowo chciał użyć prywatnych kluczy, które otrzymał od recepcjonistki, ale drzwi otworzyły się zanim zdążył włożyć je w zamek. A za nimi...

– To mi przypomina finałową scenę z Hamleta – ponuro powiedział Singh.

Wszędzie ciała! Ale... jednak nie trupy. Woskowobladni ludzie siedzieli, albo leżeli bez ruchu na krzesłach, kanapach, stosach poduszek. Było ich dziewięcioro, otaczali kręgiem dziesiątego – zażywnego mężczyznę o euroazjatyckich rysach twarzy, ubranego w jedwabne kimono, siedzącego wygodnie w przepastnym fotelu. Na stoliku obok niego, leżały, jakby dopiero co zdjęte i odłożone, staromodne okulary w rogowej oprawie. A więc to był Hugh Choong.

Pięści Howsona zacisnęły się śmiesznie. Jak źle zmontowana lalka pokuśtykał do zagubionego w transie telepaty. Furia jego wściekłości zatruwała powietrze.

Niech cię diabli, niech cię diabli, niech cię diabli...

– Gerry! – głos Singha przeniknął do jego mózgu. – Nie możesz do niego dotrzeć, a więc nie trać energii!

Wściekłość Howsona rozplynęła się pozostawiając po sobie tylko apatie. Wykonał nieokreślony gest i odwrócił się do Choonga plecami.

– Nie chcę, aby ktokolwiek dotarł za nim tam, dokąd odszedł.

– Nie jestem tego taki pewien – zaproponował Singh. – Spójrz tylko! – podszedł po puszystym dywanie do wiszącego na ścianie telefonu i wskazał na coś, co leżało na niskim stoliczku poniżej. Śledził go przygasły wzrok Howsona.

– Telefon jest wyposażony w programator czasowy i nastawiony na ósmą rano. A to jest odtwarzacz. Zobaczmy co ma nam do powiedzenia. – Podniósł małe urządzenie w lakierowanej obudowie i stwierdził, że jest podłączone do telefonu cienkim, jak pajęczka sieć, przewodem. Przewód zerwał się od jednego pociągnięcia. Singh wcisnął klawisz odtwarzania.

Od razu rozległ się stanowczy głos.

– Z hotelowej nadbudówki mówi Hugh Choong. Dzień dobry. Na wstępie śpieszę poinformować, że niniejsze oświadczenie odtwarzane jest z taśmy i zostanie powtórzone kilkakrotnie, proszę się więc nie denerwować, jeżeli za pierwszym razem jego treść nie będzie należycie zrozumiana. Proszę o powiadomienie naczelnego dyrektora centrum terapeutycznego Światowej Organizacji Zdrowia, dyrektora Pandita Singha, podanie mu moich personaliów i przedłożenie mojej prośby o oddelegowanie na spotkanie ze mną jednego z jego starszych asystentów. Drzwi windy zaprogramowane są automatycznie na otwieranie, nie będzie miał więc żadnych trudności z dostaniem się do środka. Z góry dziękuje.

– Wyłącz to! – krzyknął dziko Howson. – A więc wszystko to ukartował! Najlepszy w terapii, bez żadnego powodu! A teraz przewiduje... – urwał, ale jego usta poruszały się nadal.

– Tak Gerry? – przynaglił go Singh.

– Wiesz bardzo dobrze, co chciałem powiedzieć! – Howson szalał. – Teraz ktoś musi pójść za nim, wyciągnąć go z transu, tracić czas i energię, które powinny służyć komuś, kto tego naprawdę potrzebuje!

– Moim zdaniem, Gerry – powiedział Singh tonem, w którym wyraźnie było słychać nagane, – stan, w jakim zastaliśmy Hugh'a Choonga, czyni go osobą potrzebującą pomocy. Czy się mylę?

Howson zarumienił się. Przez chwilę zdawało się, że chce odpowiedzieć, ale zanim zdążył dobrać głos, z windy towarowej wyszli sanitariusze z noszami i Singh zajął się całkowicie nadzorowaniem ich pracy.

Howson wycofał się w głąb pokoju, schodząc im z drogi i wpatrywał się w zastygłą w maskę twarz Choonga, którego akurat kładziono na nosze.

*Niech cię diabli, to dlatego rozchodzi się wokół ciebie taki swąd samozadowolenia!
Tak zatroszczyłeś się o zapewnienie sobie pomocy, że nie możesz jej potrzebować!*

Ale otrzymasz ją – po dwakroć, niech cię diabli. Każą mi teraz gonić za tobą w tę

krainę-nigdzie, zniszczyć twoje marzenia, napastować cię i dręczyć, dopóki nie zdecydujesz się wrócić. I ja podejmę się tego zadania, bo to jest wszystko, co mam – moje umiejętności, którym nie dorówna nikt na świecie.

A kto pójdzie za mną, żeby mnie pomóc, Choong? Kto pozostaje? Niech cię diabli porwą na same dno piekła.

16

Jego zawziętość podsycana brakiem snu, jeszcze wzrosła, gdy następnego ranka zwołano specjalną naradę. Dla zwykłego pacjenta wystarczała linijka w harmonogramie dziennym; dla jakiegokolwiek innego pracownika ONZ korzystano, w najlepszym przypadku, ze specjalnego kanału łączności, celem przedyskutowania przypadku z zainteresowanymi. Ale dla Choonga, hipersonicznym ekspresem przybył rój wysoko postawionych osobistości.

Howson siedział w zarezerwowanym dlań fotelu po prawicy Singha i starał się myśleć o sprawach nieważnych. O długim, niskim, seledynowym suficie sali, o mistrzostwie wykonania bukowych mebli. Zbyt był świadom ukradkowych, zaciekawionych spojrzeń zebranych, które pytały wyraźnie:

Najlepszy na świecie terapeuta? On?

Ledwie się powstrzymywał od wygarnięcia im. A czego się właściwie spodziewaliście? Supermana? Boga?

Na szczęście ich uwagę odciągały właśnie kopie wyników badań Choonga i jego grupy. Przekopywali się teraz wytrwale przez kłębowisko szczegółów, żeby nie zadawać później niepotrzebnych pytań i nie wyjść na głupców.

Zauważył nagle, że jest ktoś kto tego nie robi. Lockspeiser, wielki Kanadyjczyk o czerwonej twarzy i z łysiną na czubku głowy zatrzasnął swoją teczkę z papierami i odepchnął ją od siebie.

– Przepraszam za szczerą doktorze Singh – powiedział Kanadyjczyk – ale ten materiał jest dla lekarzy, ja nim zaś nie jestem. Reprezentuje Komisję Koordynacji Handlu i moje zainteresowanie doktorem Choongiem wypływa z faktu, że miał on prowadzić sprawę, o której pewnie pan słyszał – chodzi o Indonezję.

A więc chciał się wymigać od tego zadania. Ta myśl dziwnie podniosła Howsona na

duchu. Ale tylko na kilka sekund. Singh podniósł głowę.

– Czy powiadomiono go o tym?

– Nie wiem – mruknął Lockspeiser. – Oczywiście zawiadomiłem jego biuro w Hongkongu. Pan tam pracuje, prawda? – spojrział na Chińczyka o zmartwionej twarzy, siedzącego naprzeciw niego, a przedstawionego zebrany jako Jeremy Ho.

– Tak. Hmmm... – Chińczyk sprawiał wrażenie bardzo nieszczęśliwego. – Odpowiedź na pytanie doktora Singha jest negatywna. Od ponad tygodnia nie mieliśmy kontaktu z doktorem Choongiem.

– I nie zastanowiło was to? – spytał z niedowierzaniem Lockspeiser.

– Ujmijmy to w inny sposób. Nie mieszciliśmy się do spraw doktora Choonga – w głosie Ho pobrzmiwała nutka lekkiego wyrzutu. – Zakładaliśmy, że doktor Choong odbywa jedną ze swych regularnych podróży służbowych. Jeździł często po świecie, zbierając dane, które w przyszłości mogły się okazać przydatne. Tylko on jeden wiedział, co ma dla niego znaczenie.

Singh zakasłał znacząco.

– Nie wydaje mi się, aby roztrząsanie tej sprawy było konieczne. Znaleźliśmy Choonga. Obecnie problem polega na tym, jak do niego dotrzeć. Lepiej skoncentrujmy naszą uwagę na tym.

– Racja – to powiedziała opanowana kobieta o kasztanowych włosach, w wieku trzydziestu pięciu, co najwyżej czterdziestu lat, siedząca obok Lockspeisera. Howson nie wiedział jeszcze kim ona jest, ale zainteresowała go. Był pewien, że ma przed sobą telepatkę; ale kiedy dokonał ostrożnej próby kontaktu, natknął się na gest umysłu, równoważny wzruszeniu ramion. Ten afront zirytował go.

Singh spojrział na nią mrugając powiekami.

– Dziękuję, panno Moreno. Jak na razie, o ile się orientuje, nie wiadomo nic konkretnego o towarzyszach doktora Choonga. Czy mam racje?

Panna Moreno skinęła stanowczo głową.

– Żaden z nich nie znalazł się dotąd w kręgu naszych zainteresowań – przytaknęła.

– Naszych zainteresowań? – spytał Howson. Wszystkie oczy spoczęły na nim i momentalnie się odwróciły z wyjątkiem oczu panny Moreno. Jej odpowiedź była natychmiastowa i zdawkowa.

– Wywiad Światowy, doktorze Howson. – *Oczywiście. Kiedy znika człowiek trzymający w swoich rękach klucz do pokoju na ponad szóstą część globu, można się spodziewać, że przybędą w te pędy.*

Howson wybąkał coś niewyraźnie, zakłopotany swoim brakiem przenikliwości i jeszcze bardziej niż dotąd speszony jej niechęcią do odклонienia mu się na poziomie telepatycznym. Singh przyszedł mu w sukurs.

– Naturalnie wszyscy państwo zostaliście powiadomieni o tym, co się stało z doktorem Choongiem. Nie wiemy, dlaczego to zrobił. Analizujemy poufne raporty psychomedyczne przywiezione przez pana Ho z Hongkongu, ale dopóki nie dojrniemy do końca, możemy tylko snuć przypuszczenia. Wczoraj powiedziano mi, że przyczyna zawiązania tej grupy katapatycznej była taka sama, dla której może uciec w trans każdy telepata – ucieczka przed poważnym kryzysem w życiu osobistym. Nasze dane sugerują jednak, że Choong jest człowiekiem świetnie przystosowanym do zajęcia, którym się para. Jego życie prywatne układa się pomyślnie, ma wielki talent... Tak, panno Moreno?

– Czy rzeczywiście musimy przeciągać tę konferencję? – zapytała kobieta. Howson stęzał. Pomimo uważnej kontroli, jaką sprawowała nad swoim umysłem, dotarł doń przeciek niezaprzecznego niepokoju. – Istnieje tylko jeden kierunek działania i im szybciej zostanie podjęty, tym lepiej!

Lockspeiser walnął otwartą dłonią w stół.

– Wspaniale! Czy ktoś mi, z łaski swojej, wyjaśni, co to za kierunek działania? Nigdy się z tym nie spotkałem – z tym katapatycznym czymś tam – zanim nie usłyszałem o Choongu. Wygląda na to, że odciął wszystkie drogi dostępu do siebie... a może się mylę?

– Trzeba zrobić rzecz następującą – powiedział Howson głosem piskliwym i twardym jak krzyk. – Ktoś musi pójść za nim w jego fantazje. Ktoś musi zaryzykować swoimi zdrowymi zmysłami, żeby wykryć reguły, według których działa jego wszechświat, żeby wśród dziesięciu realnych i Bóg wie ilu wtórnych osobowości schizoidalnych odnaleźć ego telepaty. Żeby z tego fantastycznego świata uczynić miejsce tak zniechęcające do zamieszkania, że ze zwykłego obrzydzenia przerwie on kontakt z innymi i powróci do normalnej percepcji.

Podniósł wzrok i napotkał oczy panny Moreno. Nie odwróciła ich, gdy kończył.

– A to nie jest takie proste!

– Czy mówiłam, że jest? – Na oliwkowej skórze jej policzków ciemniał lekki rumieniec.

– Powiedziała pani, że im wcześniej zajmiemy się Choongiem, tym lepiej. – Howson sparodiował gest zaproszenia. – Proszę uprzejmie, droga wolna! Tylko jedna sprawa – musi się pani najpierw nauczyć obiektu swych zainteresowań na pamięć. Jeżeli pani tego nie robi, może ukryć się przed panią za nieskończoną ilością masek, dopóki tak go pani nie

zdenerwuje, że w ogóle nie będzie go pani mogła znaleźć albo tak się pani zmęczy, że nie będzie już o to dbać, albo... albo będzie tak zafascynowana... – przełknął ślinę i oblizał wargi wciąż patrząc w oczy panny Moreno, ale już jej niedostrzegając. – Po drugie, intruz musi się wślizgnąć niepostrzeżenie. Jeżeli jest niezdarny i łatwy do rozpoznania, bije głową w mur złożonych źródeł obrony uczestników grupy katapatycznej, którzy zaprzeczają jego istnieniu, tak samo jak wyparli się własnych ciał. Ta grupa katapatyczna liczy sobie dziesięć osób, a mogą się założyć, że do udziału w niej nie zaprosił Choong gamoni i niedołęgów! I na koniec jeszcze jedno... – urwał. Wszyscy czekali w milczeniu. Pauza zaczynała przypominać przerwę między błyskawicą, a grzotem gromu.

– Ina koniec jeszcze jedna sprawa – powtórzył bardzo wolno Howson. – Choong nie jest uciekającą od świata osobowością nieadekwatną.

A więc dlaczego? Dlaczego? DLACZEGO?



Potem opuścił salę obrad. Trzeba było jeszcze tylko zadać mniej ważne pytania, a kto je zada, nie było istotne. Wszystko można było z góry przewidzieć.

– Czy ich opór można osłabić... na przykład narkotykami?

– Narkotykami nie. Czasami pomaga szok elektryczny doprowadzony do zespołu Funcka. Ale każdy ze środków farmakologicznych wpływałby zarówno na funkcje motoryczne – serce, odruch oddychania – jak i na wyższe ośrodki związane z wyobraźnią. Nie znamy leku, który działałby selektywnie na sam system nerwowy.

– No a ... sztuczne serce i płuca?

– Nie ma mowy, dopóki nie zostanie zerwana więź telepatyczna. Co więcej, powitaliby to z radością. Znaczyliby to, że mogą przestać zajmować się swoimi ciałami i funkcje naturalne ustałyby całkowicie.

– Czy mogłaby pomóc separacja fizyczna?

– Wykorzystujemy telepatów do komunikacji z Marsem. To jest chyba odpowiedź na pańskie pytanie! – Singh stał się coraz bardziej rozdrażniony. Jego umysł nie koncentrował się na zadających pytania, ale na nieobecny Howsonie. Zastanawiał się, czy Gerald nie podsłuchuje z jakiejś innej części budynku. Oczywiście robił to. Nie potrafił oprzeć się

pokusie.

Wyczuwając narastające zniecierpliwienie naczelnego dyrektora, zebrani zrezygnowali z dalszych pytań i Lockspeiser przeszedł prosto do sedna sprawy.

– W porządku, doktorze Singh. Pozostaje tylko ustalić, czy doktor Howson upora się z takim zadaniem i jakie są szanse na sukces w przyzwoicie krótkim czasie?

Sam chciałbym to wiedzieć. – Singh wprawnie zamaskował tę myśl. Być może nie odczytała jej nawet panna Moreno. Głośno powiedział:

– Jestem przekonany, że Howson sobie poradzi. Co do sukcesu w przyzwoicie krótkim czasie, to Howson od lat odnosi same sukcesy, a niewiele zabiegów, które prowadził, trwało dłużej, niż czterdzieści osiem godzin. Pamiętajcie jednak państwo, że jak sam powiedział, musi się najpierw przygotować. Zanim wejdzie w fantazje swego pacjenta, musi poznać na pamięć całego jego życie, poczynając od dnia narodzin.

– To mi wystarczy – chrząknął Lockspeiser i wstał. Panna Moreno ociągała się z wyjściem z sali zerkając na Singha. Przemówiła, gdy za Ho i Lockspeiserem zamknęły się drzwi.

– Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, doktorze Singh, jeszcze raz postawię to pytanie. Chodzi mi o zmniejszenie ryzyka do minimum. Czy jest pan całkowicie pewien, że doktor Howson sprowadzi Choonga z powrotem?

Singha opanowała niepoohamowana wściekłość. Wybuchła z pełną siłą, na co sobie nieczęsto pozwalał. Powiedział podniesionym głosem:

– Nie pozwalam pani mówić, ani nawet myśleć w ten sposób! Cholera, pracuje z Gerrym od jedenastu lat. obserwowałem jak przeradza się z wystraszonego, nieśmiałego, opóźnionego w rozwoju chłopaka w zdolnego – diabła tam, genialnego terapeutę. Jego umysł jest jak skalpel. Wiem to. Jak pani mogła tego nie zauważyć? Przecież sama jest pani telepatką?

Zapadło niezręczne milczenie. Z zamkniętymi oczyma, kołysząc się lekko w swym specjalnym fotelu, Howson czekał na odpowiedź, jaką otrzyma Singh. Nie chciał sondować umysłu panny Moreno, skoro wzbraniała się przed kontaktem.

– Skąd pan wie, że nie zauważyłam? Wypełniam swoje zadanie i mam polecenie nie informować pana o jego charakterze. Poza tym sądzę, że jasno dałam Howsonowi do zrozumienia, że ja...

– Nie musi pani nic więcej mówić! – Singh odtrącił te słowa zniecierpliwionym machnięciem ręki. Widziałem ponad dwustu telepatów – chorych i zdrowych, wyszkolonych i

nowicjuszy. Dalej jednak żądam odpowiedzi. Jak to się stało, że nie orientuje się pani, iż Gerry jest tym jedynym, żyjącym człowiekiem, który jest w stanie sprowadzić Choonga z powrotem?

– Ponieważ... – urwała zbierając siłę woli na podjęcie decyzji. – Ponieważ, jeżeli mam być szczerą, Choong mnie przeraża! Już od czasu zapoczątkowania przez Vargasa sprzężenia katapatycznego powodowanego... no nie wiem... frustracją, nieprzystosowaniem... Och, dajmy temu spokój. W każdym razie, już od tamtego czasu taka ucieczka stanowi dla nas nieustanną pokusę. Jest pan zapewne wyjątkiem, jeżeli miał pan do czynienia z tyloma telepatami, ale większość ludzi wyobraża sobie, iż posiadanie takich umiejętności przynosi same profity i satysfakcje. Pomimo całej szczegółowo przygotowanej propagandy, że jest wprost przeciwnie, są zazdrośni – jej głos był teraz pełen gorzkości. – A jednak telepata może też być sfrustrowany, albo przygnębiony, albo może stracić chęć do życia. I każdy z nas może sobie w dowolnym momencie powiedzieć „Niech diabli porwą cały ten świat! Mogę sobie stworzyć własny!” Ale powstrzymujemy się. Myślimy „Poddają się tylko słabeusze”. A teraz zrobił to Choong. Czy on jest słabeuszem? On? Nigdy! Najwyraźniej wszedł w trans po prostu z wyboru, w pełni zdając sobie sprawę z tego co robi. Czy i ja tak skończę? Albo Howson? Albo wszyscy z nas? będę unikała kontaktu z Gerry Howsonem, doktorze. Wiem, że go to denerwuje. Ale sam pan rozumie... boję się, że jeżeli stwierdzę, iż ulega on tej samej pokusie co ja i jeżeli on odkryje tę pokusę u mnie, stracimy nie tylko Choonga, ale i jego, a także mnie.

Singh nie odpowiedział. Opuścił tylko głowę.



Był tam, w całej swej nagości – strach. Niechęć Howsona do panny Moreno nagle się ulotniła. Chciała dobrze. Po prostu nie zdawała sobie sprawy, że większym wsparciem dla niego byłaby wiedza, że przerażenie które odczuwa, dzieli z nim ktoś inny.

Jak to było o tych towarzyszach w nieszczęściu? Nie mógł sobie przypomnieć. Zresztą nie miało to znaczenia.

Jego ręka powędrowała do przełącznika interkomu. Po chwili rozległ się głos Deirdre van Osterbeck.

– Tak?

– Mówi Gerry, Deirdre. Przyślij mi, proszę, materiały dotyczące przypadku Choonga. Jestem gotowy do zapoznania się z nimi.

17

Dążąc do końcowego sukcesu opierał się zazwyczaj, przynajmniej częściowo, na intuicji. W przeszłości wiele razy doprowadzał do gwałtownego i drastycznego rozerwania grupy katapatycznej wykorzystując słaby punkt wykryty już w samej fantazji, do którego pacjent – telepata nie przyznawał się przed własnym analitykiem, a nawet przed własną żoną. (O ile był żonaty. W przewidywaniu minimalnego prawdopodobieństwa posiadania potomstwa obdarzonego zmysłem telepatycznym, niewielu telepatów wstępowało w związki małżeńskie).

Tym razem jednak, nie było miejsca na improwizację w ostatniej chwili. Wykorzystywał wszystko.

Najpierw były długie, długie godziny spędzone pod kapturem – dopasowanym do kształtu głowy urządzeniem stanowiącym kombinację przeglądarki mikrofilmów, mikrofonu i akustycznych wyjść informacyjnych. Zażywał łagodny środek pobudzający, który pomagał w zapamiętywaniu niezliczonych faktów. Z każdej sesji wychodził wykończony psychicznie i zlany potem.

Następnie przyszła kolej na wywiady bezpośrednie. Sprowadzono mu każdego, kto choć trochę znał Choonga i kogo można było odszukać – kolegów szkolnych, podstarzałych krewnych, eks-przyjaciółki, kolegów z pracy – w sumie ponad dwieście umysłów, w których musiał kopać, przesiewać, wylapywać fakty i aluzje.

Na koniec sprowadzono żonę Choonga.

Nie chciał się z nią spotkać. Starał przekonać siebie, ją i Singha, że nie jest to konieczne, że zebrany materiał w zupełności mu wystarcza. Ale w końcu musiał poddać się tej próbie. Sama tego zażądała. Pragnęła odzyskać męża i jeżeli w jej pamięci znajdowało się coś, co Howson mógłby wykorzystać, chciała, aby się o tym dowiedział.

Była niską, pękatą i niezbyt atrakcyjną telepatką recepcyjną o sporym dorobku zawodowym. Jej przodkami byli w większości Polinezyjczycy, ale obecnie zajmowała się

przede wszystkim regulacją kulturową na Nowej Gwinei – wytłumieniem szoku, powodowanego nową technologią u ludzi, których dziadkowie urodzili się w epoce kamienia łupanego. Nie było jej w domu od ponad trzech miesięcy, a męża nie spodziewała się zobaczyć przez następne sześć.

Już przy pierwszym sondowaniu jej umysłu Howson przewidywał, co w nim znajdzie. Jeżeli gdziekolwiek istnieje informacja o krytycznej sytuacji, od której usiłował uciekać Choong, musiała znajdować się tylko tutaj. Szukał śladów małżeńskich tarć, najprawdopodobniej na podłożu seksualnym – i był zaskoczony.

Nie znalazł ich. Odkrył tylko bolesne zdumienie, nieme pytanie:

Dlaczego odszedł beze mnie?

Nie znalazł na nie odpowiedzi. Ze wszystkich danych wypływał wniosek, że Choong jest najbardziej stabilnym telepatą, na jakiego natknął się Howson i że jego stałość względem własnej żony była tak samo idealna, jak względem każdego innego elementu jego egzystencji.

Wstrząśnięty, walczył ze wzmagającym się impulsem popychającym go do przerywania przygotowań. Wiedział, że Ho i Lockspeiser stają się coraz bardziej niespokojni, wiedział, że nawet Singh, którzy tak bardzo wierzył w niego, zaczął podejrzewać, że tak drobiazgowo opracowywanie środków ostrożności nie jest w gruncie rzeczy konieczne i stanowi pretekst do odwlekania właściwego zabiegu. On natomiast nie odważyłby się stanąć do potyczki z Choongiem nie znając jego słabych punktów.

Ponieważ jednak nie znajdował ich u samego Choonga, pozostawali tylko jego towarzysze.

Tutaj zadanie było nieporównywalnie łatwiejsze. Chociaż żadna z tych dziewięciu osób sama nie uległaby pokusie eskapistycznej fantazji, nie trzeba ich było długo namawiać, aby przyłączyli się do Choonga. W konsekwencji, znalazł pewne rojujące nadzieje wskazówki w ich zapisach psychologicznych. Skrywana żądza władzy, wykryta w analizie sprzed kilku lat fantazja na temat król-niewolnik.

Sprawa kłamstwa z okresu dzieciństwa, pomniejsza kradzież, drobne wybryki.

Próba samobójstwa po zawodzie miłosnym.

I tak dalej, i tak dalej.

*

Jestem wampirem – myślał nie po raz pierwszy Howson. – *Mam przed sobą ludzi*

doprowadzonych do kresu wytrzymałości, którzy w rozpaczę usiłują wyrwać się na wolność. A co ja robię? Igram z ich osobistymi niepowodzeniami i nawet ucieczkę czynię nie dającym się znieść koszmarem.



– Przygotuj ich, Deirdre. Schodzę na dół.

– Dobrze, będziemy gotowi, kiedy zejdziesz. Trzymałam personel w pogotowiu przez cały dzień.

Howson wyłączył interkom, wstał i przeciągnął się. Pragnął rozprostować całkowicie nigdy nie ćwiczone mięśnie pleców, jednak było to zadanie niewykonalne.

Kuśtykał w kierunku sali, w której oczekiwał na niego pacjent. Umysł miał oszołomiony informacjami, wtłoczonymi weń przez ostatnie kilka dni tak, że wydawało mu się, że ściga go rój szerszeni.

Mimo to, pamiętał każdy metr tej drogi. Może było błędem, że wciąż mieszkał w tym samym pokoju, który przydzielono mu na samym początku pobytu w szpitalu. Może powinien był przenieść się do apartamentu w mieście. Wtedy nie chodziłby wciąż tą samą trasą, którą przemierzał zaślepiony łzami, kiedy Ilsa Kronstadt spoglądała śmierci w oczy podczas zmagania z Peryklosem Phranakisem.

Czy teraz nadeszła godzina jego własnego kryzysu? Ilsa również miała niesplamione konto, dopóki nowotwór wielkości (do czego ona go porównywała?) – pocisku – tkwiący w mózgu nie osłabił jej. Fizycznie nie czuł się gorzej niż zwykle, ale obawy, które wyjawiała Singhowi panna Moreno podkopały nieco jego pewność siebie. Angażował się w przedsięwzięcie, w którym mogła mu dodać skrzydeł tylko niezachwiana wiara we własne siły. A nie istniał obecnie żaden nowicjusz, który mógłby mu przybyć z odsieczą.

Dojdzie wreszcie do pracy w zespołach. Do ujarznienia ich indywidualnych ego będziemy mogli korzystać z pomocy dwóch albo trzech telepatów projekcyjnych niższego stopnia i stawiać na ich czele teleterapeutę... ależ to niemal tworzenie grupy katapatycznej.

Nie, to nie była metoda. Jeszcze nie. Nie, dopóki zwykli ludzie nie zaakceptują istnienia telepatów. A do tego czasu może już nie być nacisków, które najczęściej wpędzają nas we frustracje i zmuszają do ucieczki w świat fantazji.

Może wtedy będą istnieć tylko takie przypadki, jak przypadek Choonga...

Wkroczył na salę i kiwając głową rozejrzał się wokół. Nie przyjrzał się w pierwszej chwili obecnym – był zbyt zaabsorbowany własnymi problemami – a więc kiedy ujrzał wśród nich pannę Moreno, był zaskoczony. Zerknął na Singha zadając nieme pytanie.

Odpowiedziała mu sama, zanim Singh zdążył otworzyć usta.

Chciałabym popatrzeć, jak pan pracuje, doktorze Howson. Jestem pod wrażeniem tego, co słyszałam od doktora Singha.

– Proszę, proszę. – Howson odruchowo powiedział to na głos. – Cóż za zmiana! – patrzył na nią nieruchomym wzrokiem i dostrzegał grymas na jej twarzy, nie blokowała mu jednak dostępu do swego umysłu. Odebrał to jako wyraz życzliwości i siły – umysł był stabilny, prężny, w pewnym stopniu porównywalny z umysłem Choonga, ale z silną składową żeńską.

– Rozumiem – powiedział w końcu. – Muszę pamiętać, że nie wszyscy telepaci odeszli tą drogą, którą obrał sobie Choong. Zresztą jesteśmy przecież tutaj... proszę patrzeć, jeżeli pani chce, ale tylko patrzeć. I bez względu na to, co tu się będzie działo, proszę nie spieszyć z jakąkolwiek pomocą.

Nie czekając na odpowiedź, podszedł do łóżka. Gorliwa pielęgniarka chciała mu pomóc. Nie było potrzeby, już chyba po raz trzydziesty zajmował to miejsce przed rozpoczęciem zabiegu. Rozglądał się dookoła, podczas gdy na jego ciele rozmieszczano czujniki aparatury medycznej.

Pomyślał, że ta sala zmieniła się bardzo niewiele od czasu, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy. Rozwój wiedzy wymusił pewne zmiany. Nastąpił przecież postęp w technice medycznej, a świetne urządzenia rejestrujące i protezy organów ludzkich zastąpiły prymitywne aparaty z czasów Ilsy Kronstadt. Ale poza tym sceneria nie zmieniła się od czasu, gdy zaczynał swą karierę telepaty.

Spojrzał na Singha, który posłał mu szeroki uśmiech na wół wchłonięty przez brodę i wąsy. Popatrzył na Deirdre van Osterbeck, która była zbyt zaabsorbowana sprawdzaniem encefalografów, żeby to zauważyć. W umysłach obojga zauważył nadzieję zabarwioną niepokojem.

W swoim fotelu naprzeciwko Howsona usadowił się obserwator medyczny – przysadzisty skośnooki młodzieniec nazwiskiem Pak Chang Mee. Pracował już z Howsonem dwukrotnie i szybki wgląd w jego umysł wykazał, że jest on pewien sukcesu.

No i był tam Choong.

– Gotowe – powiedziała lakonicznie Deirdre. Technicy, jak echo, powtarzali za nią

zgłoszenie gotowości kiwając w kierunku Singha głowami. W głębi sali, w pobliżu drzwi, Howson wyczuł pannę Moreno zajmującą miejsce w wygodnym fotelu. Nie widział jej, bo zamknął oczy.

– Włączyć rejestrację – powiedział. W chwili gdy zaczął się odprężyć i dążyć do nawiązania kontaktu, pojawiły się obrazy. – Odbieram tło: miasto, góry... Poprzednio meldowałem zimę. Dobiega końca. Sceneria przygotowana jest na jakieś wielkie wydarzenie. Spróbuj dostać się tam szlakiem bocznym, szlakiem handlu i podróży. Do miasta przybywają karawany i wykryłem co najmniej jedną wtórną osobowość schizoidalną bardzo wysokiego rzędu, która wykorzystuje to tło.

Budując swój bank informacji wielokrotnie sondował ostrożnie umysł Choonga. Teraz ten wymaginywany świat wydawał mu się znajomy, niemal przyjazny. Świadomość szpitala zbladła i pozostał tylko...

18

... kołyszący ruch, jakby znajdował się na małej łódce unoszonej przez fale lekko wzburzonego morza i zapach, jakiego do tej pory nie znał.

Wielbłądy. Otworzył oczy. Złudzenie było pełne, ale nie spodziewał się przecież, że będzie inaczej. Mimo wszystko miał do czynienia z genialnym przeciwnikiem.

Stopniowo oderwane fakty układały się we wzór. Był... był Hao Senem, najemnikiem, dowódcą eskorty karawany i niedbale dosiadał swej wspaniałej wielbłądzicy o imieniu Gwiezdny Promień, wjeżdżając wśród zbieraniny kupców i pielgrzymów przez bramę Miasta Tygrysa. Powietrze było ostre i orzeźwiające. Zima kończyła się już i była to pierwsza z wiosennych karawan, jaka przedarła się przez zasadzki zastawiane przez zbójców i pokonała góry od północy.

Zbójcy... to słowo niosło ze sobą wspomnienie zmęczenia i satysfakcji. Pamiętał te potyczki. Zbójcy czekali na nich w zasadzce. Otaczający go ludzie nosili jeszcze pamiątki po spotkaniu z nimi – jeden utykał, drugi miał głowę zawiązaną bandażem. On sam – rozprostował swe barczyste, muskularne ciało – też nosił niemało sińców w miejscach, gdzie jego zbroja z brązowych płytek naszytych na skórzany kaftan ochroniła go przed cieciami noży. Ale wyszli z potyczki zwycięsko, a tej wiosny, jak głosiła plotka, Cesarz powoła armię, która na dobre wykurzy zbójców ze wzgórz.

Ziewnął szeroko i poglądził dłonią swą przyciętą w szpic brodę. Namacał rękojeść krótkiego, szerokiego miecza i ponaglił wielbłądzicę, aby szybciej znaleźć się za miejską bramą.

Mury były ogromne i mocne, tam i z powrotem snuły się po nich czarne, podobne do kukiełek sylwetki żołnierzy. Nad samą bramą wystawał na zewnątrz krużganek, na którym wisiał rząd tarcz noszących stylizowany, żółto-czarny emblemat tygrysa. Była to mądrze wybrana magiczna ochrona, miasto było imponujące i zasługiwało na nadane mu imię drugiego z najsilniejszych zwierząt na świecie. (Skąd to wiedział? Kto mu powiedział, że starożytni Chińczycy darzyli takim szacunkiem tygrysa? Zmarszczył na chwilę czoło, ale zastanawianie się nad tymi pytaniami musiał odłożyć na później).

Byli już wewnątrz murów i na ulice śmiejąc się, wymachując czym się dało, wyległa miejska gawiedź. Dziękując za serdeczne powitanie, na czele karawany wywijali dzikie kozły jacyś akrobaci. Hao Sen zaśmiał się grzmiąco na widok ich błazenad i łakomym wzrokiem mierzył mijane dziewczęta.

Oddziały straży miejskiej prowadziły karawanę i torowały jej drogę. Ostronosi kupcy zamykali swe kramy i śpieszyli na plac targowy, by ubijać tam interesy z przybyszami. Zapraszano do miejscowych tawern. Wszędzie roiło się niezliczone zbiorowisko najprzeróżniejszych typów ludzkich.

Przy akompaniamencie pokrzykiwań, huku petard, dźwięku brązowych gongów wjechali na wielkie targowisko. Hao Sen jechał stępą chłonąc zewsząd wszelkie możliwe informacje o swoim nowym otoczeniu. Było ono stworzone z ogromną dbałością o szczegóły. To było... fantastyczne!

– Hej, ty! – wyrwał go z zadumy grzmiący bas. Zbliżał się doń wspaniały oficer straży miejskiej, w bogatej tunice zdobnej magicznymi barwami żółci i czerni. – Zsiadaj natychmiast! Nie wolno przejeżdżać przez targowisko na żadnym zwierzęciu.

Hao Sen stłumił przekleństwo, ale usłuchał rozkazu. Sytuacja była irytująca, nie śmiał jednak się przeciwstawić – było to o wiele za wcześnie na ściąganie na siebie uwagi. Gwiezdny Promień wyraził swoją opinię ironicznym wygięciem górnej wargi, co uchodziło wśród wielbłądów za pokazanie języka i Hao Sen widząc to, nie potrafił opanować uśmiechu.

Oficer wskazał ulicę, którą nadjechali.

– Znajdziesz tam tawernę, a przy niej stajnię. Na twoim miejscu pospieszyłbym się, bo zajmą ci wszystkie miejsca.



Wkrótce potem, już pieszo, z mieczem w skórzanej pochwie objającym mu się o biodro, powrócił na targowisko. Wzdłuż trzech boków placu rozłożono towary przywiezione przez karawanę, a na środku, jak spod ziemi, wyrosły stragany. Cyrulicy namawiali natarczywie przechodniów do przystrzyżenia włosów oraz oczyszczenia nosów i uszu, kuglarze, zonglerzy i akrobaci popisywali się swoimi sztuczkami, grajkowie zajęli miejsca na prowizorycznym podwyższeniu i zaintonowali zawodzącą pieśń przy akompaniamencie harf. Hao Sen przechadzał się bez celu wśród tłumu z mocno zmarszczonym czołem.

Czwarty bok placu, ten z którego przepędzono przekupniów pozostawał nadal nie zajęty. Stała tam, zwrócona frontem w stronę placu, ogromna budowla o dwudziestu dachach wygiętych jak w chińskich pagodach, a do jej głównych wrót wiodło skrzydło schodów utworzone chyba ze stu stopni. Czerwono-złote ideogramy widniejące na fasadzie budowli obwieszczały jej nazwę: Świątynia Łask Boskich.

U stóp schodów, gromada robotników wykańczała w pocie czoła podium pod tron. Hao Sen przypatrywał się w zamyśleniu ich pracy. Z barw jedwabnych draperii, jakie rozwieszali na zbitym z drewnianych bali rusztowaniu, należało się spodziewać wizyty Cesarza.

Przypuszczenie było słuszne, bowiem w pewnej chwili dostrzegł energicznego człowieka, który krążył po targowisku w asyście zbrojnych strażników i wskazywał towary, jakie kupcy mają obowiązek odłożyć na bok. Były one następnie zbierane przez młodzieńców, w lepiących się od brudu, kiedyś białych tunikach i składane u stóp schodów przed świątynią.

Cesarz. Hao Sen rozważał możliwość, że ten którego szuka jest władcą. Odrzucił ją szybko. Przynajmniej jedna z osobowości refleksywnych zaangażowana w powstanie tego wspaniałego, wyimaginowanego miasta miała fantazje na temat cesarz-niewolnik i było rzeczą bardziej prawdopodobną, że Cesarz gra w tym dramacie rolę drugorzędną.

Z drugiej jednak strony...

Hao Sen sprawdził od początku swój tok rozumowania. W tym momencie po drugiej stronie placu, pomiędzy dwoma kolorowymi straganami, dostrzegł poskramiacza smoków.

Torując sobie drogę łokciami ruszył w tym kierunku i nie zwracając uwagi na protesty tych których odepchnął na bok, zatrzymał się dopiero w pierwszym rzędzie gapiów

otaczających poskramiacza i jego bestie. Odległość między nimi a ludźmi była dosyć duża.

Nie dlatego, że smok był duży. Wyglądał na niemal zagłodzonego i osiągnął dopiero jakieś trzy czwarte swojej normalnej wielkości, co więcej jego łuski pokrywał jakiś grzybiczny nalot przypominający pleśń. Jednak niebezpieczne, długie na trzy cale kły błyskały bielą, gdy obnażał je groźnie i widać było, że są ostre. Poskramiacz, przysadzisty smagły mężczyzna, prawdopodobnie Cygan z południa, zmuszał go do przebierania nogami w parodii ospałego tańca, bodąc zwierze zaostrzonym ankhem, który podgrzewał co chwila w koszu z rozżalonymi węglami.

Hao Sen wzdrygnął się – nie na widok groźby w oczach bestii, która zwiastowała; że nie wytrzyma ona dłużej takiego traktowania, ale ze wstrętu, jakim napawały go oznaki trapiącej ją choroby.

Zastanawiał się jeszcze nad ukrytymi znaczeniami obserwowanej sytuacji, gdy usłyszał za sobą dźwięk trąb. Odwrócił się. Na plac wkraczał oddział wspaniale umundurowanych żołnierzy, za którymi posuwali się mężczyźni dźwigający na swych barkach palankin z kosztownego jedwabiu i szlachetnego drewna. Oficerowie przypomnieli wrzaskami o konieczności oddania Cesarzowi należnej mu czci i wszyscy obecni na placu zgięli się w pas przed obliczem władcy jak las powalony pojedynczym podmuchem wichury.

Kiedy pozwolono im się podnieść, Cesarz siedział już na tronie otoczony swoją świtą – mandarynami wystrojonymi w pawie pióra, osobistymi sługami z wachlarzami ozdobionymi symbolicznymi ornamentami oraz wysokimi oficerami swojej armii. Hao Sen przyglądał się im z zainteresowaniem. Niemal natychmiast jego uwagę przyciągnął wysoki mężczyzna we wspaniałych, jedwabnych szatach, stojący po prawej ręce Cesarza, w pewnym oddaleniu od reszty orszaku.

Wiedział podświadomie, że... tak powinno być. Zignorował ceremonię, która teraz nastąpiła – prezentację przewodnika karawany oraz towarów wybranych dla Cesarza – i przyglądał się badawczo wysokiemu mężczyźnie. Nie dostrzegł wyraźnego podobieństwa, ale tego nie można było uznać za wystarczający powód. Zważywszy, że obecny kształt jego ciała...

Odrzucił tę myśl z niemal fizycznym wzdrygnięciem i zaczął się zastanawiać, czy nie jest jeszcze za wcześnie na ściąganie na siebie uwagi. Z jednej strony, dokładność szczegółów była oznaką podejmowania środków ostrożności, z drugiej, sugerowała wyjątkowo dobre panowanie nad osobowościami wtórnymi. Przybył w wybranym przez siebie samego przebraniu i jak dotąd nie natknął się na jakąkolwiek oznakę tego, że jego obecność wzbudza

czyjeś podejrzenia...

Uporządkował myśli i zaczął przepychać się przez tłum do pierwszych rzędów tych, którzy zapomnieli o atrakcjach oferowanych przez kuglarzy i szarlatanów dla przywileju popatrzenia z bliska na Cesarza Państwa Niebieskiego. Cesarz zakończył już oglądanie towarów przewodnika karawany i opadł na oparcie tronu rozglądając się ciekawie dookoła. Nie minęło kilka chwil, kiedy dostrzegł Hao Sena i powiedział coś do przewodnika karawany.

– O tak, wiele mu zawdzięczamy, panie! – wykrzyknął przewodnik. – To on poprowadził naszą eskortę do ataku, kiedy napadli nas zbójcy.

– Niech wystąpi – powiedział lakonicznie Cesarz.

Oficer dał znak Hao Senowi i ten posłusznie podszedł do stóp schodów i padł na kolana i pokłonił się nisko. Zaraz potem odrzucił uniżoną postawę, wstał i stanął z dłonią na rękojeści miecza i z podniesioną głową.

Cesarz zlustrował go wzrokiem.

– Dobry wojownik – pochwalił. – Spytajcie go, czy nie zechciałby wstąpić w szeregi mojej armii.

– Panie Niebieski, twój uniżony sługa słyszał, że tej wiosny armia wyrusza w pole przeciw zbójcom. Jeżeli dostąpi on zaszczytu wzięcia udziału w tej wyprawie, będzie ci służył całym sercem!

– Dobrze – rzucił Cesarz. Jego wzrok zatrzymał się chwilę na muskularnej postaci Hao Sena. – Niech jeden z was zapisze jego imię – dodał. – Teraz nieście mnie z powrotem do pałacu.

Hao Sen podał swoje imię oficerowi, który do niego podszedł i opisał przebieg swojej dotychczasowej służby. Były to rutynowe środki ostrożności, rad był, że Cesarz okazał się tylko osobowością refleksywną.

Czyżby więc rzeczywistym władcą był ten wysoki mężczyzna trzymający się na uboczu? A może był nim ktoś inny, nie biorący udziału w tej scenie dramatu?

I ponownie odłożył decyzje na później.



Orszak cesarski opuścił już plac, kiedy nagle podniósł się wrzask:

– Smok! Smok!

Odwrócił się na piecie i ujrzał falę dzikiej paniki przelewającą się po placu. Kupujący, sprzedający i kuglarze rozpierzchli się we wszystkie strony przewracając kramy, rozrzucając towary, depcząc w tłoku starców i dzieci. Hao Sen nie ruszał się z miejsca czekając, aż powróci jakiś porządek, który pozwoli mu zorientować się w sytuacji.

Gdy zobaczył, co się dzieje, przeszedł go dreszcz zgrozy. Smok nie był już zrezygnowany i uległy. Był teraz wcieleniem zemsty. Stał trzema łapami zbrojnymi w ostre szpony na trupie swego niedawnego pana, czwartą szarpiąc jego twarz i obracając ją w krwawą miazgę.

Zmęczył się w końcu tą zabawą i zaczął wodzić żółtymi ślepiami po wielkim placu. Hao Sen spodziewał się, że zacznie pożerać zwłoki, bo z całą pewnością, aby go osłabić, właściciel skąpił mu pożywienia. Bestia nie opuściła jednak łba, by przystąpić do krwawej uczty i Hao Sen poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła, bo w tym momencie zauważył, że poza nim, na placu nie było już nikogo.

Nie mógł uciec. Zbyt długo zwlekał. Teraz najmniejszy ruch ściągnąłby nań uwagę smoka, a coś mu mówiło, że bez względu na to, jak szybko będzie uciekał, bestia i tak go dogoni. Jak grom z jasnego nieba spadło nań zrozumienie, dlaczego kazano mu zostawić wielbłądzice poza placem. O jeden raz za dużo użył swego ulubionego fortelu, a przeciwnik, z którym miał do czynienia, wykorzystał to przeciwko niemu.

Smok ruszył z miejsca i zaczął skradać się w jego kierunku. Nie mrugnął nawet powieką, a jego ślepia jarzyły się jasno jak węgle z kosza, który przed chwilą przewrócił. Hao Sen rozejrzał się gorączkowo w poszukiwaniu jakiejś broni. Obok siebie dostrzegł złamany maszt namiotu i skoczył, żeby go pochwycić. W tym samym momencie smok zaatakował.

Cisnął masztem jak oszczepem i padł na brzuch. Nie tyle celność rzutu, co szczęśliwy przypadek sprawił, że ostre drzewce trafiło w sam środek osłabionej pleśnią grupy łusek. Ledwie zarysowało wstrętny nalot, ale zwierze zawyło z bólu. Okręcił się wokół własnej osi i ponowił atak.

Za pierwszym razem Hao Sen uskoczył w bok i dobył miecza. Za drugim razem nie zdążył z unikiem, bestia chytrze machnęła ogonem trafiając go w ramię i ten cios powalił Hao Sena na ziemię.

Smok wylądował teraz wśród zwojów lin w kramie powroźnika i był w nie wystarczająco długo wplątany, żeby Hao Sen zdążył obmyśleć taktykę przyjęcia następnego

ataku. Tym razem, zamiast odskakiwać na boki, rzucił się w tył unosząc jednocześnie miecz i wykonując nim pchnięcie w przód, przed siebie. Klinga zatonała w podbrzuszu smoka.

Siła, z jaką wyrwało mu z dłoni rękojeść, omal nie zwichnęła mu nadgarstka, a wstrząs zderzenia z bestią ogłuszył go tak, jakby uderzył głową o bruk. Smok wierzgał w agonii zadnimi, szponiastymi łapami i potrójna linia bólu powiedziała Hao Senowi, gdzie rozszarpały one jego skórę.

Wkładając w to całą swoją siłę, obutą stopą wymierzył bestii kopniaka w nasadę ogona. Sprawilo to smokowi tak wielki ból, że zapomniał na chwilę o Hao Senie. Zgiął się we dwoje wsuwając łeb pod siebie i usiłując wyrwać zębami miecz tkwiący w jego brzuchu. Po rękojeści spływała wolno ciemna posoka.

Hao Sen potoczył się po ziemi na bezpieczną odległość. Pomyślał o wyłupieniu smokowi ślepi, ale oczodoły osłonięte były kościanymi grzebieniami, prędzej straciłby przy tym palce. Rozpaczliwie szukał wokół siebie broni, która zastąpiłaby mu utracony miecz, nie dostrzegł jednak niczego. Smok poniechał daremnych prób wyciągnięcia miecza, ryknął i znowu skoczył.

Natarł kulejąc, bo ostrze tkwiące w jego brzuchu osłabiło jedną z zadnich łap. Niemniej jednak, ciężki ogon bestii wygiął się łukiem w kierunku głowy Hao Sena grożąc ogłuszającym ciosem. Dysząc z wysiłku, Hao Sen pochwycił mijający go ogon w obie ręce i zaczął obracać się w koło.

Przez jedną fantastyczną sekundę wydawało mu się, że smok usiłuje wspiąć się po własnym ogonie, żeby go dosięgnąć. Potem ciężar zmalął i ustąpił sile skierowanej na zewnątrz. Cztery obroty, pięć – targowisko wirowało przyprawiając go o zawroty głowy. Krew smoka rozpryskiwała się coraz szerszym kręgiem. Zwiększył jeszcze trochę swój wysiłek podrywając smoka w górę i w tym samym momencie puścił jego ogon.

Smok przeleciał ponad kramem powroźnika, ponad stosem monet na kramie wymieniaacza pieniędzy i spadł z głową skreconą pod dziwnym kątem na najniższe stopnie schodów prowadzących do świątyni.

Hao Sen opuścił ręce i z trudem chwycił powietrze. Spojrzał na ścierwo smoka, a potem wyżej, na szczyt schodów i napotkał wzrok wysokiego mężczyzny, który stał tam opierając się na lasce i obserwował walkę.

I wtedy już wiedział.

19

– Dobra walka – odezwał się mężczyzna z laską tonem sugerującym, że widział już co najmniej tuzin takich. Hao Sen nie odpowiedział, zbyt gwałtownie biło mu serce. Wszystkie jego plany spelzły na niczym, był zupełnie bezbronny.

Jedyną szansą, jaka mu pozostawała było utrzymanie wrażenia, że jego pojawienie się stanowiło jedynie efekt powstania wtórnej osobowości schizoidalnej w ogólnej fabule fantazji. Splunął pod nogi, zatarł ręce i podszedł do smoka, żeby wyciągnąć miecz z jego brzucha.

Jedno spojrzenie powiedziało mu, że broń jest bezużyteczna. Rękojeść wygięła się pod kątem prostym w stosunku do klingi. Klnąc, zamachnął się, żeby odrzucić go od siebie.

– Wstrzymaj się! – krzyknął rozkazującym tonem mężczyzna ze stopni świątyni. – Miecz, który pozbawił życia smoka nie jest bronią, której powinno się tak łatwo pozbyć. Podaj mi go.

Hao Sen posłuchał z ociąganiem. Mężczyzna wziął od niego miecz i obejrzał go dokładnie. Potem, mrucząc pod nosem słowa, których Hao Sen nie mógł dosłyszeć – przypuszczalnie zaklęcia – uformował kółko z kciuka i palca wskazującego i przesunął nim wzdłuż swojej laski. Nie rozwierając kółka odłożył laskę w zgięcie ramienia i chwycił miecz za rękojeść, po czym przesunął złożonymi w kółko palcami wzdłuż jego klingi.

Powlekająca ostrze smocza posoka ścięła się i odpadła płatami pozostawiając jasny metal. Kiedy mężczyzna osiągnął miejsce, w którym miecz był zgięty, ten zadrgał, a potem wyprostował się gwałtownie, wydając przy tym śpiewny dźwięk.

– Jestem czarownikiem Chu Lao – powiedział wysoki mężczyzna. – Masz tu swój miecz.

W sekundę później zniknął.



Hao Sen rozważał ponuro fakty, z jakimi się zetknął. Pogłębiały tylko jego

przygnębiecie.

Stawało się jasne, że mimo tak starannych przygotowań przyjął jedno założenie, które w ostatecznym rozrachunku mogło się okazać fatalne w skutkach. Przyjął mianowicie, że ma do czynienia z przeciwnikiem podobnym do poprzednich pacjentów. Ten jednak takim nie był. Miał przeciwko sobie człowieka, który zdolny był przedsięwziąć w trakcie opracowywania swoich fantazji takie same środki ostrożności, jak w każdym innym obszarze swojej działalności. Wystarczającym ostrzeżeniem powinna była być plama pleśni na boku smoka. Taki szczegół był niemal nie do pomyślenia, chyba że stanowił wynik oddziaływania Hao Sena na otoczenie, albo też smok był wtórną osobowością schizoidalną.

Sam często stosował ten trik i zamierzał zastosować go znowu, kiedy tworzył wyobrażenie wielbłądzicy o imieniu Gwiezdny Promień. I czy to w wyniku domysłu, czy przewidywania, od razu wytracono mu tę broń z ręki.

A więc smok był wtórną osobowością schizoidalną z własną „rzeczywistą” osobowością. A władcą Miasta Tygrysa nie był Cesarz pławiący się w przepychu i pochlebstwach. Był nim czarownik Chu Lao.

Czarownik! Wzdrygnął się. Nic dziwnego, że już przy pierwszym zetknięciu się z tą fantazją poczuł tchnienie magii!

To prawda, pamiętał poprzednie przypadki, w których w obraz urojonego świata wplątana była magia. Ale wtedy stwierdzał, że były to jedynie naprędce poskładane dziecinne wyobrażenia, którym brak było spójności. Magia praktykowana przez Chu Lao była konsekwentna, rygorystyczna, rządząca się dokładnie wypracowanymi prawami. Będzie tak sztywna i nieelastyczna, jak nauka. I Chu Lao zna te prawa, Hao Sen zaś nie.

Zarzucił całkowicie swoje pierwotne plany. W tej sytuacji nie miało sensu subtelne podkopywanie podstaw iluzji, czyhanie na okazje do przejęcia nad nią kontroli, co dawniej stanowiło jego ulubioną technikę. Wykorzystać środki walki ukute przez przeciwnika i walczyć na wybranym przezeń gruncie – to była pewna droga do wyczerpania i kieski. Pograżony w ponurych myślach, obejrzał swój miecz naprawiony przez czarownika.

Za wszelką cenę musi uniknąć porażki. Poddać się raz, znaczyłoby to samo, co uwierzyć w możliwość przegranej.

Musi jednak wpasować się jakoś w scenariusz ułożony przez swego przeciwnika. Zbyt drastyczne naruszenie podstawowego wątku stworzyłoby szanse przerwania sprzężenia umysłów, a wtedy mógłby się znaleźć w sytuacji człowieka, który wędrując po świecie swojej własnej fantazji, łudzi się, że odniósł sukces, chociaż pokonana armia składałaby się z samych marionetek...

Podjął decyzje. Jedyną szansę stwarzała teraz tylko brutalna siła. Niech więc to będzie siła.



Schodzili z gór zdecydowanie, karnymi szeregami. Nie barbarzyńską hałastrą, czego można by się spodziewać po zbójcach, ale jak armia spojona dyscypliną. Byli jeszcze o kilka mil od murów Miasta Tygrysa, gdy odbłask wieczornego słońca odbity od ich tarcz i hełmów zwrócił uwagę straży miejskiej i od razu na blankach rozpoczęła się nerwowa krzątanina.

Hao Sen, dosiadający swojej wielbłądźcy, jechał na czele i uśmiechał się pod wąsem. Wzdłuż majestatycznej szyi Gwiazdznego Promienia sterczała wsparta o podpórkę długa włócznia zakończona straszliwym grotem, miecz objął mu się miarowo o udo.

Niech się podenerwują! Niewiele im to przyniesie dobrego. To, co chował w zanadru, wystarczało, by wstrząsnąć każdym z mieszkańców Miasta Tygrysa, włączając w to aroganckiego Chu Lao.

Zbójcy schodzili ze wzgórz już ponad godzinę. Marsz odbywał się w ciszy, jeżeli nie liczyć dźwięku gongów, które dyktowały tempo. Nie podeszli do murów bliżej niż na odległość strzału z łuku, ale posuwali się po okręgu i otoczyli miasto szczelnym pierścieniem. Juczne zwierzęta obładowane chrustem, wozy z obłężniczymi i wielkimi zapasami żywności wskazywały tylko na jedno – byli zdecydowani oblegać miasto, dopóki Cesarz nie zdoła wyposażyć swej armii i zapewnić odpowiedniego furazu na planowaną wyprawę przeciwko nim.

Hao Sen z zadowoleniem przyglądał się swemu dziełu.. Wybrał dla siebie stosunkowo nie rzucające się w oczy stanowisko dowódcy wielbłądziej jazdy, domniemany zaś herszt zbójców pławił się we wszelkich luksusach, jakie mogła mu zapewnić taka właśnie horda. Jechał w ustawionej na czterokołowym wozie ciągnionym przez zaprzęg wołów, ogromnej jurcie, podróżnej, przyozdobionej przepięknymi futrami i kawałkami poplamionego, tureckiego dywanu. Wokół wozu trwał nieustanny ruch, słychać było gwar głosów, pokrzykiwań oficerów, gońców i niewolników.

Armia zatrzymała się. Na murach miasta widać było dowódców sił obronnych. Po chwili wszyscy zebrali się na machikułach nad bramą główną, naprzeciw której zajął stanowisko wóz herszta.

Pod bramę podjechał herold z formalnym żądaniem poddania miasta bez oporu. Odpowiedź była odmowna i pełna godności. Poparł ją grad strzał i herold spiesznie wycofał się w kierunku swoich linii.

Nieźle. Hao Sen obserwował obrońców miasta chowających się za blankami przed strzałami, które w odpowiedzi wypuścili z łuków zbójcy. Potem zapanował spokój przerywany jedynie sporadycznymi strzałami, podczas gdy gońcy znosili informacje o umocnieniach obronnych.

Wynikało z nich, że jedynym czułym punktem jest brama główna. Łucznicy zmusili więc obrońców do schowania głów, a w tym czasie, w kierunku zamykających ją drewnianych wrót, powleczono pęki chrustu i beczki ze smołą. Kilku ludzi padło, ale praca była już na dobre zaawansowana, kiedy niespodziewanie poniechano jej. Atakujący wycofali się, a obrońcy oceniali ze zdziwieniem sytuację. Wychylali się ostrożnie spoza żółto-czarnych tarcz, żeby zobaczyć co wpłynęło na zmianę zamiarów zbójców.

Odpowiedz szybko stała się oczywista. Niebo chmurzyło się gwałtownie i spadło już kilka kropli deszczu. Żaden ogień wystarczająco gwałtowny, żeby mógł wyrządzić szkodę bramie, nie przetrwałby ulewy, na którą się zanosilo.

Hao Sen patrzył spod zmrużonych powiek na bramę. Na pewno był tam... tak, rzeczywiście! Był tam czarownik Chu Lao odziany w ciemną opończę, która niemal zlewała się ze znajdującą się za nim kamienną ścianą. Patrzył na nadciągające chmury. Wzywał swoją magię na obronę miasta i na razie wydawało się, że uzyskał przewagę.

Na ustach Hao Sena pojawił się wilczy uśmiech i atakujący przystąpili do akcji:

Zerwano futra oraz krzykliwe zasłony z „wozu herszta” i okazało się, że zakrywają one tylko lekką, bambusową klatkę, w której było akurat tyle miejsca, żeby jeden człowiek mógł do niej wejść, odczekać chwilę, niby to rozmawiając z wodzem, odwrócić się i wyjść. Poza tym cały wóz był jedną wielką machiną zapalającą, pełną hubki, beczek smoły i oleju.

Teraz poganiano ze wszystkich sił jedyną nie wyprężoną parę wołów. Przestraszone zwierzęta zaryczały i napały na uprząż. Wóz ruszył z miejsca. Gdy przejechał już dziesięć jardów, doskoczyli doń ludzie z mieczami i odcięli woły. Pojazd dalej potoczył się sam po pochyłości, z turkotem drewnianych kół zbliżając się ku bramie.

Hao Sen czekał w napięciu. Obrońcy widząc, co się święci, usiłowali w panice opuścić stanowiska nad bramą.

Jeszcze dziesięć jardów...

W ślad za wozem poszybowały ze świstem płonące strzały – druga i trzecia spadły prosto na nasyczone olejem szmaty ułożone za łatwopalnym stosem i na dwadzieścia stóp w górę buchnęły płomienie uwieńczone czarnymi językami smolistego dymu. Wóz z trzaskiem pękających desek wyrznął w bramę i od razu rozpętało się tam piekło.

Jak dotąd wszystko szło dobrze. Czyżby Chu Lao dał się zaskoczyć?



Najwyraźniej nie, ponieważ zaledwie po kilku minutach z nieba lunęły potoki wody. Gdy dym i płomienie zniknęły, oczom oblegających ukazała się szeroka wyrwa w bramie. Na szczycie wzgórza przygotowywano już następny wóz zapalający, gdy nagle bramę otwarto i obrońcy miasta zaatakowali.

Tak nielogiczne działanie zaskoczyło Hao Sena. Najlepszą strategią Miasta Tygrysa było przetrzymanie pierwszego impetu napastników – tak przynajmniej sądził. Przez chwilę miał zamiar zmienić własne plany. Potem, widząc straż miejską – zarówno jazdę jak i piechotę – która wrzeszcząc i wywijając mieczami wylewała się przez bramę, zdał sobie sprawę, że nie ma czasu na zastanawianie się nad lepszymi wariantami działania.

Rozgorzała walka wręcz, stopniowo ogarniając przestrzeń wokół całego miasta. Była to walka na śmierć i życie. W pewnej chwili Hao Sen dostrzegł wielką, jedwabną chorągiew wynoszoną przed bramę i zdał dowództwo młodszemu oficerowi, którego podejrzewał o to, że jest jednym z jego sobowtórów schizoidalnych. Na chorągwi widniał wyhaftowany tygrys, musiała więc należeć do Cesarza.

– *Nie! Chwileczkę!*

Nagły przebłysk intuicji, oślepiający jak błyskawica, rozjaśnił ponury nastrój ogarniający umysł Hao Sena. Chorągiew z tygrysem nie może być cesarska – symbolem cesarskim jest smok, najpotężniejsze ze wszystkich zwierząt. Tygrys więc był zarezerwowany dla Chu Lao, czarownika, ponieważ to było jego miasto – Miasto Tygrysa – i magia działała tu według sztywno ustalonych reguł, czego świadectwem było naprawienie miecza przez Chu Lao i słowa czarownika, że broń, która zabiła smoka jest warta zatrzymania.

Tygrys zaś był, po smoku, najsilniejszym zwierzęciem. Hao Sen ponaglał Gwiazdny Promień usiłując przebić się do miejsca, gdzie zatknięto chorągiew z tygrysem.

Wokół niej trwała zacięta walka, więc upłynęło sporo czasu, zanim zdołał się przedrzeć do miejsca, z którego mógł zobaczyć, czy Chu Lao wyszedł w pole, by obserwować

przebieg bitwy. Trzy razy musiał przebić swą włócznią urojonego żołnierza i za trzecim razem wypadła mu z dłoni. Zaszokowany tym zdarzeniem, świadczącym o tym, że jest bardziej zmęczony niż przypuszczał, opanował się i dobył miecz.

W tym samym momencie dostrzegł przy chorągwi czarownika. Tamten też go zauważył. Strażnicy natychmiast uformowali szyk, żeby zagrozić mu drogę. W nadziei, że uwaga Chu Lao jest rozproszona, przechylił się w siodle na bok, a Gwiazdny Promień stanął dęba wściekle wierzgając przednimi nogami.

Strażnicy rozpierzchli się na boki.

Wielbłądzica zapewniła jednak tylko chwilową przewagę. Otrzymała cios mieczem przez przednie nogi w momencie, gdy dotykała nimi ziemi. Hao Sen, nie zwracając uwagi na rżenie konającego zwierzęcia rzucił się pieszo przed siebie, zataczając mieczem śmiertelne kręgi. Dwa razy rozległ się zgrzyt ciosów ześlizgujących się po jego hełmie, dwa razy poczuł, jak ostrze jego miecza grzęźnie, a potem uwalnia się w sposób oznaczający, że przeszło na wylot przez czyjeś ciało. Przez jeden szalony moment obrąbane ramię zdawało się usiłować pochwycić go za brodę.

W chwilę potem przebił się przez pierścień broniących i znalazł się w kręgu zaczarowanej ziemi otaczającej czarownika.

– Chu Lao! – krzyknął. – Chu Lao!

Czarownik wpatrywał się weń pełnym zdumienia wzrokiem – zresztą nie było to tylko zdumienie. W jego oczach czało się... rozbawienie...

Hao Sen wrzeszczał.

– Chu Lao, wyzywam twoje miasto!

Na całym polu bitwy ludzie zdawali się tracić serce do walki. Jak gdyby wiedziony przecuciem, Chu Lao zadrzał.

– To miasto jest Miastem Tygrysa! I tygrys jest twoim symbolem. Ale tygrys nie jest tak potężny jak smok!

Nie wiadomo jak to się stało, ale tam gdzie wyrastało miasto czało się teraz do skoku zielonooki, pręgowany kot. Pomrukiwał z wściekłością, wysuwał pazury i był wielki ponad wszelkie wyobrażenie.

– Mój tygrys! – krzyknął Chu Lao. – Tak, to mój tygrys!

– A ten miecz pił smoczą krew! – krzyknął Hao Sen. – Ten miecz jest moim smokiem!

Zatoczył klingą koło nad głową i cisnął ją migoczącą w powietrze – wirując przeobrażała się, a kiedy spadła, była smokiem opartym na czterech gigantycznych, szponiastych łapach. Smok uniósł swój ozdobiony grzebieniem łeb i machnął monstualnym

ogonem. Jego otwarta paszcza wyryczała wyzwanie tygrysowi. Potem cofnął się. Machnął łapą i jego szpony wydarły krwawe pasma na skórze tygrysa. Ugryzł i rzeki krwi zbroczyły ziemię. Na próżno tygrys wczepił się pazurami w jego nieprzebijalne łuski. Nie miał najmniejszych szans. W parę chwil później runął na ziemię z głuchym tąpnięciem, które wstrząsnęło światem. Wszystko rozpadło się na kawałki, a razem ze wszystkim rozpadł się Hao Sen.

Przez chwilę widział jeszcze walczące armie, skrwawioną ziemię, poległych, konających, a potem...



A potem wszystko znikło i był znowu Howsonem, nie Hao Senem, pełnym nieokreślonego przerażenia sposobem, w jaki odniósł zwycięstwo.

20

Howson stał w nogach łóżka, w którym na okres rekonwalescencji położono Choonga i czekał aż telepata się ocknie. Nie mógł odpędzić od siebie dręczących go myśli.

– Panna Moreno chyba wiedziała. W każdym razie wyjechała, zanim odpocząłem po tej wyczerpującej sesji... I Pan pewnie wie, ale po tylu latach współpracy mogę mu zaufać.

Ale Pandith Singh nie domyślał się nawet straszliwej prawdy, jaka dotarła do Howsona. Chodził promieniejąc ojcowską dumą i wszyscy pracownicy ONZ z Lockspeiserem i Ho na czele czuli się zawstydzeni, że początkowo wątpili w Howsona, Howson zaś odczuwał tylko tępy ból.

Jego tryumf okazał się pozorny. Cała sprawa została ustawiona dla niego jak kręgle, jemu zaś wręczono nieograniczoną liczbę kul.

A tutaj leżał ten, który tak z niego zadrwił – szczęśliwie żonaty i zdrowy psychicznie Choong. Cały świat wydał się Howsonowi tak rażąco niesprawiedliwy, że nie wiedział jak długo zdoła go jeszcze znosić.

Choong poruszył się i Howson odniósł wrażenie, że w pokoju zapalono gigantyczny

reflektor – wszystko nabrało wyraźniejszych, trójwymiarowych kształtów. To budziła się jego percepcja. Tylko inny telepata mógł zauważyć tę różnicę.

Choong otworzył oczy. Nastąpił moment dezorientacji, potem:

– *Ja chyba cię znam...?*

– Tak znamy się. Jestem Gerald Howson – celowo użył słów. Zamaskował w ten sposób przepelniającą go wściekłość. – Zrobiłeś ze mnie głupca, tak? Dobrze, chce tylko wiedzieć, dlaczego?

Znowu zapadło milczenie, podczas którego Choong porządkował myśli z szybkością wprawiającą w podziw nawet gotującego się ze złości Howsona.

– A więc to ty zajmowałeś się moim... hmmm... przypadkiem – powiedział Choong uśmiechając się z przymusem. – Przepraszam. Nie sądziłem, że trzeba będzie angażować właśnie ciebie. Należało powierzyć mnie zdolnemu nowicjuszowi. Wydawało mi się, że dałem jasno do zrozumienia, iż nie uciekam i dam się bez oporu sprowadzić z powrotem.

Howson zakrztusił się, próbując odpowiedzieć. Kiedy wreszcie dobył z siebie głos, był on tak przepelniony furją, że zamiast słów użył projekcji telepatycznej.

– *Jak mogłeś być tak nieodpowiedzialny i samolubny? Czy nic cię nie obchodzi zmartwienia i kłopoty, których stałeś się sprawcą? Czy cię nie obchodzi krzywda, którą wyrządziłeś mnie? A co z czasem, jaki dla ciebie straciłem? Z czasem, który mogłem poświęcić komuś znajdującemu się w rzeczywistej potrzebie?*

Choong wydał stłumiony okrzyk i przyłożył rękę do czoła. Drzwi pokoju otworzyły się gwałtownie i zajrzała przez nie pielęgniarka, pytając, co się stało. Przychodząc do siebie Choong odprawił ją machnięciem ręki. Usłuchała zerkając podejrzliwie na Howsona.

– Ależ potęgą dysponujesz – wykrztusił Choong. – Czy nie sprawi ci różnicy, jeżeli będziemy rozmawiali normalnie? Po kuracji wstrząsowej, jaką mi ostatnio zaaplikowałeś, mój mózg jest... jakby to określić?... obolały.

Howson zachował ponure milczenie.

– Czy naprawdę nie zorientowaliście się, że nie będę stawiał oporu? – zapytał z naciskiem w głosie Choong. – Tak, widzę, że nie, aż do ostatniej chwili! Wybacz, że tak mówię, ale bawiło mnie to. Musiałeś być pewien, że jedyną przyczyną, dla której telepata zawiązuje grupę katapatyczną, jest ucieczka przed rzeczywistością. Nigdy nie pomyślałeś, że można wykorzystywać ten talent dla własnej przyjemności?

– Nie musisz mnie pocieszać – mruknął Howson. – Sam wiem, że bez twojej współpracy nigdy bym cię z tego nie wyciągnął.

– Nie, chyba mnie nie zrozumiałeś. – Choong uruchomił mechanizm unoszący

podglówek łóżka i uniósł się do pozycji, z której mógł lepiej widzieć Howsona. – Niech to diabli, Howson, nie możesz winić człowieka obdarzonego dobrymi warunkami fizycznymi za to, że bawi się w sport. Wydaje mi się jednak, że nie potrafisz dopuścić do siebie myśli o wykorzystywaniu telepatii dla własnej przyjemności. Dlaczego? Masz fantastyczny talent! I wcale nie jestem taki pewien, czy nie ściągnąłbyś mnie z powrotem wtedy, gdybym się opierał. Ten ostatni, zaskakujący pomysł był genialny. Czy nie czerpałeś nigdy przyjemności ze swego daru? Na przykład moja żona i ja nawiązujemy zwykle kontakt myślowy przed udaniem się na spoczynek. Śnie bardziej żywo niż ona i lubię, kiedy dzieli ze mną moje marzenia senne.

– Nie jestem żonaty – powiedział sztywno Howson.

Choong wejrzał ukradkowo w odsłonięty przez chwilę jego umysł. Kiedy znowu się odezwał ton jego głosu uległ zmianie.

– Przepraszam, to było nietaktem z mojej strony. Ale...

– Ja... – Howson poczuł dziwny dreszcz zaintrygowania. Dlaczego ni z tego ni z owego miałby się tłumaczyć przed tym człowiekiem, który wpędził go w tak dziwny stan ducha? A jednak coś go do tego skłaniało. Z wahaniem ciągnął dalej. – Robiłem już to. Z pewną głuchoniemą dziewczyną.

– No więc właśnie! Zresztą musisz lubić swoją pracę. Chociażby dlatego, że dysponowanie mocnym, prężnym charakterem zdolnym do wielkiego wysiłku fizycznego poprawia samopoczucie.

– Ja, ... tak, lubię swoją pracę. Czasami jednak boję się zajmować dłużej leczeniem, niż to konieczne, żeby nie przeciągać struny – Howson oblizwał wargi.

– To brzmi niepokojąco – powiedział z namysłem Choong. – Wydaje mi się, że gdybyś pozwolił sobie na czerpanie większej przyjemności ze swego talentu, nie kusiłoby cię do ... ee... do zapożyczania wątków z fantazji innych ludzi.

– Co sugerujesz? – zapytał z naciskiem Howson. – Żeby sam zawiązał grupę katapatyczną. Gdzież bym śmiał? Nawet jeżeli zaakceptowałem twój obojętny stosunek do tego zjawiska! – *Vargas i kurz na jego powiekach...* Nie miałbym wielu powodów, które skłaniałyby mnie do powrotu do rzeczywistości, prawda? A kto sprowadziłby mnie z powrotem? Rozgryzłem wszystkie triki i słabe punkty. A poza tym co stałoby się z moją wiarą we własne siły, gdyby mimo wszystko komuś udało się ściągnąć mnie z powrotem?

Do pokoju znowu zajrzała pielęgniarzka.

– Doktorze Howson, wiadomość od doktor van Osterbeck. Nie może pan niweczyć owoców swojej pracy, przemęczając doktora Choonga.

Howson wykonał nieokreślony gest i odwrócił się, żeby odejść. Choong zawołał za nim.

– To, że ucieczka od rzeczywistości, która odpowiada mnie, nie odpowiada tobie, Howson, nie oznacza jeszcze, że nie istnieje taki jej rodzaj, który byś zaakceptował. Jesteś jedyną w swoim rodzaju indywidualnością. Poszukaj na to swojej własnej recepty, ona musi istnieć!



Howson nie był całkowicie pewien, czy Choong wypowiedział te słowa na głos, czy też wtłoczył je w jego umysł telepatycznie z wprawą psychiatry pierwszej klasy zaszczipiającego pacjentowi sugestie. Pacjentowi... zabawne! Jeszcze kilka dni temu to Howson był tutaj lekarzem. Teraz role zdawały się odwrócić.

Z tym, że w rzeczywistości Choong nigdy nie był pacjentem Howsona w zwykłym znaczeniu tego słowa.

Howson polecił już osobistemu asystentowi spakować bagaże, ale stojąc teraz przed gabinetem Pandita Singha uświadomił sobie, iż się waha. Czy potrafi wyjaśnić, co czuje, czego chce? A szczerze mówiąc, czy sam wiedział czego chce?

Zebrał się na odwagę i wszedł. W porównaniu z dylematem, przed którym teraz stał, wszystko wydawało mu się mało znaczące. I – Singh nie podniósł głowy znad piętrzącego się przed nim stosu papierów i tylko wskazał ręką fotel.

– Siadaj, Gerry. Zaraz skończę. Aaa... tutaj! – złożył zamaszty podpis na pierwszym z wierzchu dokumencie i odłożył go na bok. Wyprostowując się w fotelu, powiedział:

– Zgadzam się z tobą, Gerry. Potrzebujesz odpoczynku.

Nie po raz pierwszy i nie po raz setny Howson stwierdził, że zaczyna poważnie podejrzewać, iż Singh posiada niewykształcony zmysł telepatyczny. Rumieniąc się powiedział:

– Co...?

– Och, Gerry, daj spokój! – Singh wybuchnął wesołym śmiechem. – Poinformowano mnie, że się pakujesz. Gdy to usłyszałem, obliczyłem sobie, że ostatni raz odpoczywałeś przed sześcioma laty. To częściowo moja wina, przywykłem zdawać się na ciebie. Ale po tym

Sukcesie z przypadkiem Choonga nie wyglądałeś nawet w przybliżeniu na tak zadowolonego, jak należało i stąd wydedukowałem, że jesteś już przemęczony. Rad jestem, że podzielasz moją opinię.

Howson milczał dłuższą chwilę, potem odezwał się.

– Pan, przykro mi, ale jesteś w błędzie.

– Ty chyba nie...? – w zaskoczonym umyśle Singha zrodziło się nagle podejrzenie, że Howson chce odejść na zawsze.

– Och, nie! – rozdrażniony Howson skasował to błędne przypuszczenie telepatycznym zabiegiem korekcyjnym i ciągnął głośno dalej:

– Przypadek Choonga nie zakończył się moim sukcesem, Pan. On chciał być sprowadzony z powrotem. Gdyby mi nie pomógł, albo przynajmniej nie udawał tylko, że się opiera, zostałbym pokonany.

– Gerry, ja nic z tego nie rozumiem!

– Nie? Ja z początku też nic nie rozumiałem – przyznał cierpko Howson. – A Pak chyba, ci nie powiedział, bo prosiłem go, żeby tego nie robił, dopóki sam nie oswoję się z tą myślą. Posłuchaj więc! Wszyscy telepaci, których wcześniej wyprowadzałem ze świata marzeń, byli osobowościami nieadekwatnymi, za jakie ich zresztą uważaliśmy, załamani przez problemy, z jakimi stykali się w świecie rzeczywistym. Z nimi potrafiłem sobie poradzić. Choong, w pełni panujący nad swymi zdolnościami w wymyślonym przez siebie świecie i działający pod wpływem chwilowego kaprysu, mógł mnie zniszczyć jak natrętną muchę.

Nie uczynił tego. Zachował tyle zdrowego rozsądku, żeby rozumieć potrzebę wprowadzenia pewnego zabezpieczenia przed zbytnią fascynacją swoją władzą absolutną, a zabezpieczeniem tym miała być pomoc udzielona temu, kto po niego przyjdzie. Ustanowił więc zestaw łatwych do odgadnięcia reguł. Zaskoczyłem go, kiedy odkryłem to nagle podczas ostatniego spotkania i... no nic, nie wnikajmy w szczegóły. Wystarczy powiedzieć, że było to jedyne posunięcie, z jakiego jestem zadowolony, ale nie czerpię z tego satysfakcji, ponieważ było ono wynikiem chwilowego natchnienia, nie zaś planowania i przewidywania. Pan, on zachwiał moją pewność siebie! Muszę się przyznać do czegoś, co ukrywałem przed tobą od lat. Zazdroszczę ludziom, którzy potrafią uciec od rzeczywistości! Dlaczegoż sam nie miałbym tak postąpić? Spójrz na mnie! Ta zazdrość mnie przeraża. Nie znam nikogo, kto zdołałby mnie wyrwać z mego urojonego świata! O ile nie wezmę się w garść, jestem skłonny wejść w świat któregoś z pacjentów i tak dobrze się tam poczuć, by już nigdy z niego nie chcieć wrócić. Nie mam odwagi zrobić tego w ten sposób, w jaki zrobił to Choong. Ale mogę

też nie znaleźć w sobie dość silnej woli, aby dobrowolnie przerwać wycieczkę w jakąś szczególnie atrakcyjną fantazję.

Singh spuścił wzrok i wpatrywał się w blat swego biurka. Po chwili odezwał się.

– O ile dobrze zrozumiałem, zastanawiasz się, jak sobie pomóc?

– Ja... ja nie jestem pewien – na twarz i dłonie Howsona wystąpiły kropelki potu. – Na razie postanowiłem na jakiś czas wyjechać. Sam. Nie z kimś, kto zająłby się mną, gdybym się przypadkowo skaleczył, albo obronił, gdyby przedrzeźniały mnie dzieci, jak zwykłem podróżować w pierwszych latach pobytu tutaj, ale sam. Być może nie mogę uprawiać wspinaczki w górach Kaukazu, być może nie mogę uprawiać surfingu na Bondi Beach, ale... do cholery, Pan, lepiej czy gorzej dawałem sobie radę przez dwadzieścia lat, zanim mnie znaleziono i sprowadzono tutaj. Jeżeli potrafię przypomnieć sobie, jak to robiłem, być może trafię na trop odpowiedzi na moje problemy.

– Rozumiem – Singh obracał pióro w swoich krótkich, zwinnych palcach. – Nie zamierzasz chyba popełniać takiego głupstwa, jak odstawienie protrombiny?

– Skąd! Niezależność ma swoje granice. Ale uzależnienie też je ma. Chcę, na swój użytek, ustalić jakiś kompromis między nimi i to wszystko.

– Jakie są więc twoje plany na teraz?

– Wezwę taksówkę, pojadę na lotnisko i wsiądę do jakiegoś samolotu. Wrócę za... chyba za parę miesięcy. Dopilnujesz, żebym otrzymał pieniądze?

– Oczywiście.

– No więc... – Howson nie mógł znaleźć odpowiednich słów. – No dobrze, to by było wszystko, prawda?

– Chyba tak – Singh wstał i obszedł biurko wyciągając rękę. – Powodzenia, Gerry. Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz.

I nagle nie patrzył już na Howsona. Stał przed mężczyzną o oliwkowej cerze i obfitej, czarnej brodzie, wyższym od niego, odzianym w osobliwy, barbarzyński strój sporządzony głównie ze skóry nabijanej ćwiekami z pośniedziałego brązu. U pasa zwisał mu ogromny miecz. Był muskularny i przystojny, tryskał zdrowiem i zadowoleniem.

Obcy zaczął się zmieniać. Topniał w oczach, kurczył się i w końcu znowu miał pięć stóp wzrostu, stracił brodę i zdeformował się nieco – znowu stał się Geraldem Howsonem.

– O to mi właśnie chodzi – powiedział Gerald cienkim głosem. – Nie przyniosłoby mi to nic dobrego. Do widzenia, Pan. I dziękuję.

21

Na lotnisku zasięgnął informacji o lotach do miasta, w którym się urodził. Wspomnienie, że tam był kiedyś jego dom, napełniło go dziwnym uczuciem. Dom! Ile to czasu już upłynęło do chwili, kiedy ostatni raz pomyślał o nim? Przez wiele lat słowo „dom” oznaczało jego apartament w centrum terapeutycznym ze wszystkimi znajdującymi się tam urządzeniami przystosowanymi specjalnie do jego potrzeb, włącznie z wyposażeniem łazienki – tak, że normalnej wielkości fotel, przeznaczony dla gości, wydawał się nie pasować do reszty.

Jednak jakaś jego część nigdy nie pogodziła się z takim przesunięciem perspektywy. Może ta podróż miała na celu odnalezienie tego, co zostawił za sobą?

Czy ludzie będą go pamiętali i poznawali? Nie zmienił się zbyt wiele, ale był teraz dobrze ubrany, a nie obszarpany jak wtedy, dobrze odżywiony, a nie wygłodzony i wychudzony. Być może była to wystarczająca zmiana, żeby dawni znajomi musieli wysilać pamięć w poszukiwaniu na wpół zatartych wspomnień.

Gdy taksówka toczyła się znajomymi ulicami w kierunku dzielnicy, w której spędził większą część dzieciństwa, zaczęło go opanowywać dziwne, uderzające do głowy podniecenie. Wiedziony nagłym impulsem, kazał taksówkarzowi zatrzymać się i wysiadł. Większość walizek zostawił w przechowalni bagażu na lotnisku, zatrzymując przy sobie tylko lekki neseser, który mógł bez trudu unieść. Zaprzagnął przebyć ten etap podróży powoli, piechotą, aby napływ starych skojarzeń miał czas wnikać w jego umysł.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mu się w oczy, było zniknięcie jego starego domu.

Stał na rogu ulicy i patrzył na niebotyczny blok mieszkalny, który zajął miejsce obdrapanej kamienicy. Mijający go przechodnie byli tacy jak niegdyś, ulicą przejeżdżały takie same autobusy i takie same stare samochody, ale kamienicy nie było.

Nagły przypływ nostalgii zaskoczył go. Nigdy się nie spodziewał, że może żałować zniknięcia miejsca, w którym zaznał tak mało dobrego. Przełożył neseser do drugiej ręki i pokuśtykał dalej. Po chwili uświadomił sobie, że ludzie oglądają się za nim, jakiś malec wykrzyknął pod jego adresem przezwisko i wybuchnął śmiechem. Wiedział teraz, dlaczego ludzie tak postępują i nie czuł do chłopca urazy.

O ile nie zawodziła go pamięć, dwa czy trzy bloki dalej na północ, mieścił się bar, w którym pracował jako pomywacz podczas choroby matki. Żeby tam dotrzeć, trzeba było

przejsć obok szkoły, do której uczęszczał. Skreślił w tym kierunku i idąc, czynił w myśli porównania.

Atmosfera była inna od tej, którą pamiętał z dawnych lat. Czuł coś, co można było nazwać spokojem kontrastującym z do przesady nowoczesnym Ułan Bator, pełnym obcych ze wszystkich stron świata. Może był to ostateczny wynik kryzysu, w którego cieniu się urodził? Najbliższe określenie, jakie udawało mu się znaleźć, by nazwać te odczucia brzmiało „ustatkowanie się”. Nie dostrzegł jednak wyraźnych oznak żalu za przeszłością.

Doszedł do wniosku, że ta atmosfera odpowiada mu i zaczynał już żałować, iż nie wrócił tu wcześniej.



Bar był tam gdzie niegdyś, ale zmienił się jego wystrój i rozkład pomieszczeń. Sprawiał wrażenie lepiej prosperującego niż dawniej. Przy kontuarze stały wysokie stołki, ale Howson podszedł do stolika, co wywołało grymas niezadowolenia na twarzy próżnującego barmana, doszedł jednak do wniosku, że wspięcie się na stółek może przekraczać jego możliwości.

– Co ma być? – zawołał barman zza kontuaru.

Howson był głodny po podróży.

– Mały stek, frytki i puszka piwa – odparł.

Oczekując na przybycie z kuchni zamówionego dania, barman przyglądał się z zaciekawieniem gościowi. Howson wiedział, dlaczego, ale czekał, aż tamten sam go zapyta.

– Masz, mały – powiedział dość przyjaźnie młodzieniec stawiając przed Howsonem talerz i szklankę. – Ej... zdaje się, że już cię gdzieś widziałem... dawno temu. Czy się mylę?

Miał jakieś dwanaście lat, kiedy Howson wyjeżdżał, całkiem możliwie, że go pamięta.

– Mogłeś już mnie kiedyś widzieć – przyznał ostrożnie Howson. – Czy ten lokal dalej prowadzi Charlie Birberger?

– Mhmmm. Znasz go?

– Znałem – Howson zawahał się. – Jeżeli jest na miejscu, to może miałby ochotę ze mną pogawędzić?

– Zapytam – powiedział uprzejmie barman.

Z zaplecza dobiegła go wymiana pokrzykiwań i po chwili sam Birberger, starszy,

grubszy, ale pod innymi względami nie zmieniony, wszedł, mrugając powiekami, do sali. Dostrzegł Howsona i stanął jak wryty. W jego umyśle wirował kalejdoskop zdziwienia i zaskoczenia.

Szybko jednak przyszedł do siebie i kołyszącym krokiem ruszył przez salę. Na jego twarzy pojawił się jowialny uśmiech.

– Na Boga! Chłopak Sary Howson! No nie, po tym wszystkim, co o tobie usłyszeliśmy, nigdy bym się nie spodziewał, że cię tu kiedyś jeszcze zobaczę. Nieźle się urządziłeś, co?

– Nieźle – przyznał Howson. – Nie usiądzie pan?

– Co? A tak! – Birberger odsunął krzesło daleko od stolika i ostrożnie powierzył mu swoje cielsko. Oparł się obydwoma łokciami o blat i pochylił do przodu.

– Wiesz, czasami czytamy o tobie w gazetach. Musisz odwalić kawał dobrej roboty. Trzeba przyznać, że nigdy się nie spodziewałem, że zajdziesz tak wysoko! Eee... Sporo czasu upłynęło, odkąd wyjechałeś, co? Dziesięć lat!

– Jedenaście – sprostował spokojnie Howson.

– Aż tyle? No, no! – paplał dalej Birberger. W jego grzmiącym, głosie pojawiło się leciutkie drżenie i Howson ze zdumieniem zrozumiał nagle, że ten człowiek się go boi.

– Eeee... Masz tu jakiś interes do załatwienia? – sondował niezręcznie Birberger – czy po prostu chcesz odwiedzić stare śmiecie?

– Raczej odwiedzić starych przyjaciół – skorygował Howson.

Pociągnął łyk piwa.

– Pan jest pierwszy, kogo spotkałem po powrocie.

– Och, miło mi słyszeć, że zaliczasz mnie do starych przyjaciół – powiedział Birberger promieniejąc. – Wiesz, często wspominam czasy, kiedy pozwalałem ci tu pomagać. Pamiętam, że miałeś niezły apetyt, jak na... – może chciał powiedzieć „jak na karła”, ale ugryzł się w język i dokończył zmieniając – ... eee... jak na młodego faceta.

Wyprostował się na krześle.

– A wiesz, przyjemnie sobie teraz pomyśleć, że od czasu do czasu mogłem ci podać pomocną dłoń. Z chorą matką i w ogóle...

Howson obserwował różowe filtry opadające na pamięć Birbergera. Stłumił uśmiech cisnący mu się na usta. Charlie Birberger był impulsywnym pracodawcą, z którym trudno było znaleźć wspólny język, lubiącym łąć bezlitośnie swoich pracowników – a szczególnie Gerry Howsona.

No nic, nieważne. Skinął głową, niby to przyznając mu racje i początkowy niepokój

Birbergera zbladł jeszcze bardziej.

– Zaraz, zaraz, coś ci powiem! – wykrzyknął grubas. – Mam jeszcze wszystkie wycinki gazet z okresu, jak cię znaleźli. Zaraz ci je pokaże. Zaczekaj!

Dźwignął się z krzesła i zniknął na zapleczu. Po kilku minutach powrócił z zakurzonym albumem i siadając próbował bez powodzenia zdmuchnąć kurz pokrywający jego okładki.

– Zobacz! – powiedział otwierając album i obracając go tak, żeby Howson mógł sobie przeczytać znajdujące się w nim żółte wycinki.

Howson odłożył nóż i widelec i z zaciekawieniem przerzucał kartki albumu. Nie wiedział, że odkrycie telepaty wywołało w mieście taką sensację. Znajdowały się tu artykuły z pierwszych stron ważniejszych gazet miejscowych, niektóre z fotografiami Danny Waldemara i innych pracowników ONZ biorących udział w akcji.

Doszedł do ostatniej strony i miał już oddać z podziękowaniem album, kiedy coś go zastanowiło. Ostatni artykuł zdawał się nie mieć żadnego związku z resztą. Był to pojedynczy akapit informujący o ślubie panny Mary Hall z panem Stephenem Williamsem, opatrzony datą dwa lata późniejszą, niż cała reszta.

– A to – powiedział, wskazując wycinek palcem – czy to ma jakiś związek ze mną?

Birberger wyciągnął szyję, żeby lepiej przyjrzeć się artykułowi. Zmarszczył brwi.

– Zaraz, co u....? Jeżeli jest tu, to na pewno ma jakiś związek. Musi mieć coś wspólnego z... O Boże, tak, przypominam sobie! – spojrzał zdumiony na Howsona. – Nie znasz tego nazwiska? Myślałem, że kto jak kto, ale ty... !

Nic nie rozumiejąc, Howson również spojrzał na Birbergera. I nagle pojął.

Zamknął oczy. Cios był niemal fizycznie odczuwalny. Odezwał się matowym głosem.

– Nie, nie... nigdy nie znałem jej nazwiska. Była, widzi pan, głuchoniema, nie mogła mi więc go powiedzieć. A po odzyskaniu głosu i słuchu odwiedziła mnie tylko kilka razy.

– Nigdy do ciebie nie napisała? – Birberger przerzucał wstecz kartki albumu. – Po tym wszystkim, co dla niej zrobiłeś? To naprawdę dziwne. O, mam tutaj. – „Samolotem z Ułan Bator przyleciała dzisiaj osiemnastoletnia Mary Hall, głuchoniema dziewczyna, zaprzyjaźniona z telepatą-nowicjuszem, Geraldem Howsonem. Reporterom oczekującym na lotnisku powiedziała, że operacja mająca na celu przywrócenie jej głosu i słuchu zakończyła się sukcesem i wszystko, czego teraz pragnie, to prowadzenie spokojnego, normalnego życia. Patrz!

Za pierwszym razem musiał przeoczyć tę wzmiankę. Tak sobie to tłumaczył, chociaż gazetowa fotografia była dość wyraźna. Stała na niej w drzwiach samolotu – elegancko

ubrana, zadbana, z makijażem i modnie ułożonymi włosami, ale rozpoznawał w niej dziewczynę, którą znał.

– Czy jest jakiś sposób na zdobycie jej adresu? – zapytał mimowolnie.

– Przyniosę książkę telefoniczną – odpowiedział knajpiarz aż nazbyt ochoczo, jakby pragnął, żeby Howson już sobie poszedł.

Howson znalazł w książce telefonicznej kilku Williamsów, ale tylko jednego Stephena Williamsa. Spojrzał na adres.

– West Walnut – przeczytał. – Gdzie to jest?

– To nowa dzielnica. Powstała chyba już po twoim wyjeździe. Dojedziesz tam bezpośrednio dziewiętnastką – Birberger nie czynił już wysiłków, aby ukryć swe pragnienie ujrzenia wreszcie pleców nieoczekiwanego gościa.

Howson, przygnębiony, zastosował się do tego życzenia, zapłacił za posiłek oraz piwo i podniósł neseser. Birberger odprowadził go do drzwi i ściskając na pożegnanie dłoń Howsona potraktował go z taką ostrożnością, jakby miał do czynienia z czymś kruchym i unikalnym. A jego zaproszenie do ponownych odwiedzin zabrzmiało blado.

Wiedziony nagłym impulsem Howson zapytał go:

– Niech pan powie, panie Birberger, ale szczerze! Jak pan sobie wyobraża moją pracę? Zaskoczony grubas improwizował.

– No więc, jesteś... jesteś kimś, kto zagłada w umysły wariatów i patrzy, co im jest. I leczy ich. Tak?

– Tak – odburknął trochę szorstko Howson. – Niech się pan jednak nie obawia, nie zaglądałem w pański umysł. Mimo wszystko nie jest pan wariatem, prawda?

Gdy Howson oddalał się utykając w kierunku przystanku autobusu linii dziewiętnaście, w głowie Birbergera kiełkowały wątpliwości.



Dziwne są reakcje ludzi przy zetknięciu z telepatą...

Howson zastanawiał się nad tym siedząc z przodu autobusu, na pojedynczym siedzeniu obok kierowcy. Nie rozważał tego problemu od lat. W centrum Światowej Organizacji Zdrowia był od niego izolowany, ponieważ telepaci stanowili tam całkowicie akceptowaną część regularnego personelu.

Od czasu do czasu, chociaż nie tak często, jak by tego pragnął, w centrum pojawiali się uczniowie, w których szkoleniu pomagał. Każdy z nich był jedyny w swoim rodzaju i w konsekwencji każdy inaczej reagował dowiadując się o swoim talencie. Niektórzy cieszyli się jak dzieci nowo znaną zabawką, inni przypominali ludzi z nazistowskich Niemiec, którzy odkryli nagle, że w ich żyłach płynie żydowska krew i udają, że nic się nie stało.

Łatwiej było akceptować ten dar takim, jakim był on sam. Lata umiejętnie ukierunkowywanej propagandy przyniosły wreszcie jakiś efekt. Ale telepatów było tak niewiele, że z ledwością można ich było nazwać grupą mniejszościową i bardziej to niż urabianie opinii publicznej stanowiło o ich bezpieczeństwie – przynajmniej zdaniem Howsona. Tylko mały ułamek populacji stykał się z ludźmi obdarzonymi tym zmysłem, w rezultacie, chociaż wiele osób miało swoje własne opinie na ten temat („Nie wątpię, że wykonują pożyteczną pracę, ale nie chciałbym, żeby ktoś szperał w moim umyśle – to przecież karygodne pogwałcenie wolności osobistej!”), niewiele było takich, którzy wyrobili sobie trwałą pogląd w tej sprawie.

– West Walnut, chłopcze! – zawołał do niego kierowca hamując. Starał się panować nad swym uprzedzeniem do ułomnego pasażera i za to Howson obdarzył go projekcją ciepłej fali wdzięczności. Rozjaśniła ona, jak paradny pokaz ogni sztucznych, umysł mężczyzny, który gwizdał wesoło odjeżdżając z przystanku.

Howson zaśmiał się gorzko. Byłoby wspaniale, gdyby zawsze przychodziło mu to z taką łatwością.

22

Nowe osiedle było czyste, przestronne, miłe dla oka i składało się z małych domków rozsianych wśród jasnozielonych trawników. Alejkami biegały ze śmiechem dzieci wracające ze szkoły. Pomyślał z bólem o ciasnych, szpetnych ulicach swojego dzieciństwa i stłumił bezsensowną zazdrość. Przyspieszając kroku, na ile to było możliwe, podążył w kierunku domu Williamsów.

Tak, to tu. Na skrzynce pocztowej widniało nazwisko: S. WILLIAMS. Wyciągnął rękę i nacisnął przycisk dzwonka.

Po chwili drzwi uchyliły się, ale przytrzymał je łańcuch. Przez szparę wyjrzała dziewczynka. Miała mniej więcej osiem lat.

– Pan do kogo? – spytała trwożliwie.

– Czy zastałem panią Williams?

– Mamusi nie ma w domu – powiedziała dziewczynka swoim najbardziej dorosłym i poważnym głosem. – Strasznie mi przykro.

– Czy szybko wróci? Jestem jej znajomym z dawnych lat i chciałem...

– Kto przyszedł, Jill? – odezwał się ze środka chłopięcy głos.

– Jakiś pan do mamusi – wyjaśniła dziewczynka i tupot butów obwieścił, że jej brat zbiega po schodach. Po chwili, przez uchylone drzwi zerkała na gościa druga para oczu. Chłopiec był zaskoczony wyglądem Howsona i nie potrafił tego ukryć, ale był dobrze wychowany, bo otworzył drzwi szerzej i zaprosił Geralda, by wszedł i poczekał w środku.

– Mama wyszła do sąsiadki, pani Olling – powiedział. – Niedługo wróci.

Howson podziękował mu i utykając wszedł do pokoju. Zza pleców docierały doń odgłosy toczonyj szeptem sprzeczki – Jill wyrzucała bratu, że nie powinien wpuszczać obcych do domu, on oponował pogardliwie, że Howson jest niższy od niego, a więc jak może być niebezpieczny.

Dzieci weszły za nim niepewnie do pokoju gościnnego i usiadły na sofie stojącej naprzeciwko fotela, który zajął. Nie wiedziały co powiedzieć, Howson zaś od wielu lat nie miał do czynienia z dziećmi. Czuli, że język ma niemal tak samo związany jak oni.

– Może wasza mama opowiadała wam o mnie? – zagaił. – Nazywam się Gerry, Gerry Howson. Przyjaźniliśmy się z waszą mamą, kiedy była... eee... zanim poznała waszego tatę. Ty jesteś Jill, tak? A..?

– Ja mam na imię Bobby – przedstawił się chłopiec. – Czy... czy pan mieszka gdzieś w okolicy, panie Howson?

– Nie, mieszkam w Ułan Bator. Jestem lekarzem i pracuje w wielkim szpitalu.

– Lekarzem! – nieufność Jill zaczęła topnieć. Podekscytowana, pochyliła się do przodu. – Oooch! Chce zostać pielęgniarką, kiedy dorosnę.

– A ty, Bobby? Chciałbyś zostać lekarzem?

– Nie, to nie dla mnie – powiedział chłopiec z nutką lekceważenia. – będę pilotem statku na Marsa, albo kapitanem łodzi podwodnej. – Potem zreflektował się i z powagą podpatrzoną u kogoś dorosłego, dodał. – Jestem jednak przekonany, że zawód lekarza jest bardzo interesujący.

– Panie Howson – wtrąciła się Jill. Na jej twarzyczce malowało się zaciekawienie. – Jeżeli jest pan lekarzem, to dlaczego ma pan chorą nogę? Nie może jej pan sobie wyleczyć?

– Jill! – krzyknął z oburzeniem Bobby. – Przecież wiesz, że nie wolno wygadywać

takich rzeczy!

On staje się już dorosły, pomyślał z rozbawieniem Howson.

– Nic się nie stało – powiedział głośno. – Nie, Jill, nie mogę jej sobie wyleczyć. Taki już się urodziłem i teraz nie ma już na to rady. Poza tym, nie jestem takim zwyczajnym lekarzem. Ja... – przypomniał sobie naiwny, niepewny opis jego pracy podany przez Birbergera i dokończył – Zaglądam w umysły ludzi chorych i patrzę, co im jest.

Dobre maniery Bobby’ego zniknęły pod wpływem zaskoczenia.

– Czy to znaczy, że jest pan lekarzem wariatów?

– Oj, oj, oj! – Howson uśmiechnął się lekko. – Nie wydaje mi się, . żeby określenie „wariat” było zbyt uprzejme. Ludzie, którzy przychodzą do mojego szpitala są zupełnie tacy sami jak wszyscy. Potrzebują pomocy, bo życie stało się dla nich zbyt skomplikowane.

Dzieci nie kwestionowały tego, ale ich sceptycyzm był wyraźny. Howson westchnął.

– A może chcielibyście, żebym wam opowiedział o mojej pracy? – zasugerował. – Kiedyś opowiadałem waszej mamie różne historie i bardzo się jej podobały.

– Zależy, co to będzie za opowiadanie – powiedział ostrożnie Bobby. Jill, od chwili wyjścia na jaw rewelacji, że Howson jest „lekarzem wariatów”, siedziała z szeroko otwartymi oczyma. Teraz odezwała się, żeby wesprzeć swego brata.

– Nie wydaje mi się, żeby podobały nam się opowiadania o wariatach – powiedziała z powątpiewaniem.

– Są bardzo ciekawe i podniecające – powiedział spokojnie Howson. – Moja praca jest naprawdę o wiele bardziej fascynująca niż praca kosmonauty, czy kapitana łodzi podwodnej. Bardzo ją lubię. – Zanim wypowiedział następne zdanie, znalazł jeszcze czas na uświadomienie sobie, jak prawdziwa jest ta deklaracja. – Przypuśćmy, że opowiem wam o pewnej osobie, która przyszła do mojego szpitala...

Ta metoda przypominała mu się tak dokładnie, jakby stosował ją wczoraj, a nie przed jedenastu laty. Łagodnie zasugerował dzieciom, żeby zamknęły oczy, tak jak to robił dawno temu z głuchoniemą dziewczyną, której umysł był zamknięty na wszystko z wyjątkiem jasnych, prostych obrazów i bogatych wrażeń zmysłowych.

– *Najpierw...* – sala szpitalna: sprawność, zaufanie, życzliwość. Ładne pielęgniarki – Jill może stać się na chwilę jedną z nich – uspakajające pacjenta, na którego twarzy maluje się wdzięczność.

teraz... – wejrzenie w umysł pacjenta. Koszmar – ale nie koszmar z dziecięcych snów,

który mógłby je zbytnio przerazić. Raczej koszmar dorosłego człowieka – zbyt złożony, aby rozpoznały jego naturę z powierzchownych obserwacji.

a potem... – ostre, dobrze zdefiniowane obrazy – pacjent biegnący korytarzami własnego umysłu, ścigany przez potwory zrodzone z jego własnej podświadomości. Biegnie po pomoc i nie znajduje jej, dopóki obecność lekarza nie zasugeruje mu bezpieczeństwa i komfortu. Wtedy nękające go leki przyczajają się i zaopatrują w broń, którą może stworzyć tylko wyobraźnia. Pacjent z pomocą lekarza odstrasza te stwory, wypierają je, zapędzają w ślepy zaułek... i już ich nie ma.

Była to składanka z kilku przypadków, z jakimi miał do czynienia jako nowicjusz – prostych, dynamicznych i podniecających, ale niezbyt przerażających. Skończywszy, Howson przerwał kontakt i zasugerował dzieciom, żeby otworzyły oczy.

– O rany! – westchnął Bobby ze znacznie większym respektem. – Nie wiedziałem, że to jest tak!

Jill już miała potwierdzić jego opinię, kiedy spojrzawszy przez otwarte drzwi do przedpokoju zerwała się z sofy na równe nogi.

– Mamusia przyszła! – wykrzyknęła. – Mamusiu, ktoś do ciebie. Opowiada nam takie podniecające historie, jakie opowiadał tobie!

Mary Williams popchnęła drzwi otwierając je na całą szerokość i dostrzegła Howsona. Jej twarz – raczej pospolita, taka jak ją pamiętał, ale wykazująca teraz więcej cech osobistych i umiejętnie umalowana – zastygła w zdumioną maskę. Ledwie rozchylając usta wykrztusiła:

– To miło z jego strony. Idźcie się teraz pobawić. Chcę porozmawiać z panem Howsonem na osobności.

Dzieci z ociąganiem podeszły do drzwi.

– Czy opowie nam pan kiedyś coś jeszcze? – rzuciła przez ramię Jill wychodząc z pokoju.

– Jeżeli chcecie – obiecał Howson uśmiechając się i kiedy dzieci wyszły dodał, zwracając się do Mary. – Masz dwójkę wspaniałych dzieciaków.

Puściła tę uwagę mimo uszu. Z wciąż lodowatą, pustą twarzą powiedziała:

– Tak, Gerry. A więc wróciłeś, żeby mnie dręczyć, tak?

Howson siedział przez kilka sekund jak oniemiały. Kiedy nie rozwijała dalej swojej zdumiewającej wypowiedzi, wstał.

– Wpadłem, żeby zobaczyć, jak ci się wiedzie – bąknął. – Jeżeli nazywasz to dręczeniem, pójdę sobie. Od razu!

Podniósł z podłogi neseser spodziewając się, że otworzy mu drzwi i z ulgą się go

pozbędzie. Zamiast tego, wybuchnęła płaczem.

– Mary – wykrzyknął i uświadamiając sobie coś nagle, dodał szybko. – Popatrz, po raz pierwszy zwróciłem się do ciebie po imieniu. A przecież nieźle się znamy, prawda?

Opanowała szloch i gestem poprosiła go, żeby z powrotem usiadł.

– Przepraszam – zaczęła słabym głosem. To zdumiewające, jak bezbłędnie nauczyła się posługiwać swoimi sztucznymi strunami głosowymi. O ile ktoś nie dostrzegł ledwo widocznej blizny na jej krtani, stwierdzenie, że zostały tam wstawione ręką ludzką, było niemożliwe. – Zaskoczyłeś mnie trochę. To... to miło z twojej strony, że wpadłeś, Gerry.

– Ale co miałaś na myśli mówiąc, że przychodzę, by cię dręczyć?

– Czyż to nie oczywiste? – przesunęła się na miejsce, które przed chwilą zajmowała Jill i zatoczyła ręką łuk, wskazując otaczający ich pokój, dom, całe osiedle. – Co zastałeś wracając tu po tylu latach? Zwykłą kurę domową z dwójką zwykłych dzieci i dość przeciętnym facetem jako mężem. Gdziekolwiek się udasz, znajdziesz milion podobnych ludzi. Tylko...

Otarła oczy chusteczką i wyprostowała się, zakładając nogę na nogę.

– Tylko twój widok przypominał mi zawsze, kim miałam być... Dlatego przestałam cię odwiedzać.

– Chyba rozumiem – mruknął niepewnie Howson. W żołądku narastał mu zimny ciężar. – Nigdy bym nie podejrzewał, że coś cię gnębi. Wyglądałaś na taką szczęśliwą!

– Och, wydaje mi się, że wtedy sama tego nie podejrzewałam – patrzyła ponad jego głowę na pastelowe ściany, – Uświadomiłam to sobie dopiero po powrocie do domu. Pamiętasz, jak w tych opowieściach, którymi mnie raczyłeś, byłam zawsze piękną i upragnioną, i słyszałam jak wszyscy – roześmiała się gardłowo. – No cóż, sprawdziło się tylko „jak wszyscy”! Myślałam, że mam to już za sobą... dopóki nie weszłam do tego pokoju i nie ujrzałam ciebie siedzącego tutaj. To przypomniało mi, że zamiast być księżniczką z bajki, jestem zwykłą Mary Williams, gospodynią domową w West Walnut i nigdy nie będę niczym innym.

Na chwilę zapadło milczenie. – Howson nie wiedział, co odpowiedzieć.

– I oczywiście bardzo ci zazdrościłam – podjęła monotonnym głosem. – Kiedy ja musiałam wpaść znowu w te koleiny anonimowości, ty stałeś się ważną i sławną osobą...

– Podejrzewam, że mi nie uwierzysz – powiedział pojednawczo Howson – kiedy ci powiem, że czasami mam ochotę zrezygnować ze sławy, z pozycji, ze wszystkiego, za przywilej patrzenia innym ludziom prosto w oczy i chodzenia ulicami bez utykania.

– Tak, Gerry – powiedziała dziwnym głosem – chyba ci wierze. Słyszałam, że nie byli w stanie nic zrobić... Mam na myśli twoją nogę. I resztę. Przepraszam.

Uderzyła ją nagle jakaś myśl i zeszywniała.

– Gerry, nie opowiadałeś chyba Jill i Bobby’emu tego rodzaju historii, co mnie? Nigdy bym ci nie wybaczyła, gdyby i oni musieli przeżywać takie same rozgoryczenie.

– Dużo się nauczyłem przez te jedenaście lat – powiedział Howson. – Nie masz się czego obawiać. Opowiadałem im tylko o swojej pracy w Ułan Bator, a Jill i tak twierdzi, że chce zostać pielęgniarką. Nie wydaje mi się, żeby moje opowiadanie stało się przyczyną ich rozgoryczenia.

– W moim przypadku stało się – powiedziała w zadumie Mary. – Historię, które mi opowiadałeś, pamiętam wyraźniej niż tę wstrętną norę, w której mieszkaliśmy. Te opowieści były bardziej... bardziej sprecyzowane. Natomiast rzeczywistość wyblakła w mojej pamięci, pozostawiając tylko smugę szarości.

Howson nie zdążył odpowiedzieć, gdyż w korytarzu rozległy się kroki i tupot biegnących dzieci. Słychać było głos witającego się z nimi czule mężczyzny.

– To Steve – powiedziała z przygnębieniem Mary. – Wolałabym....

Howson nie dosłyszał, co by wolała, bo w tym momencie Williams wkroczył do pokoju i zauważywszy w nim Howsona zatrzymał się zaskoczony.

– Och, dzień dobry – wybąkał. Jego oczy zadawały żonie rozpaczliwe pytania.

– Steve, to jest... chyba powinnam tytułować cię doktorem, prawda Gerry?... to jest doktor Gerald Howson z Ułan Bator. Przyjaźniliśmy się, zanim cię poznałam.

Williamsowi nie udało się zamaskować, że uważa gust żony w doborze przyjaciół za szczególnie, ale wyciągnął rękę i Howson wstał, żeby ją uścisnąć.

– Gerry jest psychiatrą – wyjaśniała dalej Mary, a Howson skinął głową, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego do tej pory nie powiedziała o nim mężowi.

– Niezupełnie. W rzeczywistości jestem teleterapeutą w zespole centrum terapeutycznego... azjatyckiego oddziału Światowej Organizacji Zdrowia.

– Telepatą? – ta informacja poważnie wstrząsnęła Williamsem. – No tak, tak... interesujące! Nigdy jeszcze nie spotkałem kogoś takiego... *i prawdę mówiąc, nigdy tego nie pragnąłem.* – dokończył w myślach.

Rozmowa urwała się. Mary usiłowała wypełnić ciszę mówiąc wesoło:

– Mam nadzieję, że zostaniesz u nas na kolacji, Gerry? – za tymi słowami odczytał błagalną prośbę – *Proszę cię, powiedz nie. Nigdy nie opowiadałam mu o tobie i chyba nie*

mogłabym znieść, gdybyś mi przypominał, przypominał mi...

Howson wspaniale odegrał ceremonie spoglądania na zegarek.

– Byłbym zachwycony – skłamał – ale nie mam zbyt wiele czasu, a chce jeszcze odwiedzić spore grono znajomych. Lepiej będzie, jeżeli odmówię.

Podniósł neseser i ruszył w kierunku wyjścia. W progu przystanął i obejrzał się.

– Przepraszam w moim imieniu dzieci, że nie mogłem zostać i opowiedzieć im innej historii, dobrze? – powiedział. – I postaraj się nie czuć do mnie nienawiści.

– Obiecuje – odpowiedziała Mary z bladym uśmiechem.

– I postaraj się też nie litować nade mną! – dokończył okrutnie, odwracając się od niej plecami. Marzył teraz, aby być zdolnym do przebycia ścieżki prowadzącej od drzwi domku na ulicę biegiem, nie zaś kuśtykając po niej jak pokraczna kukła.

23

Od lat pielęgnował w myśli tę nadzieję, nadzieję, że właśnie dzięki niemu ta głuchoniema dziewczyna zaznała w życiu czegoś lepszego, niż samo tylko cierpienie. Wierzył dotąd, że jeżeli nie gdzie indziej, to właśnie tu udało mu się kogoś uszczęśliwić.

Nie dopuszczał do siebie myśli kwestionujących to założenie. Dlaczego? Ponieważ podświadomie zdawał sobie sprawę, jaka jest prawda.

To spotkanie wstrząsnęło w posadach jego wiarą w siebie. Przez krótką chwilę, kiedy kuśtykał w kierunku drogi szybkiego ruchu, okrążającej West Walnut, miał już ochotę zrezygnować z kontynuowania swojej wyprawy, nie chcąc więcej stawać w obliczu takich rewelacji. Ale właśnie tego nie mógł zrobić. Bez względu na to, jak unikalnym uczynił go jego talent, pozostał przecież istotą ludzką i przybył tutaj, aby odnaleźć dopełnienie swego człowieczeństwa.

Westchnął, postawił neseser na trotuarze i rozejrzał się. W pobliżu zakreślała właśnie taksówka, z której wysiadł mężczyzna w czarnym garniturze, wracający do domu po pracy. Howson machnął ręką, zastanawiając się jednocześnie, jaki adres ma podać kierowcy.

Samochód minął go nie zwalniając. Ogarnięty gniewem, Howson chciał już posłać za nim ogłuszający myślowy krzyk, ale w ostatniej chwili uświadomił sobie, że kierowca wziął go za dziecko pozdrawiające machaniem ręki przejeżdżającą taksówkę i poprzestał na zasugerowaniu mężczyźnie, że popełnił on pomyłkę.

Taksówka zahamowała, zawróciła i podjechała do miejsca, w którym stał. Taksówkarz, otyły mężczyzna o wesołych oczach popatrzył na Howsona i powiedział wzruszając ramionami.

– Przepraszam, chłopcze. Chyba zamyśliłem się. W ten sposób tracę wiele kursów... Dokąd?

– Główna Aleja – powiedział Howson krótko i wgramolił się do środka.



Nazwa ta była teraz absurdalna. Proces upadku ulicy, który rozpoczął się wraz z przyjściem Howsona na świat i posunął już znacznie, kiedy Howson wyjeżdżał do Ułan Bator, dobiegł już końca. Ciąg czterech bloków mieszkalnych na północnym krańcu alei przeznaczono do rozbiórki i wymazano z planu miasta. Wieczorny wiatr popychał nie wymiecionymi rynsztokami papierowe kule i wzniecał tumany kurzu, a chodnikami snuło się kilku smętnych przechodniów.

Kino, w którym podjął swą pierwszą i brzemienną w skutki próbę zostania kimś ważnym, było jeszcze czynne, ale podupadło teraz i świeciło pustkami, a zaraz za nim stało coś zupełnie nowego – ładny, schludny, wysoki budynek. Na jednej z marmurowych kolumn wyznaczających główne wejście widniały duże litery z brązu. Mrużąc oczy, Howson przeczytał:

UNIWERSYTET CENTRALNY – WYDZIAŁ NAUK PODSTAWOWYCH I STOSOWANYCH

– Panie kierowco! – zawołał. – Proszę tu trochę zwolnić, dobrze?

Kierowca nacisnął nogą pedał hamulca i obejrzał się przez ramię.

– Wyróżnia się, prawda? – skomentował. – To dar Drake’a. Kilka lat temu oddał pod budowę uniwersytetu spory szmat ziemi. W przyszłości pomieści tysiąc studentów – sale zajęć, biura administracji, domy akademickie.

– Czy już działa? – spytał Howson.

– Jasne, od zeszłej jesieni. Rozlokowali studentów w wynajętych pokojach w całej dzielnicy, więc nie muszą czekać na ukończenie akademików.

– Czy dalej, po prawej stronie ulicy, jest jeszcze bar? – spytał Howson. – Ten, który prowadził facet nazwiskiem Horacy Hampton?

– Wąż? – kierowca zareagował na to pytanie odwróceniem głowy. – Panie, musiało tu pana długo nie być! Pamiętam Węża, ale tylko trochę! Zaraz... hmmm... jakieś dziesięć lat temu zwalili się do nas jacyś tepeci z ONZ-u, urządzili wielką obławę i wygarnęli ich wszystkich. Wąż dostał pięć lat i przymusową resocjalizację za współudział w morderstwie, a ostatnio obilo mi się o uszy, że podobno podjął pracę w jakiejś brygadzie ONZ i nieźle mu się powodzi.

Tepeci – TP – telepaci. Howson pokiwał głową. Nie przypominał sobie, żeby słyszał już kiedyś to przezwisko, ale było przecież takie oczywiste. Co do losu Węża Hamptona, nic dziwnego, że nic nie wiedział. Mimo wszystko, było to miasto stojące na uboczu nowego świata. Marginalna akcja zaprowadzenia w nim prawa i porządku była niczym w porównaniu z szeroko zakrojonymi operacjami, które na co dzień przeprowadzali telepaci.

– Ale jego bar jeszcze istnieje – podjął kierowca. – O, już go widać. Nie wiem, kto go teraz prowadzi.

– Kawalek za nim jest hotel – powiedział Howson. – Proszę mnie tam wysadzić.



Załatwiwszy formalności meldunkowe i sprawę sprowadzenia z lotniska reszty swego bagażu, Howson spożył samotny posiłek i rozmyślał nad tym, co dotąd zobaczył. Czuł przygnębienie. Jak mógł się spodziewać, że powrót do miejsca, skąd wyjechał przed jedenastu laty, odbędzie się bezboleśnie? Założenie to wydało mu się teraz czymś aroganckim i wzbudziło w nim złość.

Był tu obcy. Powinien się z tym pogodzić.

Po posiłku wyszedł z hotelu i skierował swe kroki w stronę baru będącego niegdyś kwaterą główną Hamptona. Lokal prezentował się nędzniej niż przed laty i był gorzej oświetlony. Upstrzone przez muchy lustra, zniszczona podłoga. Czy na zapleczu były nadal pokoje – na przykład pokój błękitny, w którym spędził z Lotsem te pełne niepokoju godziny? A w końcu, czy miało to teraz jakieś znaczenie? Postarał się przestawić swój umysł na myślenie nie o tym, co było, ale o tym, co jest obecnie. Podeszedł do stolika w rogu sali, zamówił piwo i siedział sącząc je w przygnębieniu.

Miedzy niego, a otaczający go świat wciskał się bez przerwy obraz twarzy Mary. Zanosilo się na to, że dużo czasu upłynie, zanim oswoi się z tym, z czego mu się zwierzyła.

Hugh Choong spytał go na koniec – „Dlaczego dręczy cię poczucie winy, kiedy wykorzystujesz swój talent dla przyjemności?”

Teraz miał już gotową odpowiedź – „Bo kiedy raz to zrobiłem, czułem podświadomie, że przysparza to komuś cierpienia”.

Biedna Mary... biedna księżniczka z bajki.

Przerwała irytacją ten tok myśli. Taką samoanalizę można ciągnąć w nieskończoność i do niczego nie dojść. Bezsprzecznie odwalił do diabła i trochę dobrej roboty i odwali jej jeszcze więcej pod warunkiem jednak, że potrafi znowu uwierzyć w siebie.

Dokąd teraz? Co teraz?

Podniósł szklaneczkę, upił łyk piwa i odstawiając ją z powrotem uświadomił sobie, że przy sąsiednim stoliku toczy się głośna rozmowa. Grupka składała się z dwóch mężczyzn – niedbale ubranych, z dwudniowym zarostem na twarzach – i nieładnej dziewczyny o jasnych włosach, w raczej niegustownej sukience, pogrążona była w ożywionej dyskusji. Właściwie prowadzili ją jeden mężczyzna i dziewczyna – drugi chłopak zdawał się im przysłuchiwać z niejakim rozbawieniem.

– Czy ty już nic nie rozumiesz? – grzmiała dziewczyna waląc otwartą dłonią w blat tak, że podskoczyły wszystkie trzy stojące na nim szklanki. – Ignorujesz lekcje całego minionego stulecia, żeby przedstawić w nowym opakowaniu rzeczy, które już zrobiono i to dwadzieścia razy lepiej niż zdołasz je zrobić ty!

– Musisz być ślepa, grucha i tępa, żeby wygadywać takie bzdury! – wrzeszczał jej oponent. – Jedną z twych najcholerniejszych wad, a masz ich całe mnóstwo, jest to, że dokonujesz dzikich i pustych uogólnień! Nikt obdarzony żdźbłem inteligencji...

– Przepraszam was – wtrącił drugi z chłopaków. – Wróć kiedy zrobi się tu trochę ciszej.

– A idź w diabły! – warknęła za nim dziewczyna, a on zabrawszy swoją szklanekę ruszył w kierunku stolika, przy którym siedział Howson. Gerald sprężył się instynktownie w sobie, ale nieznajomy jakby w ogóle nie zwrócił uwagi na jego powierzchowność.

– Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że troszeczkę tu sobie posiedzę? Nie mogę dojść do słowa, dopóki tamci się nie uspokoją, a ponieważ żadne z nich tak naprawdę nie wie o czym rozmawia... Papierosa?

Howson miał już odmówić – palenie tytoniu, nawet tego nie zawierającego nikotyny, było zakazane w centrum terapeutycznym – gdy uświadomił sobie, że młody człowiek jest dla niego uprzejmy. Nie mógł wiedzieć, że Howson jest kimś ważnym, a jednak zwracał się do

niego z szacunkiem.

Przyjął więc papierosa i podziękował.

– O co im chodzi? – zagadnął schylając się po ogień.

– Charma – odparł młodzieniec nie wyjmując papierosa z ust – upiera się, że Jay wykonuje pracę nie wymagającą kompetencji i nie dającą satysfakcji. Ma rację. Myli się jednak całkowicie utrzymując, że on jedynie powtarza coś, co zostało już sto razy zrobione. Jay ma zupełnie oryginalny pomysł, ale po prostu nie jest na tyle dobry, żeby go zrealizować. Myśli natomiast, że jest. A więc... nie zgadzają się.

– Oni tak często?

– Tak jest, cholera, bez przerwy! – powiedział młodzieniec smutnym głosem.

– A co to za praca?

– O, to trudno zdefiniować w paru słowach. To, co robi można chyba nazwać ciekłymi mobilami. Charma mówi na to mokre ognie i chociaż wydaje mi się, że coś w tym jest, to Jay nie jest zachwycony tą nazwą. Główny problem w tym, że aby rozpracować to co robi, Jay musiałby być zarówno chemikiem i hydrodynamikiem, jak i facetem z żyłką do efektów świetlnych, a on nie jest żadnym z nich. W rezultacie nie potrafi wykorzystać autentycznych możliwości, jakie oferuje mu technika.

Ma około dwudziestu dwóch, dwudziestu trzech lat – ocenił Howson swego nowego znajomego. Chłopak był średniego wzrostu, dość przystojny, miał rozczochrane, czarne włosy i nosił okulary o grubych szklach. Na sobie miał wyblakłą koszulę rozchełstaną na piersiach, trochę wytarte na kolanach ciemne spodnie i sandały. Na jego przegubie połyskiwał olbrzymi zegarek. Z kieszonki koszulki sterczał futerał na pióro i ołówek.

– Jesteście studentami? – spytał Howson przypominając sobie, że znajduje się w pobliżu nowego budynku uniwersyteckiego.

– Już nie, już nie. Nie tak dawno temu przestały nas satysfakcjonować normy akademickie, a ponieważ ci, którzy je ustanawiają, byli również niezbyt zadowoleni z nas, postanowiliśmy wspólnie przestać grać sobie nawzajem na nerwach. Napije się pan jeszcze?

– Nie, ja postawię – powiedział Howson i skinął na kelnera.

Zapłacił pierwszym z wierzchu z pliku banknotów wyjętym z kieszeni, co sprawiło, że jego towarzysz gwizdnął w parodii zaskoczenia.

– Zawsze sprawiało mi przyjemność, kiedy stawiali mi bogaci – powiedział poważnie.

– Mam wtedy wrażenie, że wnoszę jednak swój skromny udział we wtórny podział dochodu narodowego.

– Proszę to samo dla tamtych dwojga – powiedział Howson do kelnera wskazując Jaya i Chandrę. A czym się pan zajmuje? – zwrócił się znowu do swojego nowego, znajomego.

– Komponuję. Kiepsko mi to wychodzi. A pan?

– Jestem lekarzem – odparł Howson po chwili wahania.

– Naprawdę? Nigdy bym nie zgadł. Powinniśmy przedstawić pana Brianowi – znajomemu, początkującemu socjologowi, który jest fantastycznym deterministą. Stara się od dłuższego czasu udowodnić, że zawody i zajęcia można skorelować z typami fizycznymi. Niech pan spojrzy, udało się panu ich uspokoić! – wykręcił się na krześle i spojrzał na Jaya i Chandrę.

Howson poszedł za jego przykładem. Charma trzymała w ręku świeżo napełnioną szklankę i uśmiechała się do niego.

– To pan? – krzyknęła. – Dzięki! – i wychyliła ją łąpczywie.

Po tych wrzaskach musiało jej zaschnąć w gardle.

– Rudi! – zawołał Jay pokazując na zegarek. – U Clary już się chyba zaczęło. Może byśmy wpadli?

– Dobry pomysł – powiedział towarzysz Howsona. – Słuchaj, ten facet jest lekarzem. Powinniśmy przedstawić go Brianowi i popatrzeć, jak rzędzie mu mina, nie?

– Nigdy by ci nie uwierzył – powiedziała Charma.

Osuszyła już swoją szklankę.

– A nawet gdyby uwierzył – dopowiedział Jay – to i tak ma w swojej teorii więcej specjalnych wyjątków niż potwierdzających ją przypadków.

– A więc powinniśmy mu tego dowieść – zaproponował Rudi. – Będzie dzisiaj u Clary?

– Czy słyszałeś, żeby ten człowiek opuścił jakąś popijawę? – zapytała Charma.

– OK! – Rudi odwrócił się do Howsona. – Znaczy się, jeżeli nie ma pan nic innego do roboty. Przepraszam, zdaje się, że snuję plany za pana... hmmm...?

– Gerry – przedstawił się Howson. – No cóż, w gruncie rzeczy...

W gruncie rzeczy byłbym zachwycony idąc na to przyjęcie. Gdybym pragnął nauczyć się współżyć z ludźmi, chciałbym zacząć z takimi jak ci – obrazoburczymi, wolnymi od przesądów i uprzedzeń, akceptującymi mnie chociażby dlatego, że odbiegam od przeciętności.

– Jeden gość więcej nie zrobi Clarze różnicy – nalegał Rudi, źle odbierając jego wahanie. – Weźmiemy dwa kartony piwa i wszystko będzie OK.

– W takim razie – powiedział Howson wstając – pójdę z chęcią.

Zatrzymał się w progu i czekając aż Jay i Rudi precyzyjnie się z wielkimi kartonami

piwa przez wąskie drzwi, zapytał:

– Bierzemy taksówkę?

Jay ryknął śmiechem zamykając łokciem drzwi.

– Jay, jesteś mało spostrzegawczym sukinsynem – upomniał go Rudi. – Zakładasz, że każdy podziela twoją pasję do łażenia piechotą tylko dlatego, że masz długie nogi i tryskasz witaminami. Dowiedz się, że tak się składa, iż ja, będąc w przeciwieństwie do ciebie spostrzegawczym, wiem, że obecny tutaj Gerry ma harmonie pieniędzy wystarczająco dużą, żeby nam postawić taksówkę. Charma, wyskocz na jezdnię i podciągnij spódnicę.

24

Howson znajdował się w stanie podniecenia tak bardzo kontrastującym z jego dawną depresją, że aby pozostać w zgodzie z własnym sumieniem, musiał pokusić się o analizę własnych reakcji. W przeciwnym przypadku straciłby dużo z przyjemności podświadomie się martwiąc.

Co go tak podnieciło? Zanim taksówka zatrzymała się, znalazł robocze wyjaśnienie.

Nie miał dotąd do czynienia z tego rodzaju ludźmi, ale dziesięć minut spędzone z Rudim i jego przyjaciółmi napełniło go przekonaniem, że jest to coś, czego chce się uchwycić i że ma szansę, iż nie zostanie odtracony.

Nie oponował, kiedy Rudi pomagał mu nieść neseser i podał rękę przy wsiadaniu do taksówki. Dziwnie nie przypominało mu to o jego ułomności. Nie tym razem, nie w tym towarzystwie.

Wspinając się wąską, skąpo oświetloną klatką schodową kamienicy, do której przyjechali, złapał się na tym, że zastanawia się, czy ludzie, którzy nie akceptują konwencjonalnego uprzedzenia do kalek, nie podzielają równie powszechnej niechęci do telepatów.

Po godzinie spędzonej na przyjęciu powrócił jednak obiektywizm, studząc fale początkowego entuzjazmu. Mieszkanie było bardzo małe – pokój spełniający funkcje salonu, a zarazem sypialni, obok mała kuchenka i toaleta wspólna dla całego pietra, a wszystko to zatłoczone ludźmi. Nie było wśród nich Briana – człowieka, któremu miano go przedstawić, ale towarzystwo składało się w większości ze studentów uniwersytetu.

Przez kilka pierwszych minut pokazywano go wszystkim jako klucz, który ma zostać

wrzucony w tryby maszyny Briana. Potem jednak, po szeregu szybkich prezentacji, trójka która go przyprowadziła, wdała się w rozmowy, ze starymi znajomymi i pozostawiła Howsona własnemu losowi.

Zaczynał już czuć się zagubiony i niepotrzebny, kiedy zauważył, że ktoś zwolnił kilka cali kwadratowych stojącej pod ścianą sofy. Usiadł skwapliwie, ktoś przechodząc nalał mu drinka i potem, przez jakiś czas, nikt nie zwracał nań uwagi.

Nagle uświadomił sobie, że dziewczyna, która przed chwilą przysiadła się do niego, patrzy nań z wyrazem rozbawienia na twarzy. Była młoda i dość atrakcyjna, chociaż miała na sobie niebieski serdaczek, który straszliwie gryzł się z zielenią jej oczu.

– Dobry wieczór – zagadnęła z kpiącym formalizmem. – Poznajmy się. Jestem gospodynią.

Howson wyprostował się, na ile to było możliwe.

– Przepraszam – zaczął. – Rudi i Jay nalegali, żebym tu z nimi przyszedł...

– Och, jesteś mile widziany – powiedziała machając ręką. – To ja powinnam przeprosić za tak długie zaniechanie gościa. Nie miałam dotąd wolnej chwili. Dobrze się bawisz?

– Wspaniale, dziękuję.

– Tak myślałam obserwując twoją maskę niezaangażowania. Co robiłeś? Spijałeś atmosferę?

– Prawdę mówiąc zastanawiałem się nad ożywieniem i impulsywnością toczonych tutaj dyskusji:

– Beznadziejne, prawda? Na każdym takim przyjęciu ludzie wymyślają tuzin niezawodnych sposobów zbawienia świata i nigdy nie wprowadzają ich w czyn.

– Czy pani jest pisarką? – próbował zgadnąć Howson.

– Potencjalną. Ktoś panu powiedział?

– Nie, ale ma tu pani sporo twórczych, młodych ludzi.

Dziewczyna (będąc gospodynią musiała mieć na imię Clara) poczęstowała go papierosem. Odmówił, ale pożyczył od kogoś jarzący się niedopałek, aby mogła od niego odpalić.

– A ty? Co robisz? – spytała zaciągając się dymem.

– Jestem lekarzem – odparł Howson. – Prawdę mówiąc, Rudi przyciągnął mnie tu ze sobą, bo chciał mnie przedstawić komuś, kto stara się łączyć typy fizyczne z zawodami. Ma na imię Brian.

– Ach tak, Rudi wciąż próbuje go ośmieszyć. Wyobrażam już sobie, ile Brian musiał zastosować akrobatyki umysłowej, żeby dopasować cię do swojego wzorca.

– Nie wiem. Jeszcze mu mnie nie przedstawiono.

– No tak, to cały Rudi! Brian jest tu prawie od godziny. Ale może sobie przypomni i pozna was ze sobą. Nie będziesz miał nic przeciwko temu? A może dasz sobie z tym spokój?

– Bawi mnie to – przyznał Howson.

Ktoś poklepał go w ramię i pochylił butelkę nad jego pustą szklanką. Howson nakrył ją szybko dłonią na znak, że nie pije, a potem odwrócił się i odstawił szklankę na stoliczek stojący obok sofy. Zamilkli na chwilę, a gwar przyjęcia i muzyka krążyły wokół nich jak wiatry obiegające oko cyklonu.

25

W końcu, widząc, że Clara nie przejawia zbytnej ochoty do kontynuowania rozmowy, Howson poruszył się i spojrzał na nią.

– A właściwie, to kim i czym jest Rudi? – zapytał. Z trójki poznanej w barze, najbardziej on go interesował. Chociaż nie sondował jego umysłu, to z zewnętrznych tylko obserwacji wywnioskował, że Rudi jest osobowością głębszą i bardziej dojrzałą niż jego przyjaciele.

– Rudi? – Clara wypuściła dym dziurkami od nosa. – Nazywa się Rudi Allef. Przyjechał tu na stypendium ONZ. Pracował – to znaczy wydaje mi się, że pracował – nad jakimś przełomowym dziełem, niestety nie był to temat, jakim miał się zajmować w ramach przyznanego mu stypendium. Dlatego musiał przerwać to, co do tej pory robił. Potem Jay i Charma Home...

– Jay i Charma Horne? Rodzeństwo?

Clara spojrzała nań z zaciekawieniem.

– Skąd ten pomysł? Są małżeństwem.

– *Małżeństwem?*

– A cóż w tym dziwnego?

Howson opamiętał się i wzruszył ramionami. Nigdy nie wychodziło mu to dobrze ze względu na deformacje pleców.

– Tak się kłócili, kiedy ich poznałem... Przepraszam, proszę mówić dalej.

– No więc... a tak. Zresztą nie pytałeś o Horne'ów, a o Rudiego. Rudi to... to chodzący problem.

– Dziwne, że pani to mówi – zauważył Howson. – Na pewno zna go pani lepiej niż ja, ale powiedziałbym raczej, że sprawia wrażenie osoby zrównoważonej i o spójnej osobowości.

– Na pewno sprawia takie wrażenie – Clara spojrzała na obiekt ich rozmowy siedzący na podłodze obok akordeonisty. – Może któregoś dnia, jeżeli wystarczająco długo wytrzyma z tą maską, dowiedzie sobie samemu, że tak właśnie jest. W przeciwnym razie czeka go poważne załamanie i przez długi, długi czas będzie utrapieniem dla innych i siebie.

Howson spojrzał na nią zdumiony, podejrzewając przez chwilę, że nie rozmawiają o tej samej osobie.

– Czy wykazuje jakieś początki załamania? – zapytał.

Otrząsnęła się lekko, jak gdyby powracając myślami do jakichś innych spraw.

– Och, gdybyś wiedział gdzie patrzeć... No, chyba powinnam zająć się gośćmi. Porozmawiamy później.

Wstała, ale zawahała się.

– Nie chce być niegrzeczna – powiedziała – ale ty też mi wyglądasz na niełichy problem, prawda?

Howson spojrzał jej w oczy tak stanowczo, jak tylko potrafił.

– Twierdzisz, że jesteś dobra w dostrzeganiu problemów – odparł. – Zdecyduj sama.

– Należało mi się – przyznała i odwróciła się by zniknąć w tłumie gości.



Po tej rozmowie Howson uświadomił sobie, że nadal niewiele wie o Rudim Allefie.

W tym jednak momencie Rudi przypomniał sobie o bombie, jaką chciał podłożyć pod socjologiczną teorię Briana. Podniósł się z podłogi, wyciągnął Briana z towarzystwa, z którym tamten spierał się zawzięcie i przedstawił mu Howsona. Patrząc na kpiący uśmiech Rudiego, Howson stwierdził u siebie silniejszą niż kiedykolwiek pokusę szybkiego – tylko jednego! – wejrzenia w tę kształtną głowę.

Oparł się jej jednak i zmusił do skoncentrowania na rozmowie. Brian, który mu się wcale nie podobał, otrząsnął się szybko i przywołał w sukurs swoje stare dogmaty.

– Ludzie tacy, jak obecny tu doktor Howson – perorował – są zawsze wyjątkami, gdziekolwiek chciałoby się ich zaszufłdkować. Próba ich klasyfikacji przypomina przewidywanie kolejności rozpadu atomów podczas dezintegracji bryłki uranu. Wiadomo, że jeden z nich się rozerwie, ale nie wiadomo który. Wiemy też, że doktor Howson musi gdzieś pasować, ale nie możemy przewidzieć...

Brnął dalej w swe wywody, podczas gdy Howson uchwycił się jednego zdania i powtarzał je sobie w kółko:

Doktor Howson musi gdzieś pasować.



Było już późno gdy Clara znowu przysiadła się do niego. Gości ubyło. Niektórzy poszli już do domu, a pozostali postanowili najwidoczniej koczować na schodach.

– Och, ten Rudi! – zaczęła Clara tonem, w którym irytacja mieszała się z rezygnacją. – Siedzi przygnębiony w kuchni. Oczywiście nie widać tego po nim. Parodiuje zarozumiałych głupców z uczelni, a pół tuzina idiotów śmieje się z niego.

– Jeżeli twierdzi pani, że nie wygląda na przygnębionego, to skąd pani wie, że jest? – spytał otwarcie Howson. Potem przypomniał sobie, że istnieje taka możliwość i ugryzł się w język. Przepraszam. Pewnie zna go pani bardzo dobrze.

– Jeżeli myśli pan, że jest moim... no dobrze, bądźmy kulturalni i powiedzmy „bliskim przyjacielem”, to się pan myli – odparowała Clara zimnym, lekko karcącym tonem. – W gruncie rzeczy mało go znałam, właściwie z widzenia, dopóki niedawno nie wynikła ta sprawa ze wstrzymaniem mu stypendium.

Przerwała i wyglądała na zaintrygowaną.

– Może nie powinnam być tak...

Howson podzielał jej zaintrygowanie. Wiedział już to, na co Clarze otwierały się dopiero oczy. Chociaż nie wszystkie fakty tu pasowały, było to najbardziej oczywiste

wyjaśnienie. A jeżeli się mylił, to co?

Z kuchni wyszedł Rudi w otoczeniu kilku osób śmiejących się serdecznie i poklepujących go po plecach. Howson przebiegł wzrokiem po tej śniadej, przystojnej twarzy. Nie, nie zdradzała przygnębienia, które widziała Clara.

Podczas gdy jego towarzysze zbierali się do wyjścia, redukując tym samym liczbę niedobitków przyjęcia do niecałego tuzina, Rudi łyknął sobie z piersiówki zdając się nie troszczyć o to, co zawiera i wszedł z powrotem do kuchni. Howson pomyślał, że pewnie wrócił tam po kogoś, kto jeszcze został. Rozejrzał się po pokoju starając się zignorować dziewczynę i mężczyznę, którzy w wyrażaniu wzajemnego zainteresowania sobą posunęli się daleko poza samą tylko konwersację.

– Jak już mówiłam – Clara zwróciła się do niego po odprowadzeniu gości do drzwi – robisz na mnie wrażenie człowieka z problemem. Tak, jestem tego pewna. Co gorsza, musiałam odrzucić wszystkie zwykłe, proste przyczyny, które mogłyby to spowodować. Nie możesz przecież być tak bardzo niepełnosprawny, skoro jesteś lekarzem. Mam rację?

Jej zielone oczy wpatrywały się weń badawczo. Howson, siłąc się na niefrasobliwość, zapytał.

– Czy wszystkich swoich gości poddajesz drobiazgowemu śledztwu?

– Tylko niespodziewanych, którzy mnie intrygują – odpowiedziała nie dając się zbić z tropu. – Takich, na przykład, jak ty.

Howson na kilka sekund odłożył swoją odpowiedź. Uderzyła go pewna możliwość, która z pozoru wydawała mu się tak nieprawdopodobna, że dosłownie bał się ją sformułować, chociaż na własny użytek. Wciąż jeszcze ją rozważał, gdy nagle...

Wstrząs omal nie cisnął nim o podłogę. Jego natężenie oślepiło go całkowicie, szalał w jego czasie jak pożar. Zanim jeszcze odzyskał pełną kontrolę nad swymi zmysłami, zdał sobie sprawę, że krzyczy:

– W kuchni! To Rudi!

Wszyscy obecni w pokoju odwrócili się, jak na komendę i spojrzeli na niego, a Howson uświadomił sobie, że zaległa martwa cisza.

Wszyscy obecni w pokoju, oprócz – teraz to do niego dotarło – Clary. Clara, biała na twarzy jak papier, otwierała już drzwi do kuchni. Nie mogłaby dopaść do nich tak szybko po jego ostrzegawczym okrzyku. Nie mogłaby. A to by znaczyło...

Krzyknęła.

Klnąc swoje odporne ciało, Howson dźwignął się na nogi. W drzwiach kuchni tłoczyło się już z pół tuzina wystraszonych ludzi. Gwar ich głosów zdradzał dezorientację, a umysły

przesłaniała chmura szoku. To nie miało znaczenia. Howson wiedział doskonale, co się stało.

Ponad podniecony gwar wzbil się autorytatywny głos niedoszłego socjologa – Briana.

– Nie ruszać go! Dawać tu tego małego człowieka – to lekarz. I niech ktoś zadzwoni po karetkę. Clara, gdzie jest telefon?

– Na dole, na parterze – odparła dziewczyna drżącym, ale opanowanym głosem.

Tymczasem Howson włókł się w kierunku kuchni. Wydawało mu się, że czas stanął w miejscu. *Tak, jestem lekarzem – myślał. – Znam się na urazach mózgu. Znam się na nieprzystosowaniu do życia w społeczeństwie i wewnętrznych psychozach. Ale na co się to, u diabła, przyda temu facetowi leżącemu na twardej kuchennej posadzce, z którego powoli uchodzi życie!*

Rozstąpili się, robiąc mu przejście i dopiero teraz ujrzał własnymi oczami to, co już było mu wiadome. Rudi fachowo popełnił harakiri (dlaczego? natrętny ślad wyjaśnienia unosił się tuż poza zasięgiem umysłu Howsona) posługując się w tym celu zwykłym rzeźnickim nożem z pobliskiej szuflady.

Teraz, kiedy stracił już przytomność, oślepiający sygnał bólu wysyłany przez jego mózg był dużo łatwiejszy do wytłumienia. Ale Howsonowi pozostawał jeszcze ból wywołany własną bezsilnością. Ci ludzie... ci ludzie! – u niego szukali rady i wskazówek...

Dobyl z siebie głos.

– Czy ktoś wezwał karetkę?

Zapewnił go o tym chór potakujących głosów.

– Dobrze. Teraz wyjdźcie stąd i zamknijcie drzwi. Zachowujcie się jak najciszej, a jeszcze lepiej wynoście się do diabła z mieszkania... nie, policja może chcieć... a, diabli z policją! Idźcie do domu.

Clara chciała wyjść razem z innymi, ale Howson zmarszczył czoło i usłyszała go, chociaż nic nie powiedział. Trwożliwie zamknęła za sobą drzwi i podeszła do niego.

– Znasz się trochę na tym? – spytał ponuro.

– N... nie. Ale zrobię wszystko, co każesz. Czy jest jakaś nadzieja?

– Jeżeli nie zrobimy nic, żeby temu zapobiec, umrze za jakieś pięć minut – zaśmiał się bez wesołości Howson. – A najśmieszniejsze jest to, że ja nie jestem doktorem medycyny! Nigdy w życiu nie zabandażowałem nawet skaleczonego palca... nie licząc własnego.

26

Pod koniec wiecznej ciszy, jaka zapanowała i trwała pełne trzy uderzenia serca, jego słowa dotarły wreszcie do jej świadomości i była zdolna do zareagowania. Pomyślała pełna rozpacz: *O Boże – biedny, głupi Rudi!*

A głośno, bardziej gwałtownie powiedziała.

– To dlaczego mówiłeś, że jesteś lekarzem, skoro nim nie jesteś?

– Bo jestem, ale szczególnego rodzaju. A sprawy nie wyglądają jeszcze tak beznadziejnie, jak to sobie wyobrażasz. Czy wiesz, że jesteś telepatką recepcyjną?

– Czym? – ta informacja, która przysłała u szczytu szoku spowodowanego patrzeniem na Rudiego pławiącego się w kałuży własnej krwi i niestrawionych płynów, straciła cały swój sens. Howson wyczuł mur niezrozumienia i podświadomego oporu i przypuścił do niego szturm.

– Mówię, że możesz czytać ludzkie myśli. A tak się składa, że jestem lekarzem ze specjalnością teleterapeutyki. Zrozumiałś? A więc posłuchaj. W tym pokoju jest tylko jedna osoba, która – być może – wie, czego potrzeba Rudiemu Allefowi, żeby powstrzymać jego agonię. Tą osobą jest sam Rudi Allef.

Usiłowała mu przerwać, ale nie zwracając na nią uwagi, ciągnął dalej, rezygnując ze słów, które ograniczały szybkość przekazu i tłocząc bezpośrednio do jej umysłu całe bloki stosownych pojęć.

Głęboko, w mózgu Rudiego, tak samo zresztą jak w mózgach wszystkich normalnych ludzi, znajduje się ośrodek nazywany obrazem ciała – jest w nim przechowywany główny plan służący ciału do przeprowadzania na sobie wszystkich głównych napraw. Dostane się do niego. Będziesz musiała słuchać moich instrukcji i wykonywać je, bo moje dłonie są zbyt niezdarne i nie nadają się do delikatnej pracy. Staraj się teraz o niczym nie myśleć – zaczynamy.

ZACZYNAMY!

I nie zwlekając, Howson sięgnął w umierający umysł Rudiego przejmując jednocześnie kontrolę nad rękami Clary.

Na początku opierała się, ale dzielnie starała się przezwyciężyć swój instynktowny opór i po upływie jednej minuty zdołał skłonić ją do odciągnięcia w tył ramion chłopca, żeby mogli widzieć dziurę w jego brzuchu.

Ten widok wstrząsnął nią tak bardzo, że Howson stracił na chwilę kontrolę nad nią. Poświecił kilka cennych sekund na uspokojenie dziewczyny, po czym wrócił do badania obrazu ciała Rudiego. Tak wiele jego nerwów meldowało uszkodzenie i ból, że początkowo Howson nie mógł rozróżnić poszczególnych sygnałów. Zmniejszył swoją czułość, ale w wyniku tego obraz całości rozmazał się w niewyraźną plamę.

Usiadł na krześle, żeby się skoncentrować. Potem zaczął od początku.

Tym razem odniósł wrażenie, że nerwy meldują swą agonie bezpośrednio jemu, jakby to jego ciało leżało na podłodze rozprute i konające. Ale żaden z tych meldunków nie mógł dotrzeć do Clary, bo to uczyniłoby ją niezdolną do udzielenia mu pomocy. Musiał sam zaabsorbować ból i opanować go w sobie.

Teraz dobrze. Co najpierw? Zatomować krwotok, zanim zniknie całkowicie aktywność mózgu. Czym by tu...? Spinki? Spinki do włosów? Powinna mieć coś takiego.

Clara miała kilka w miseczce, która stała o stopę od jej ramienia. Pochwyciła je i zaczęła gorączkowo spinać otwarte końcówki głównych naczyń krwionośnych. Tempo zanikania pracy mózgu spadło i pozostało na stałym, słabym poziomie.

W porządku. Teraz wepchnąć wnętrzności z powrotem do jamy brzusznej.

Umazane we krwi dłonie Clary ujęły szaroniebieskie jelita i wsunęły je ostrożnie na miejsce. Wepchnęły potem oddarte kiszki i rozmieściły z grubsza tam, gdzie powinny się znajdować. Z każdą zakończoną czynnością przychodziło zmniejszenie liczby bombardujących umysł Howsona meldunków o bólu i uszkodzeniach. Kiedy Clara uporała się z wkładaniem wnętrzności, mógł już otworzyć oczy. Nie zdawał sobie dotąd sprawy, że ma je zamknięte.

– Zwykłą nitkę i igłę. – Powiedział ochryple. Przyniosła je. Zostawiała krwawe odciski dłoni na stole, na klamce do drzwi, wszędzie. – Zszyj ścianki żołądka – polecił i zrobiła to, niezdarnie z chirurgicznego punktu widzenia, ale wystarczająco dobrze. – Teraz skórę. Teraz umyj ręce, obmyj skórę, przebierz się w czyste ubranie...

Umysł Rudiego rozjarzył się niespodziewanie, odzyskując na chwilę świadomość. Howson zacisnął zęby i zepchnął jego jaźń z powrotem w stan omdlenia. Brutalny zabieg, ale osobowość Rudiego doznała już tylu upokorzeń, że jeszcze jedno nie robiło różnicy.

Liczyło się tylko to, że tlił się maleńki promyczek życia. Tak będzie już aż do transfuzji, wtedy będą mogli prawidłowo pousuwać uszkodzenia. Na razie Howson zrobił wszystko, co mógł – oddalił groźbę śmierci.

Trwało to dokładnie pięć minut.

Zaraz przyjedzie karetka i pojawi się policja z pytaniami. Nie mógł sobie przypomnieć, czy próba samobójstwa była nadal traktowana jako przestępstwo.

Powróciła Clara, która poszła odnieść na miejsce igłę, a teraz stała, wpatrując się tępo w wynik swojej pracy.

– Dlaczego chciał się zabić? – spytała na wpół ze złością i Howson potrząsnął głową. Czuł się tak zmęczony, jakby przebył pieszo tysiąc mil, ale nie chciał się poddać wyczerpaniu.

– On nie próbował się zabić – powiedział znużonym tonem. – To był wypadek. Doszło do niego w głupi sposób, ale nie miało cech próby samobójczej. Po prostu żart, który posunął się za daleko.

Zrozumiała do czego zmierza i pokiwała głową na znak, że nie musi tego bliżej wyjaśniać. Musiał to jednak wytłumaczyć, gdy zjawiała się policja, a po tym wszystkim był tak potwornie zmęczony, że siadł na pierwszym z brzegu krześle i zasnął.



Po przebudzeniu, przez dłuższy czas nie mógł się zorientować, gdzie jest. Leżał w pościeli na wznak, a jego głowa spoczywała wygodnie na poduszce. Ale nie było to jego łóżko w Ułan Bator.

Otrząsnął się z resztek snu, przewrócił na bok i zobaczył owiniętą w pled Clare, drzemającą w jednym ze stojących w pokoju foteli.

Wyczuła, że się obudził, zamrugła powiekami i otworzyła oczy. Przez parę chwil nie odzywała się, a potem na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Dobrze ci się spało? – spytała banalnie. – Tak twardo zasnąłeś, że nawet nie czułeś, jak kładę cię do łóżka.

– Co takiego?

– Czy spodziewałeś się, że położę cię na podłodze? – wstała, odwinęła się z koca i przeciągnęła, była ubrana tak samo jak podczas przyjęcia.

– Mogłem się przecież przespać na krześle!

– Och, nie wygłupiaj się! – powiedziała niemal ze złością. – Zasłużyłeś na łóżko

bardziej niż ja. Zjesz coś?

Howson usiadł na łóżku. Stwierdził, że zdjęła mu buty i marynarkę, ale poza tym jest całkowicie ubrany, odrzucił więc kołdrę i spuścił nogi na podłogę.

– A wiesz, że chyba tak.

Przyniosła z kuchni płatki owsiane, kawę i otworzyła puszkę soku owocowego. Siedzieli na krawędzi nie posłanego łóżka trzymając tace na kolanach.

– Ciekawa jestem – odezwała się pierwsza Clara – jak ci się udało sprzedać wszystkim tę naiwną historyjkę o wypadku?

Howson odchrząknął.

– Jeżeli istnieje coś, co telepata projekcyjny na pewno potrafi, to jest to łganie. Potrafię bez wielkiego trudu wmówić przeciętnemu człowiekowi, że słońce wzeszło o północy. Powinienem właściwie zaszczerpić tę samą wersję wypadków w umysłach twoich pozostałych gości, zamiast kazać im się wynosić. Wtedy nasze zeznania pokrywałyby się. – Ale bałem się, że ich obecność będzie mnie rozpraszała... A zresztą, diabli z tym. Żaden z nich nie był właściwie naocznym świadkiem.

Odstawił na bok miseczkę, z której jadł.

– Już wcześniej powinienem był cię o to spytać. Jak się czujesz, wiedząc, że sama jesteś telepatką?

W zielonych oczach Clary pojawił się cień niezdecydowania.

– Mówiłeś poważnie? Wczoraj wieczorem po wyjściu policji, starałam się odczytać jakieś twoje myśli i nic się nie stało. Pomyślałam więc sobie, że oszukiwałeś mnie, żeby podnieść na duchu, czy coś w tym rodzaju – zakończyła niepewnie.

– Byłaś prawdopodobnie zbyt wyczerpana. Oczywiście, mówiłem poważnie. Powiedz mi, skąd wiedziałaś co zrobił Rudi?

– No... krzyknął!

– Nie wydał dźwięku. Mógłby być autentycznym samurajem. Gdyby krzyknął, wszyscy by go usłyszeli. O tym co się wydarzyło za zatrzaśniętymi drzwiami kuchni, wiedzieliśmy tylko ty i ja, a to znaczy, że jesteś telepatką recepcyjną. Już wcześniej to podejrzewałem – jestem zdumiony, że sama tego nie zauważyłaś.

Skończyła jeść i zapaliła papierosa.

– Och, to wszystko jest takie... niepokojące! Widzisz, zawsze uważałam telepatów za ludzi... spoza nawiasu.

– Bo takimi są – powiedział z cichą zawziętością Howson. – Co zamierzasz począć ze swoim talentem?

– Nie mam pojęcia – wyglądała na trochę przestraszona. – Nie wiem nawet, jak to powiedzieć rodzinie?

– Takich problemów nie miałem – przyznał Howson. – Czy są skłonni do uprzedzeń?

– Nie wiem. Nie było jeszcze tego rodzaju sytuacji – jakaś myśl kazała jej zmarszczyć brwi. – Słuchaj, a co w ogóle robią telepaci recepcyjni? Czy nie są ograniczeni w wyborze pracy?

– W porównaniu z projekcyjnymi raczej są – przyznał Howson – ale każdy telepata jest osobą bardzo szczególną i zapotrzebowanie na ich usługi jest ogromne. Mogę wymienić ci kilka standardowych zajęć. Większość recepcyjnych, których znam, pracuje w charakterze diagnostyków psychiatrycznych i obserwatorów terapeutycznych. Wielu zajmuje się odkrywaniem nowych talentów. Jeszcze inni specjalizują się w zażegnaniu kryzysów politycznych. Jesteśmy na tyle unikalni, że mamy możliwość przebierania w rozmaitych ofertach.

Roześmiała się nerwowo.

– To zabawne słyszeć, jak mówisz „my” i wiedzieć, że masz również mnie na myśli. Wracając do tematu – to co mówisz, jest dość pocieszające.

– Nie mówię tego, żeby cię pocieszyć. Po prostu informuje cię o istniejących możliwościach wykorzystania twoich zdolności – Howson westchnął. – Nie zamierzam jednak twierdzić, że telepata nie może mieć swoich własnych problemów. Jeżeli chodzi o mnie, to oczywiście miałaś wczoraj rację.

Wstała i zaczęła sprzątać po śniadaniu. Po dłuższym milczeniu powiedziała.

– Co z Rudim, Gerry? Czy zdołałeś stwierdzić, co go do tego skłoniło?

– Nie. Trzeba się nauczyć, by bez wyraźnej potrzeby nie naruszać prywatności czyjś umysłu. Trzeba, bo inaczej życie straciłoby cały swój urok. A zresztą, kiedy go ratowaliśmy, nie mogłem marnować na to czasu. Ty miałaś lepszą sposobność, żeby się tego dowiedzieć.

Uczyniła bezradny gest.

– Mogę tylko powiedzieć, że... że, żył w zakłamaniu – to może brzmi górnolotnie, ale dokładnie oddaje sytuację. Nawet dobrze mu to wychodziło, ale... – zakończyła to zdanie machnięciem ręki. – Gerry, a właściwie co ty tutaj robisz? Jesteś przecież z Ułan Bator, prawda?

– Tak, mieszkam tam teraz. Ale tu się urodziłem.

– Odwiedzasz starych znajomych?

– Dwoje już odwiedziłem. Skończyło się klęską. Nie, raczej szukam nowych, niż odwiedzam starych znajomych. To częściowo urlop, a częściowo podróż w pogoni za samookreśleniem... pewnego dnia zrozumiesz o co mi chodzi.

Zrozumiała aluzję.

– No a wracając do mnie, co teraz powinnam zrobić? – uśmiechnęła się blade.

– Oficjalnie, powinnaś wstąpić do lokalnego oddziału Światowej Organizacji Zdrowia i poddać się testom specjalistycznym. Potem wyślą cię do Ułan Bator, do Canberry, albo może do Hongkongu na specjalne przeszkolenie. Ale osobiście radziłbym ci poczekać jeszcze ze zgłoszeniem się i oswoić się z myślą o czekającej cię przyszłości. A teraz zrób coś dla mnie. Zejdź do telefonu i zadzwoń do szpitala, do którego zabrali Rudiego. Jest prawdopodobnie wciąż pod działaniem środków znieczulających. Spytaj, czy możemy... przepraszam... jesteś wolna dzisiaj przed południem?

Skinęła głową.

– Spytaj więc czy możemy, oczywiście, jeżeli chcesz ze mną tam pójść, go odwiedzić. Powiedz im, że nazywam się Gerald Howson i jestem lekarzem z Ułan Bator. Nie powinni stawiać przeszkód.

– Po co więc uprzedzać ich telefonicznie?

– Chce im dać czas na to, żeby uświadomili sobie, że jestem kulawym karłem, a nie jakimś tam supermanem – powiedział spokojnie. – Wtedy mniej boli.

Clara przygryzała wargę.

– To było nietaktowne z mojej strony – powiedziała.

– Tak – odparł Howson i wstał. – Pójdę się umyć, a ty tymczasem zadzwoń.

27

Rudi Allef. leżał w szpitalnym łóżku zaopatrzone w rusztowanie, które podtrzymywało w górze kołdrę, żeby nie stykała się z brzuchem chorego. Odzyskał już przytomność, ale świadom był głównie bólu. Środki znieczulające, jakie mu zaaplikowano, zredukowały ból do poziomu porównywalnego z ćmieniem zęba i pozwoliły Rudiemu rozumować w miarę logicznie.

Kiedy przyszedł Howson, Rudi leżał nieruchomo z mocno zaciśniętymi powiekami.

Howsonowi towarzyszyły chirurg, która operowała Rudiego, pielęgniarka oddziałowa

i oczywiście Clara. Weszli do sali. Wokół łóżka, na którym leżał Rudi z gumową rurką przymocowaną plastrem do ramienia, rozstawiony był parawan. Dobiegała końca transfuzja – ostatnia z mających uzupełnić utratę krwi.

Pielęgniarka rozsunęła parawan, przepuściła gości i zasunęła go z powrotem. Obok łóżka stało krzesło przygotowane dla Howsona. Wspiął się na nie niezgrabnie, bo miało normalne wymiary i wejrzał w umysł Rudiego.

Jednocześnie zapytał głośno lekarkę:

– W jakim stanie się znajdował, gdy go pani operowała?

– W bardzo złym – odparła mniej więcej czterdziestoletnia kobieta chirurg. – Zmarłby, gdyby nie pierwsza pomoc, której mu państwo udzielili. Dobrze też się stało, że pan tam był, doktorze Howson – chociaż nie wiedziałam, że teleterapeuci przechodzą pełne przeszkolenie medyczne.

– Nigdy nie przechodziłem takiego przeszkolenia – odparł Howson i powtórzył – Nigdy dotąd nie zabandażowałem nawet palca.

Gdy znaczenie tych słów dotarło do jej świadomości, poczuł jak wzbiera w niej niechęć. *Ten mały kuternoga nie tylko posiada niezwykłą moc. Może wykonywać za mnie moją pracę bez przygotowania, bez trudu i chwalić się swym sukcesem...*

– To niezbyt uczciwa myśl – rzekł łagodnie Howson. – Przykro mi, ale to nie tak.

Clara, która ze zdziwieniem przysłuchiwała się rozmowie, wtrąciła niespodziewanie. – Szkoda, że pani nie widziała, ile go to kosztowało! Ten ból, który musiał...

Clara! Proste, myślowe ostrzeżenie, przerwało jej gwałtowną replikę.

– W porządku – powiedział głośno. – Czy mogę teraz prosić o ciszę?



– *Rudi...*

Postać w łóżku poruszyła się nieznacznie. Była to jedyna reakcja. Ale w umyśle tworzyła się odpowiedź.

– *Czego chcesz? Czego się wtrącasz ty sukinsynu?*

– *Ocaliłem ci życie, Rudi.*

– *Po co? Żeby teraz tak cierpiał? Skazałeś mnie na ten ból wtrącając się i powstrzymując mnie od tego, co chciałem zrobić.*

Howson wziął głęboki oddech.

– *Wiem, Rudi. Pamiętaj o tym, że czuje ten ból tak samo dotkliwie, jak ty. Jestem w pełni świadom, na co cię naraziłem. Teraz muszę ci to wynagrodzić. Mogę ci dać uczucie szczęścia, satysfakcji, cokolwiek zechcesz. Miałbym wyrzuty sumienia, gdybym tego nie zrobił.*

Zaangażował w to całą siłę swego umysłu. Za zwerbalizowaną projekcją, gładko, automatycznie, przemycił Howson odbicie cierpienia Rudiego przefiltrowane przez własny umysł, naznaczone jego własną osobowością.

Zatliła się słaba isierka niedowierzania.

– *Ale przecież ty mnie właściwie nie znasz. Jesteśmy obcymi ludźmi i jeszcze dzisiaj mogą nas rozdzielić tysiące mil.*

– *Dla nas nie ma ludzi obcych.*



Rudi zamrugnął powiekami, otworzył oczy i ujrzał nad sobą bezmyślną twarz, pod maską której skrywał się przenikliwy umysł.

– *Dlaczego to zrobiłeś, Rudi?*

Obraz złożony z braku satysfakcji z pracy, jaką przyszło mu wykonywać, z przyjęcia z jakim się spotykała, z niemożliwości wytłumaczenia ludziom, co właściwie robi. Plus kłopoty finansowe związane ze wstrzymaniem stypendium i osobiste problemy emocjonalne. A jego zgubę przypieczętowała maska, którą przywdział, żeby zabezpieczyć się przed dociekliwością świata. Ludzie, którzy nie potrafili jej przeniknąć, a więc nie mieli pojęcia o wirze rozpaczliwej szalejącej w jego mózgu, byli nietakowni, niedelikatni i nie zdając sobie z tego sprawy rozdrapywali wciąż na nowo stare rany.

Nadszedł w końcu moment, kiedy uświadomił sobie, jak bardzo pragnie zapomnienia i wtedy chwycił za nóż.

Ale Howson potrafił zajrzeć pod tę maskę, a zatem unikał nietaktu i niedelikatności. Rozumiał rozterki Rudiego i potrafił mu pomóc, doradzić. Niecierpliwym, myślowym gestem odrzucił od razu wszystkie przyczyny powierzchowne, takie jak chroniczny brak pieniędzy i skoncentrował się nad składnikiem, który w całej tej gorzkiej retrospekcji przyczyn, które skłoniły Rudiego do targnięcia się na swoje życie, grał rolę pierwszoplanową – do jego pracy.

– *Rudi!*

– *Tak?* – świadomy znak zapytania zmieszany ze zgodą i chęcią współpracy.

– *Opowiedz mi o swojej pracy.* – Howson przystąpił do wyszukiwania sensu i zaprowadzenia porządku w czymś, co nie było w pełni jasne nawet dla samego Rudiego.

Z leżącej u podstaw pasji tworzenia wyłaniały się, jedna po drugiej, przyczyny dla których pasja ta nie mogła znaleźć ujścia w pisarstwie, malarstwie, rzeźbie czy jakiegokolwiek innej dziedzinie sztuki, w której twórca jest odseparowany od swego audytorium. Rudiego nigdy nie zadowoliłoby stworzenie dzieła, który w całej tej gorzkiej retrospekcji przyczyn, które skłoniły Rudiego do targnięcia się na swoje życie, Podziw innych podsyczał i odnawiał jego pasję twórczą, tak jak na grę aktora wpływa „dobra widownia”, która powoduje, że wznosi się on wtedy na nowe wyżyny interpretacji.

Jednak sztuka aktorska również nie odpowiadała Rudiemu, bo była sztuką objaśniającą. Taki też był balet, taka była niemal każda inna dziedzina sztuki, w której artysta ma bezpośredni kontakt z widownią, tak upragniony przez Rudiego.

Najbardziej pociągała go muzyka. I...

I Howson odniósł nagle wrażenie, że znajduje się na szczycie oszałamiającej swą wielkością góry, z której spada i wali głową naprzód w ogromną, niezbadaną dżunglę przeplatających się wrażeń zmysłowych.

Umysł Rudiego Allefa odbiegał od przeciętności niemal tak samo daleko, jak umysł Howsona, tyle, że w inny sposób. Howson stykał się już z umysłami, którym dźwięki muzyczne kojarzyły się z kolorami lub obrazami – ale w porównaniu z tym, na co natrafił teraz, były to wszystko skojarzenia dziecinnie proste.

Jak pływak walczący z prądem wartkiej rzeki, Howson szukał rozpaczliwie jakiegoś punktu zaczepienia w tym ryczącym potoku skojarzeń. Pojawiły się obrazy: głos (aksamit) drapiące pazurki kotka (purpura) dojrzały owoc – syrena statku (mgła) stal (żółtawa szarość) chłód (niebezpieczeństwo) uczucie zagubienia i pustki – akord C-dur wydobyty z fortepianu (dzieciństwo) drzewo (czerń i biel przetykane jasnym złotem) nienawiść (coś płonącego) ucisk w skroniach (wstyd) sztywność w nadgarstkach (płynność) okrągłość...

Nie było temu końca. Howson cofnął się nieco i spróbował jeszcze raz.



Szedł przez las paproci wysokich na sto stóp, wśród których pasły się gigantyczne zwierzęta. Był tak zmęczony, jakby miał za sobą długą drogę, a z nieba lał się żar. Przybył nad brzeg błękitnej rzeki i stał się lodową krą kołysaną łagodnymi falami, stapiającą się powoli z otaczającą ją wodą. Był wodą spadającą w przepaść, ból uderzeń o skały w tym długim spadaniu był w jakiś sposób satysfakcjonujący i wywoływał uczucie spełnienia, bo znowu stał na twardym gruncie, obserwując siebie samego spadającego w dół pod postacią wody i rozpryskującego się w białą mgiełkę, ale twarde grunty zaczynały się kruszyć, gdyż woda podmywała skałę od dołu i rozpryskujące się kropelki mieszały się z bezmiarem i czernią, a dużo niżej uczucie ciepła i czerwieni, niewidzialnych, ale wyczuwalnych (podczerwieni?) jak gdyby on sam był pozbawionym powietrza światem o czerwonym słońcu, pełzającym nad horyzontem, żeby po chwili przeistoczyć się w coś płochliwego, czworonożnego, zagubionego w bezkresnej, czarnej równinie, której średnica wynosiła zaledwie kilka stóp i wokół której giganci, obojętni na wszystko, krzatali się wokół własnych spraw z basowym stapaniem i basowymi głosami...

Howson uświadomił sobie teraz, że przez cały czas słucha orkiestry.

Czuł się już bardzo zmęczony. Ktoś klepał go delikatnie po policzkach ręcznikiem zwilżonym w lodowatej wodzie.

Otworzył oczy i stwierdził, że wciąż siedzi na krześle obok łóżka Rudiego.

– Nic ci nie jest? – spytała z napięciem Clara zaglądając przez ramię pielęgniarki trzymającej mokry ręcznik. – Coś... coś cię przestraszyło...?

– Jak długo to trwało? – zapytał ochryple Howson.

– Prawie trzy godziny – odparła chirurg spoglądając na zegarek.

– Myślałem, że dłużej, ale dobrze zrobiłyście, budząc mnie. – Howson podniósł się niepewnie z krzesła i zrobił parę kroków, żeby zmniejszyć uczucie mrowienia w stopach. Spojrzał na Clare.

– *Co z tego zrozumiałaś?*

– *Nie bardzo wiem... było w tym dużo strachu.*

– *Twojego* – Howson zmarszczył czoło.

Coś nie dawało mu spokoju – coś, co na wpół wyczuł w chaosie wyobraźni Rudiego.

Odezwał się głośno do lekarki.

– Dziękuję, że pozwoliła mi się pani z nim zobaczyć. Mam nadzieję, że go nie zmęczyłem. Czy byłaby pani tak dobra i sprawdziła teraz, jak to zniósł. Chciałbym wiedzieć, kiedy, według pani, będzie go można poddać pełnej terapii.

Lekarka zbadła Rudiego szybko i dokładnie.

– Puls w porządku, ciśnienie niezłe, oddech prawidłowy... – podniosła powiekę i zaświeciła latarką w źrenice. – Tak, doktorze Howson, wygląda na to, że dobrze to zniósł. Będzie wystarczająco silny, żeby mógł się pan nim zająć za... – powiedzmy za tydzień, albo dziesięć dni.

Howson stłumił grymas niezadowolenia. Chciał wziąć się za bary z fascynującym umysłem Rudiego możliwie jak najprędzej. Jak wytrzyma przez cały tydzień po intrygującym rzucie oka na skarby kryjące się w tym umysłowym sezamie?

No cóż, trzeba będzie poczekać.

Znaleźli z Clarą restaurację w pobliżu szpitala i siedzieli długo nad posiłkiem i kilkoma filiżankami kawy. Howson porządkował swoje wspomnienia z umysłu Rudiego i przekazywał je, jasne i ułożone, do sprawdzenia Clarze. Ale przedłużający się wysiłek umysłowy zaczynał przytępiać jej percepcje, przeszli więc w końcu do słów.

– Biedny Rudi – powiedziała Clara mieszając w zamyśleniu pustkę w filiżance. – Nic dziwnego, że był tak sfrustrowany... Jak mógł mieć nadzieję, że nawiąże kontakt ze swoją widownią?

– Och, on zdaje sobie sprawę, że nikt nie będzie dzielił z nim do końca jego odczuć. W pewnym sensie jedyną i idealną dla niego widownią jest telepata. Ale byłby też usatysfakcjonowany, gdyby potrafił tworzyć obiektywnie zrozumiałe kopie swoich obrazów myślowych, do których widzowie mogliby dodawać własne skojarzenia. Nie może pogodzić się z faktem, że praktycznie nikt poza nim nie jest w stanie dokonać sztuki kojarzenia myślowego na tak wielką skalę i właściwie nikt nigdy nie rozumiał, o co mu właściwie chodzi.

– Dopiero ty? – zasugerowała Clara.

– Dopiero ja. Przelóżmy to na konkrety. Wspomniałaś o jego tarciach z władzami uniwersyteckimi. Przypuszczam, że pracował nad jakiegoś rodzaju eksperymentalną kompozycją, ale nie był to rodzaj muzyki, jakiego oczekiwały od niego władze. Mam rację?

Clara skinęła głową.

– W tym co tworzył, było coś niesamowitego! Ale z tym mogli się jeszcze pogodzić.

Główną przyczyną zatargu stało się to, że Rudi zwerbował do pomocy Jaya Horne'a. Zaczął, jak powiedzieli, przeszkadzać Jayowi w jego własnej pracy, która jest daleko bardziej przystępna i ostrzegali go, żeby nie zawracał mu głowy. To dołało oliwy do ognia i doprowadziło do wstrzymania stypendium. Tak przynajmniej mówiła mi Charma. Znam ją dłużej niż Jaya.

– Rozumiem. A więc wszystko sprowadza się do jednego – Rudi opracowuje eksperymentalną kompozycję, której logika opiera się na jego własnych skojarzeniach, a nie na dźwiękach orkiestralnych. Byłby usatysfakcjonowany, gdyby choć cześć słuchaczy, choć trochę zrozumiała jego dzieło. Jednak do widowni docierają tylko dźwięki, przez co cały cel kompozycji traci swój sens. Widząc to, rezygnuje ze wszystkich skojarzeń zmysłowych, jakich sam doświadcza i zwraca się o pomoc do Jaya, wychodząc z założenia, że lepiej wesprzeć swoją kompozycję prostymi obrazami złożonymi z barw i kształtów, niż w ogóle odłożyć ją do szuflady. Prawda? Niezbyt jasno rozumiem charakter pracy Jaya, ale Rudi dał mi do zrozumienia, że niezbyt sobie ceni jej wyniki.

– Mniej więcej. On niezbyt ceni samego Jaya, a to niezupełnie to samo.

– Hmmm! – Howson potarł dłonią brodę. – Trudności, jakie napotyka ktoś, kto próbuje połączyć muzykę z wrażeniami wizualnymi polegają na tym, że aparatura jest droga, skomplikowana i przeważnie nie daje pożądaných wyników. Taki ktoś potrzebuje instrumentu tak prostego i uniwersalnego jak fortepian, łączącego w sobie cechy organów barwnych, z możliwościami oferowanymi przez nieograniczoną filmotekę.

Clara popatrzyła na niego zaintrygowana.

– Czy wiesz, że usłyszałam to, nieomal słowo w słowo od Charmy, kiedy stosunki między Jayem i Rudim źle się układały?

– Nic dziwnego. Są to prawdopodobnie słowa samego Rudiego. – Howson zapatrzył się przed siebie. – Claro, zadzwońmy do Horne'ów. Muszę dowiedzieć się paru rzeczy, zanim przystąpię do leczenia.

29

Jay i Charma mieszkali w dwupokojowym mieszkaniu, na ostatnim piętrze starej

kamienicy, niedaleko Alei Głównej. W powietrzu unosiły się chmury kurzu, ponieważ w okolicy prowadzono roboty rozbiórkowe.

Charma poczęstowała ich kawą, po czym Howson wyjaśnił, kim jest zastanawiając się przez cały czas, jaka będzie ich reakcja.

– A to ci heca! – powiedział Jay, kiedy Howson skończył. Jego jasnoniebieskie oczy zaokrągliły się ze zdumienia. – Zaskoczył mnie pan! Kiedy sobie pomyślę, gdzie byłby teraz biedny Rudi, gdyby nie pan! Dziękuję, doktorze Howson. Myślę, że wart był ocalenia. Ten chłopak da się lubić, co nie zmienia faktu, że czasami gra mi na nerwach.

– Proszę mówić mi Gerry – powiedział Howson. – Wpadłem, żeby zobaczyć nad czym pracowaliście z Rudim.

– Nie ma sprawy. Nie wydaje mi się, żebyśmy obaj byli uszczęśliwieni naszą współpracą, ale niech pan sam to oceni. Charma, kochanie, zrób miejsce na fortepianie i wyjmij to urządzenie, na które wczoraj patrzyliśmy. Ja wszystko powłączam.

Pod jedną ze ścian zagraconego pokoiku stał fortepian. Howson nie zauważył go do tej pory, bo instrument zawalony był różnego rodzaju sprzętem – elektrycznym, ale nie tylko. Kiedy Charma uprzątnęła to wszystko, zauważył, że nie jest to taki zwyczajny fortepian. Wyposażony był w dwie dodatkowe klawiatury – jedna sterowała symulatorem organów, druga zespołem krążków taśmy magnetofonowej, z których każdy posiadał własną głowicę odtwarzającą.

– To do efektów specjalnych – wyjaśniał Jay chodząc po pokoju i włączając przełączniki. Potem uniósł drewniane wieko dużego, szklanego pojemnika przypominającego akwarium, na dnie którego opalizowała słabo kałuża świecącego płynu. Wzdłuż wszystkich ścianek zbiornika biegły rzędy kolorowych reflektorów skierowanych w dół.

– Gasimy światło – powiedział Jay zajmując miejsce za konsolą. Charma zaciągnęła zasłony i w pokoju zaległa ciemność. W blasku niesamowitej, zielonkawej poświaty wydzielanej przez świecącą ciecz, Howson widział jak Charma siada przy fortepianie.

– Patrzcie na zbiornik – powiedział Jay. – No, kochanie... Raz, dwa, trzy.

Kilka postępujących po sobie w nieregularnych odstępach pasaży po klawiaturze fortepianu, kończących się dźwiękiem dzwonek wywoływanych naciśnięciem jednego z klawiszy specjalnych i w szklanym zbiorniku zaczęły się wyłaniać wielobarwne twory o nieregularnych kształtach, reagujące niezdecydowanie i przypadkowo na muzykę. W przeciągu kilku sekund formy te nabrały bardziej zdecydowanych kształtów zmieniających się wraz z kolejnymi akordami.

Wpatrującemu się uważnie w zbiornik Howsonowi wydawało się, że dostrzega płytkie, zniekształcone podobieństwo do pewnych wyobrażeń widzianych w umyśle Rudiego, ale jakież było to ubogie w porównaniu z żywymi, daleko idącymi skojarzeniami, które tam spotkał.

Muzyka ucichła.

– Tyle osiągnęliśmy – powiedział bez entuzjazmu Jay. – Wpuść trochę światła, kochanie.

I gdy Charma rozsuwała zasłony, spojrział na Howsona unosząc pytająco brew.

– To pomysłowe – powiedział Howson – ale zbyt ograniczone, jak na środek wyrazu dla naprawdę ambitnych zamierzeń. Czy mógłbyś poświęcić trochę czasu na dokonanie pewnych modyfikacji tego urządzenia?

Widząc wahanie na twarzy Jaya, ciągnął dalej.

– Słuchaj, to wyrwie cię z impasu w stosunkach z Rudim, podzielam twoje zdanie – ten chłopak da się lubić. W sprzyjających warunkach jest zdolny do stworzenia czegoś, co może stać się nową formą wyrazu artystycznego. To nie jest sprawa na jedną noc – wymaga dużego nakładu pracy i pieniędzy. Teraz jednak potrzeba mu głównie nadziei. A wydaje mi się, że wiem, jak możemy ją w nim rozbudzić.



– *Rudi!*

Rudiego przeniesiono do pojedynczej, dźwiękoszczelnej sali, w której oprócz niego znajdowali się teraz Jay, Charma, Clara, pielęgniarka i oczywiście Howson. Howson ponowił delikatnie swój kontakt z Rudim.

– *Rudi, myśl o swojej muzyce.*

Fala wyimaginowanego dźwięku wlała się w obolałą świadomość Rudiego, jakby otwarto tamę. Howson walczył o zapanowanie nad nią i odpowiednie jej ukierunkowanie. Gdy rezultaty wydały mu się zadowalające, skinął na Clare.

Zbiornik, który przydźwigało tutaj czterech mężczyzn, rozświetlił się. Clara, ze skupioną twarzą naciskała przełączniki, a tymczasem Howson zasugerował Rudiemu

otworzenie oczu. Usłyszał, zobaczył...

Jay i Charma oczywiście nie mogli słyszeć muzyki, która pulsowała i szalała w umyśle Rudiego, ale słyszeli ją Howson i Clara, a to wystarczało.

Na eksperymentowaniu, modyfikacjach i treningu upłynął im cały tydzień, po tym czasie szybkość reakcji zbiornika była fenomenalna, a Jay skonstruował naprędce nową konsolę, która czyniła urządzenie tak uniwersalnym i tak prostym w obsłudze, jak instrument klawiszowy. A Clara...

Howson zastanawiał się często w ciągu tego tygodnia, czy dysponowała ona wrodzonymi zdolnościami, czy też to on był takim świetnym instruktorem telepatii. Teraz odczytywała fantastyczne projekcje umysłu Rudiego, przesiewała je, wyciągała ich podstawowe znaczenie i przetwarzała na obrazy wizualne z chwilą, gdy tylko pojawiały się w jego umyśle.

Na twarzy Rudiego wpatzonego w zbiornik malowało się pełne zachwytu osłupienie. Jay i Charma, chociaż nie słyszeli muzyki interpretowanej przez Clare, byli niemal tak samo wstrząśnięci. A Howson nie posiadał się z radości.

W zbiorniku wyrastały góry, zniekształcone, jakby oglądane od dołu, purpurowo-błękitne i przytłaczające. Przy ich szczytach gromadziły się mgły, a gdy w wyobraźni Rudiego odległa i melancholijna linia rogu rozrastała się w kataklizm orkiestralnych dźwięków i setki niemuzycznych odgłosów, w dolinę waliła lawina otoczona białymi odpryskami śniegu. Zbiornik zaszedł mgłą – z prowadzącego doń kabla sieciowego uniosła się smużka dymu i Jay z okrzykiem rzucił się ratować swoje dzieło.

Pokaz dobiegł końca.



Z wiarą, że awaria nie zniweczyła zachwytu, jaki okazywał Rudi, Howson odwrócił się w stronę łóżka. Jego nadzieje ziściły się. Rudi usiłował usiąść. Jego twarz promieniała.

Howson uspokajającym głosem przerwał gwałtowny potok podziękowań.

– Nie musisz mi dziękować – powiedział uśmiechając się znacząco. – Wiem, że jesteś zadowolony! Popełniłeś głupstwo poddając się, gdy sukces był w zasięgu ręki.

– Ależ skąd! – zaprotestował Rudi. – Gdyby nie ty... i Clara, oczywiście... Ale... ale, co to, do licha za sukces, skoro jestem zdany na twoją pomoc?

– Na moją pomoc? – Howson był szczerze zdumiony. – Aha, ty chyba podejrzewasz, że przekazywałem twoje wyobrażenia Clarze! – wyjaśnił w kilku słowach sytuację.

Na twarzy Rudiego odmalowała się wyraźna lecz chwilowa ulga, po chwili zwrócił się też do Clary:

– Claro, a co ty o tym sądzisz? Nie będziesz przecież chciała w nieskończoność występować w roli mojego interpretatora!

– Przez jakiś czas mogę nim być – powiedziała nieśmiało. – Ale to nie jest jedyny sposób, w jaki można to robić. Geny mówi, że to, czego możemy dokonać we dwójkę, roznamiętni ludzi wystarczająco, żeby zrozumieli wreszcie, o co ci chodzi i żeby pozwolili ci pracować z orkiestrą. A obsługi tego urządzenia możesz się sam nauczyć. Jay tak je uprościł, że opanowanie gry zajęło mi zaledwie parę godzin. A w perspektywie...

Zwróciła się w myślach o pomoc do Howsona, który wtłoczył natychmiast, bezpośrednio do umysłu Rudiego wizję przyszłości.

Sala – ogromna, pogrążona w ciemnościach. W jej końcu, nad miejscem dla orkiestry, jarzą się światła. Słysząc odgłosy strojenia instrumentów i przyciszone głosy widzów. Rozlegają się pierwsze akordy kompozycji Rudiego. Ciemności rozpierzchają się za sprawą ogromnej kopii zbiornika Jaya, w którym powstają żywe, ciekłe, obrazowe odpowiedniki tonów muzycznych. Czuje się reakcje publiczności. Jest niemal namacalna, a kompozytor karmi się uznaniem, z jakim spotyka się jego dzieło.

Przerwał i spojrzał na Rudiego, który leżał na wznak z zamkniętymi oczami i z dłońmi splecionymi na kółdrze. Howson wstał i skinął na przyjaciół. Wycofali się cicho z pokoju, pozostawiając Rudiego ze wspaniałą wizją swych spełnionych ambicji.



Kiedy wieczorem, tego samego dnia, siedzieli w mieszkaniu Jaya i Charmy i celebrowali sukces lampką wina, Charma spojrzała w pewnej chwili na Howsona i zapytała.

– A co z tobą? Co ci z, tego wszystkiego przyjdzie? To trochę nie w porządku, żebyś nic na tym nie skorzystał.

– Ja? – Howson zachichotał. – Ja mam już właściwie wszystko. Sam fakt, że jest tak już od wielu lat, nie umniejsza mojego zadowolenia. Widzicie... Rudi dał, że tak powiem swój pierwszy publiczny występ. Wydaje mi się, że mogę pójść w jego ślady i dać swój...

I nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. Jak mógł być dotąd tak ślepy? Jak mógł nie zdawać sobie sprawy, że rozwiązanie jego problemu leży właśnie tutaj, pod samym nosem?!

On – Gerry Howson – dysponował taką mocą telepatyczną, jakiej nie posiadał nikt nigdy dotąd, nawet Ilsa Kronstadt. Dlaczego miał wikłać się w tworzenie grupy katapatycznej, by uniemożliwić zewnętrznemu światu przerwanie sprawiającej przyjemność fantazji? Wystarczy, jeżeli skoncentruje się tak, jak ludzie, kiedy odtwarzają wspaniałe role, albo interpretują wielką muzykę.

Mógł to zrobić.

Podjął opowiadanie prostej historii fantastycznej, bajki z wrażeniami wzrokowymi, dźwiękowymi, zapachami, wrażeniami dotykowymi, emocjami – wszystko to wydobywał z nieprzebranego magazynu nierealnych i realnych wspomnień, w jaki wyposażyła go bliska znajomość tylu umysłów. Oczywiście, była to próba. Pewnego dnia zademonstruje coś znacznie lepszego. Ale na razie wystarczy.

Clara, Charma i Jay powracali z wolna do rzeczywistości. Oczy im błyszczały i wiedział już, że wygrał.

A teraz?

Może podróż dookoła świata, celem dodania do swej znajomości snów, koszmarów i wyobrażeń innych ludzi, wiedzy o rzeczywistości, czerpania trochę tu, trochę tam, ze świadomości Azjatów, Europejczyków, Amerykanów, Australijczyków... Cały świat stał teraz przed nim otworem.

Uśmiechnął się i nalał sobie wina.

30

Stadion był, jak zwykle, wypełniony po brzegi. Rzadka okazja, kiedy można było posłuchać „głośno myślącego” Geralda Howsona sprawiała, że jego występy gromadziły komplet publiczności. Nigdy bowiem nie dopuszczał, by jego występy kolidowały z pracą zawodową w centrum terapeutycznym w Ułan Bator, Ale jeżeli tylko nadarzała się sposobność, zawiadamiał wybrane miasto, dysponujące odpowiednio dużym stadionem lub salą, a ludzie gotowi byli przebyć tysiące mil, byle go zobaczyć. W ciągu dwóch lat stał się sławny na wszystkich kontynentach.

Tego wieczora występował przed największą, jak dotychczas, widownią – pięciotysięczną. Tłum opuszczał teraz w zadumie stadion, a Howson odbierał – i starał się ignorować – nieuchronną falę gratulacji od poszczególnych słuchaczy. Jak zwykle musiał zaprzeczać, że jest wyczerpany po takim wysiłku. Nigdy nie czuł się tak szczęśliwy i zrelaksowany, jak po tych rzadkich, wystąpieniach publicznych.

Ilso, Ilso! Gdybyś na to wpadła, nie umierałabyś obarczona takim poczuciem niespełnionego obowiązku.



– Gerry – powiedział cicho Pandit Singh. – Gerry, jest tu ktoś, z kim powinieneś się zobaczyć.

– *Cześć, Rudi, wiedziałem, że tu jesteś. Poczekaj, zaraz do ciebie przyjdę.*

Cicha sugestia pod adresem widzów, że powinni już wyjść i był wolny. Mógł pójść i uścisnąć rękę Rudiemu. Była z nim Clara, z którą też serdecznie się przywitał.

– *Co słychać?*

– *Świetnie! Teraz często będziemy się widywali. W przyszłym miesiącu rozpoczynam w Ułan Bator kurs dla obserwatorów terapeutycznych.*

– *Wspaniale!*

– Cześć, Gerry – powiedział Rudi nieświadom tej wymiany myśli. Sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– Byłeś cudowny.

– Wiem – odpowiedział Howson uśmiechając się. Tak bardzo odmieniło go nowe potwierdzenie własnej wartości, że Rudi ledwie go poznawał. – Kiedy zamierzasz przyłączyć się do mojego showbusinessu?

– Za kilka tygodni daje pierwszy koncert. Przyjechałem głównie po to, żeby cię na niego zaprosić i upewnić się, czy przyjedziesz. Jeżeli nie możesz, przesunę termin. Musisz być obecny przy moim debiucie.

– *Moje gratulacje! Możesz być pewien, że przyjadę.*

Rudi zerknął z ukosa na Pandita Singha. Na policzki wystąpił mu lekki rumieniec.

– Gerry, rozmawiałem o tobie z doktorem Singhem i dowiedziałem się sporo o twoim... no... o twojej niepełnosprawności. Nie znam się za bardzo ani na medycynie, ani na

telepatii, ale zdaje mi się, że wpadłem na pewien pomysł, który nie jest wcale taki głupi, jak na początku myślałem. Eeee... jeżeli dobrze zrozumiałem, problem polega na tym, że pewna część twojego mózgu, która powinna nadzorować naprawy ciała i utrzymywać je w należyтым stanie, została zajęta przez twój organ telepatyczny.

– Mniej więcej – przytaknął Howson. Przyjrzał się badawczo twarzy Rudiego, ale widoczne na niej napięcie powstrzymało słowa cisnące mu się już na usta. W jego umyśle rodziło się nieokreślone przeczucie.

– Przechodząc więc do sedna sprawy... jeżeli jesteś w stanie przenieść praktycznie wszystko z umysłu innej osoby do własnego, to czy nie mógłbyś przeprowadzić tego typu pożyczki potrzebnej ci części mojego umysłu, żeby uzupełnić to, czego ci brakuje? – to ostatnie zdanie Rudi wyrzucił z siebie gwałtownie i patrzył teraz z nadzieją i podnieceniem na Howsona. – Widzisz, zawdzięczam ci wszystko, włącznie z życiem i chciałbym w zamian uczynić również coś dla ciebie.

Świat wokół Howsona wirował. Wpatrywał się z napięciem w Pandita Singha, pytając bez słów czy taki zabieg jest możliwy.

– Nie miałem jeszcze czasu tego przemyśleć – odezwał się Singh – ale nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy spróbować. Może się okazać, że twoje ciało zacznie mieć tendencje do upodabniania się do ciała pana Allefa, ale podzielam nadzieję, że będziemy w stanie ci zoperować i dać ci szansę odzyskania zdrowia. Może się również okazać, że urośniesz. Ostrzegłem pana Allefa, że kuracja ta będzie wymagała pójścia na stosowny okres czasu do szpitala, bez możliwości zajmowania się czymkolwiek innym oraz znoszenia takiego samego bólu, jakby operacja przeprowadzana była na nim samym i to bez żadnej gwarancji powodzenia...

– Proszę, pozwól mi.

Howson zamknął oczy. Nie mógł nie zgodzić się na propozycje Rudiego, ale nawet kiedy wykrztusił słowa podziękowania, czuł że są niepotrzebne. To, czy jego nadzieje ziszczą się, czy nie, nie miało większego znaczenia. Bo w momencie, kiedy Rudi uczynił swoją propozycję, on, Gerald Howson, stał się w pełni człowiekiem.